JACEK KUROŃ
Bolesna opowieść o prawdziwym człowieku

WNUKI KACZYŃSKIEGO
Dlaczego młodzi lgną do PiS-u

NOWY STARY TEATR
Juliusz Chrząstowski o historii przemiany

KRÓLESTWO DWURNIKA
Robotnik sztuki i sporty narodowe

Kraków 11 listopada 2018 nr 46 (3618) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowsze

Dokąd maszeruje Niepodległa

DODATEK NA **100-LECIE**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

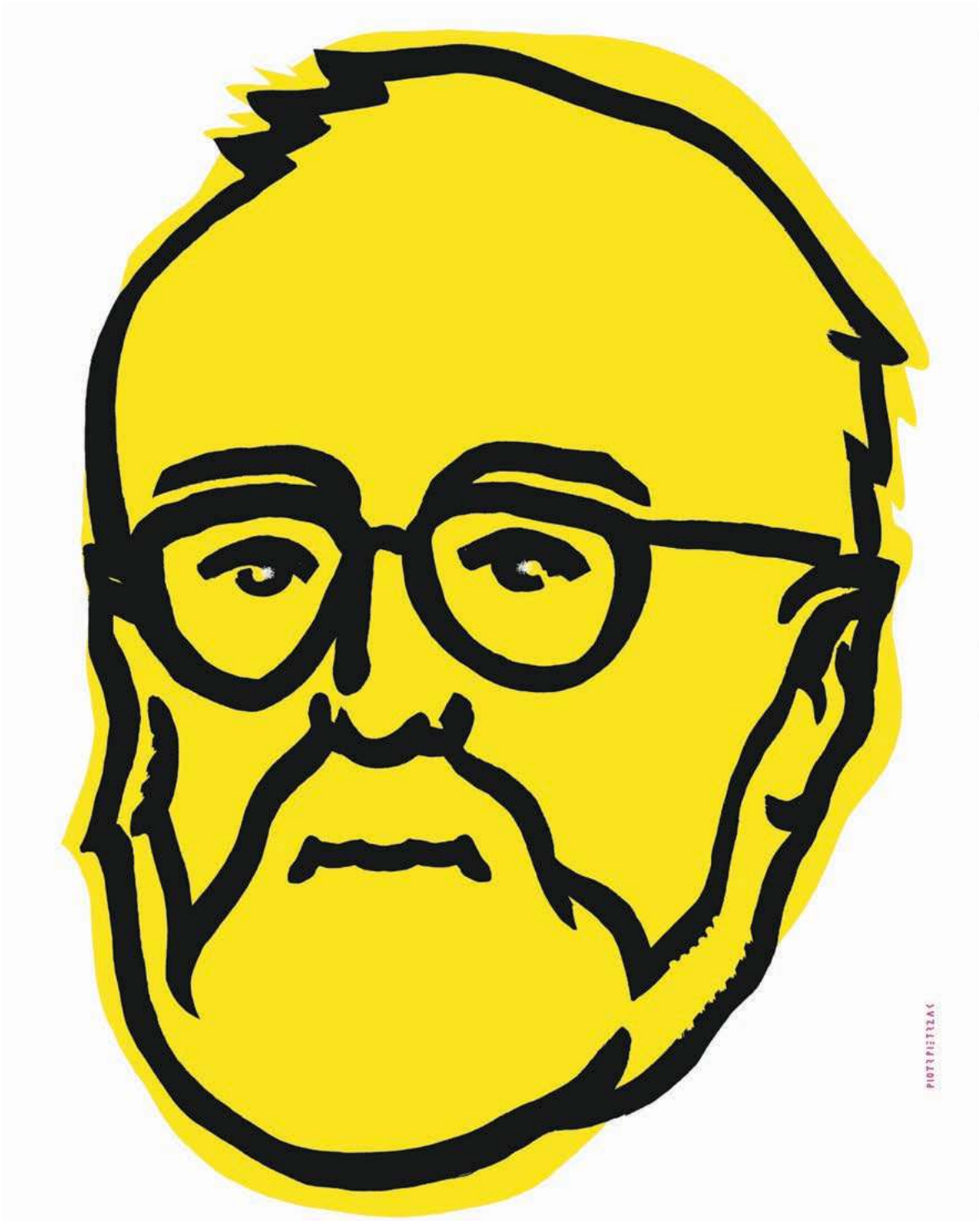

FESTIWAL KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

WARSZAWA 16-23.11.2018

www.beethoven.org.pl

więcodległa

Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena

EUROPEJSKIE CENTRUM MUZYKI KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

Stowarzyszenie Akademia imienia Krzysztofa Pendereckiego Międzynarodowe Centrum Muzyki

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NARODOWE CENTRUM KULTURY

FILHARMONIA NARODOWA

TEATR WIELKI OPERA NARODOWA

SPONSOR GŁÓWNY

LOTOS

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Sinfonia Varsovia ORKIESTRA

dwójka POLSKIE RADIO

CITU REPL INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA

BMW

HEXELINE

REGENT WARSAW HOTEL

pap

KS. ADAM

Boniecki: *Polak mały*

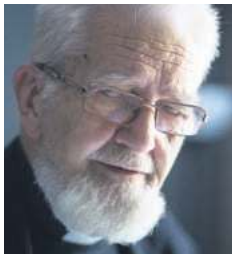

Kto ty jesteś? Polak mały, Jaki znak twój? Orzeł biały. Gdzie ty mieszkasz? Między swemi. W jakim kraju? W polskiej ziemi. Czym ta ziemia? Mą Ojczyzną. Czym zdobyta? Krwią i blizną. Czy ją kochasz? Kocham szczerze. A w co wierzysz? W Polskę wierzę. Coś ty dla niej? Wdzięczne dziecię. Coś jej winien? Oddać życie".

Wierszyka Władysława Bełzy „Katechizm polskiego dziecka" nauczyłem się tak dawno, że aż nie wiem kiedy. Pamiętam, że niepokoiło mnie stwierdzenie, że ojczyzna została zdobyta blizną, a irytowało wyznanie wiary w ojczyznę („w Polskę wierzę"), bo jako dziecko katolickiej rodziny uważałem, że jeśli w coś wierzę, to w Boga Ojca wszechmogącego. Wierszyk Bełzy przypomniał mi się z okazji setnej rocznicy. Blizna już mi nie przeszkadza, rozumiem poetycki skrót myślowy (skoro jest blizna, to musiała być rana, a rany w żaden sposób nie da się zrymować z ojczyzną). Wciąż mam niejakie trudności z wiarą w Polskę...

Przyszedłem na świat zaledwie 16 lat po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Wydarzenia dziś historyczne były w naszej rodzinie przedmiotem osobistych wspomnień. O historycznych postaciach (Piłsudskim, Paderewskim, Dmowskim) rozmawiało się tak, jak dziś się rozmawia o Mazowieckim, Geremku, Balcerowiczu, Tusku czy Kaczyńskim. Chyba wierzono w Polskę, bo w jej budowanie angażowali się moi bliscy z pokolenia dziadków i rodziców, odważnie jej bronili, jak np. w 1920 r. dziadek i wujowie. W 1939 r. cała męską część rodziny poszła na wojnę i brała czynny udział w tragicznej obronie jej niepodległości. Chociaż ówczesna prasa pełna jest wzniosłych, patriotycznych akcentów, to niczego w tym stylu z domu nie pamiętam. Tam się nie gadało, lecz pracowało, a jak było trzeba, to szło się na wojnę i walczyło.

Nie wiem, czy za kilkadziesiąt lat o Leszku Balcerowiczu będą Polacy mówili tak, jak dziś mówimy o Władysławie Grabskim, a o Jarosławie Kaczyńskim, jak dziś o Józefie Piłsudskim. Wiem, że partyjne spory w pierwszym dwudziestoleciu niepodległości w niczym nie ustępowały dzisiejszym i trwały, w kraju i na emigracji, nawet w latach okupacji.

W liście pasterskim z okazji stulecia niepodległości polscy biskupi piszą, że „Rzeczpospolita upadła w wyniku przemocy sąsiednich mocarstw, a także z powodu win i zaniedbań społeczeństwa szlacheckiego, zwłaszcza części arystokracji, dygnitarzy państwowych i niektórych hierarchów kościelnych. Szczególnie bolesne były: prywata i egoizm stanowy szlachty, zdrada ojczyzny przez część magnatów i ich współdziałanie z wrogami". Ciekawe, jakich winowajców, jeśli nie daj Boże, coś się stanie, wskażą za 230 lat przyszli polscy biskupi. Społeczeństwa szlacheckiego nie ma, nie ma arystokracji, ale „Polak mały" był mały i małym pozostał.

Nigdy nie przemawiały do mnie masowe obchody, ani religijne, ani narodowe. Może to alergia nabyta jeszcze w czasach obowiązkowych Pierwszych Majów i sprawą pochodu się specjalnie nie przejmuję. Proponuję, by na stulecie niepodległości spojrzeć jako na okazję do rachunku sumienia z naszych wad narodowych, z naprawieniem szkód i mocnym postanowieniem poprawy.

„Leczcież pierwej tę chorą swoje matkę, tę miłą ojczyznę i Rzeczpospolitą swoje. A jeśliście ostrożni i mądrzy lekarze, najdziecie sześć szkodliwych chorób jej, które jej bliską śmierć (obroń Boże) ukazują, a jako złe pulsy, źle jej tuszą. Pierwsza jest – nieżyczliwość ludzka ku Rzeczypospolitej i chciwość domowego łakomstwa. Druga – niezgody i roztyrki sąsiedzkie. Trzecia – naruszenie religiej katolickiej i przysada heretyckiej zarazy. Czwarta – dostojności królewskiej i władzej osłabienie. Piąta – prawa niesprawiedliwe. Szósta – grzechy i złości jawne, które się przeciw Panu Bogu podniosły i pomsty od niego wołają" (ks. Piotr Skarga „Kazanie wtóre o miłości ku ojczyźnie...", 1597 r.).

©℗

TP

Zapraszamy na spotkania z ks. Adamem Bonieckim

GDAŃSK
czwartek, 15 listopada, godz. 18.00
spotkanie „Co dalej z kościołem w Polsce?". Miejsce: Ratusz (ul. Długa 46)

WROCŁAW
środa, 21 listopada, godz. 17.00
miejsce zostanie podane na stronie swps.pl/wroclaw

POZNAŃ
czwartek, 22 listopada, godz. 16.00
15-lecie klubu partnera Uniwersytetu Ekonomicznego CEUE, ul. Towarowa 65

WARSZAWA
środa, 28 listopada, godz. 18.00
spotkanie autorskie, promocja wywiadu-rzeki Anny Goc „Boniecki. Rozmowy o życiu"

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

14 Dokąd maszeruje niepodległość
DARIUSZ KOSIŃSKI
Co od 2010 r. przeszedł Marsz i dokąd zmierza? 11 listopada tego roku może dojść do konfliktu między Marszem a obozem rządowym, czy też tą jego częścią, która jest powiązana z prezydentem.

Gdyby Andrzej Duda wyszedł na ulice z Donaldem Tuskiem z jednej i Jarosławem Kaczyńskim z drugiej strony, zapewne wkrótce usłyszałby okrzyk „Tu jest Polska!"...

20 Sto lat, Polsko
PAWEŁ BRAVO
Dlaczego mamy świętować rocznicę istnienia państwa?

84 Kto my teraz
ROZMOWA Z JULIUSZEM CHRZĄSTOWSKIM, AKTOREM STAREGO TEATRU:
Oczekiwania władzy są związane z nieszczęsnym romantycznym paradygmatem polskiego patriotyzmu. Nasz teatr krytyczny raczej spuszcza powietrze z napompowanego megalomanią balona.

38 Wychowanie do szczęśliwego seksu
ARTUR SPORNIAK
Anja Rubik – inicjatorka projektu „#sexedpl" – nie dąży do konfrontacji z Kościołem, niewątpliwie chodzi jej o dobro nastolatków. To może być płaszczyzną do spotkania i wymiany argumentów.

25 Opowieść o prawdziwym człowieku
MICHAŁ OKOŃSKI
Jacek Kuroń jest mitem o wielu obliczach, i to dla niejednego pokolenia. Jego biografia to dzieło 700-stronicowe i do bólu uczciwe. Ale też dzieło, w którym bohater nie daje się zamknąć.

102 Jego królestwo
MAŁGORZATA CZYŃSKA
Edward Dwurnik zilustrował naszą architekturę i pejzaż, historię oraz narodowe przywary. Dawał nam obraz społeczeństwa PRL-u. Szczery, bez uwikłania w propagandę. Przeglądamy się w jego obrazach jak w lustrze.

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

ARKADIUSZ ZIOŁEK / EAST NEWS // DOMINIK KULASZEWICZ / PAP // GRAŻYNA MAKARA // BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS // IGOR ŚNIECIŃSKI / REPORTER

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Merkel, odchodzenie na raty
WOJCIECH PIĘCIAK

7-13 Wiadomości / Komentarze

22 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

37 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

24 Opowieść o prawdziwym człowieku
MICHAŁ OKOŃSKI
o biografii Jacka Kuronia

30 Wnuki Kaczyńskiego
RAFAŁ WOŚ: *Spora część młodego pokolenia, która ma ambicje polityczne, jest albo w PiS-ie, albo w jego orbicie*

32 Partia stadionów i estakad
PIOTR KOZANECKI: *Miastami rządzi tak naprawdę ponadpartyjna logika, którą widać przy podziale budżetów*

■ ■ WIARA

38 Wychowanie do szczęśliwego seksu
ARTUR SPORNIAK

42 Wodzirej i pustelnicy
ROZMOWA Z SZYMONEM HIŻYCKIM OSB, OPATEM TYNIECKIM: *Nie zmagaj się z pokusą, tylko się skup na zadaniach do wykonania*

45 Metoda na synod
EDWARD AUGUSTYN: *Papież chce, żeby Kościół przestał przemawiać, a zaczął słuchać*

■ ■ ŚWIAT

48 Zagadka Gurlitta
PIOTR KOSIEWSKI: *Trudno dziś zrekonstruować prawa własności do dzieł sztuki zrabowanych w czasach III Rzeszy*

52 Pirat w Pradze PATRYCJA BUKALSKA: *Stolica Czech będzie mieć nowego burmistrza*

POLONA

DODATEK HISTORYCZNY

1918: WIELKIE POWSTANIE LISTOPADOWE

■ STULECIE NIEPODLEGŁOŚCI
Droga do tamtego 11 listopada

■ ŻOŁNIERZE ROKU 1918
Nastolatkowie, ochotnicy, weterani

■ KOBIETY ROKU 1918
Walczyły o Polskę i siebie

■ BILANS OTWARCIA
II RP u progu istnienia

■ FELIETONY ■

36 ANNA DZIEWIT-MELLER
47 SZYMON HOŁOWNIA
57 WOJCIECH BONOWICZ
100 JAN KLATA
101 PAWEŁ BRAVO
106 STANISŁAW MANCEWICZ
106 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: Święto Niepodległości 2016 r.
Fot. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER
Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

54 Epitafium dla Otylii
WOJCIECH PIĘCIAK *o cmentarzu chrześcijańskim w Drohobyczu*

56 Syryjski węzeł
INGA ROGG: *Zabiegi dyplomatyczne wokół Syrii są tak skomplikowane jak sam konflikt*

■ ■ NAUKA

80 Między religią a moralnością
KASPER KALINOWSKI: *Dlaczego wiele osób nigdy nie wybrałoby na prezydenta ateisty?*

83 Dodatek: Ars Cameralis
KATARZYNA TRZECIAK

■ ■ KULTURA

84 Kto my teraz ROZMOWA Z JULIUSZEM CHRZĄSTOWSKIM, AKTOREM

88 Pokolenie po
MONIKA OCHĘDOWSKA: *Dorastali wśród opowieści wywodzących się sprzed ich narodzin. Dzisiaj ożywiają je w mikroopowieściach*

91 Niepodległej niepamiętanie
PIOTR KOSIEWSKI *o wystawie „Krzycząc: Polska!" w warszawskim Muzeum Narodowym*

94 Warto zobaczyć w TV

94 Czego nie widać
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Winni" Gustava Möllera*

96 Literatura o świecie
GRZEGORZ JANKOWICZ, DYREKTOR PROGRAMOWY FESTIWALU CONRADA *podsumowuje 10. edycję festiwalu*

100 Nowa książka jubilata
LEKTOR *o książce Józefa Hena „Ja, deprawator"*

■ ■ POŻEGNANIE

102 Królestwo
MAŁGORZATA CZYŃSKA
o Edwardzie Dwurniku

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Największy na świecie, prawie 200-metrowy pomnik stanął w indyjskim Gudżaracie, ojczyźnie Mahatmy Gandhiego – **WOJCIECH JAGIELSKI** *z wysokości pomnika przygląda się najnowszej historii Indii.*
tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

17 mgnień Rosji
Rosyjska kultura poniosła w tym roku ogromne straty. Odeszli twórcy, którzy byli drogowskazami, twarzami epoki. *Wspomina ich* **ANNA ŁABUSZEWSKA** *w zaduszkowym wpisie na blogu*
labuszewska.blog.tygodnikpowszechny.pl

OBRAZ TYGODNIA

ODCHODZENIE NA RATY

Angela Merkel rezygnuje z przywództwa w swej partii, ale kanclerzem chce pozostać do 2021 r. Czy to się uda, zależy nie tylko od niej.

WOJCIECH PIĘCIAK

Angela Merkel czeka na prezydenta RPA, który odwiedza Niemcy. Tego dnia ogłosi decyzję o swym planowanym odejściu. Berlin, 29 października 2018 r.

KAY NIETFELD / DPA / PAP

Na bilanse przyjdzie czas. Trzy lata to dużo czasu, wiele może się zdarzyć. Bo pogłoski o jej odejściu są przedwczesne. Po 18 latach na czele chadeckiej CDU i 13 latach w Urzędzie Kanclerskim Angela Merkel zapowiedziała wprawdzie, że nie będzie znów kandydować na przewodniczącą CDU (zjazd partii w grudniu), ale kanclerzem chce być do końca kadencji. Nie jest to więc koniec, lecz jakby „list intencyjny", w którym Merkel przedstawia pomysł, jak na własnych warunkach chciałaby odejść z polityki (bo deklaruje, że nie chce zabiegać o funkcje w Unii Europejskiej).

Tymczasem już od roku widać, że kończy się jej polityczna epoka – jej czas w roli lidera, który ma władzę, by zmieniać rzeczywistość przez kreowanie swoich rozwiązań, a przy tym ma autorytet, nie tylko w swoim obozie, lecz także w społeczeństwie. W sondażu przeprowadzonym po tym, jak Merkel ogłosiła swój „list intencyjny", aż 68 proc. pytanych deklarowało, że nie żałuje tego, iż pani kanclerz odejdzie (żałowało 28 proc., a tylko 4 proc. nie miało zdania).

Trudno się temu dziwić. Ostatni rok – od wyborów do Bundestagu, w których obywatele wyraźnie okazali niezadowolenie z tego, jak rządzi nimi koalicja chadeków (CDU/CSU) i socjaldemokratów (SPD), siłą rozpędu zwana „wielką" (w sondażach tworzące ją partie mają dziś łącznie niewiele ponad 40 proc. poparcia, gdy kilkanaście lat temu było to dwie trzecie) – otóż ten rok to pasmo zdarzeń, które można określić jako bardzo nieniemieckie, niepasujące do polityki robionej w Berlinie (a wcześniej w Bonn).

Najpierw żmudne budowanie świeżej koalicji – chadeków, liberałów i zielonych; podob-

no Merkel bardzo chciała tego sojuszu – i spektakularna klęska. Potem wymuszone negocjacje CDU/ /CSU i SPD: klejenie „małżeństwa po przejściach", od początku bez dobrych emocji. A gdy to się udało, ciąg sporów ukazujących kruchość tego „związku z rozsądku". I miażdżąca informacja zwrotna, czyli przekaz od elektoratu, że ma dość – pod postacią wyborów w landach Bawarii i Hesji. Fakt, że chadecja obroniła tam *status quo* (tj. premiera rządu krajowego), przyćmiła dramatyczna ucieczka wyborców – i od chadeków, i od SPD.

To, dokąd uciekano, pokazuje dylemat obu formacji, które kiedyś przekonywały do siebie 80 proc. Niemców. Dylemat na dziś – gdy przy świetnej kondycji gospodarczej wyzwaniami są migracja (kiepska kontrola nad nią i jej skutkami), bezpieczeństwo wewnętrzne, a także demografia i powiązane z tym renty oraz zdrowie itd. Taki szczegół: w Hesji tyle samo wyborców odeszło od chadecji do Zielonych (dziś partii o profilu liberalno-lewicowo-mieszczańskim), co do skrajnie prawicowej AfD.

Publicysta „Die Welt" Ulf Poschardt nazwał styl Merkel „kontrromantycznym pragmatyzmem". Nie oferował on porywających idei, a realizowaną politykę prezentował jako najbardziej racjonalną, wręcz bezalternatywną. Długo to przekonywało – może dlatego, że w czasach kryzysów dawało poczucie stabilności. Teraz się wyczerpało. Chadecja musi pokazać obywatelom, że alternatywa istnieje. Niekoniecznie zaraz rewolucyjna, w opozycji do Merkel. Za to przekonująca dla szerokiego elektoratu: Helmut Kohl uważał, że sukces niemieckiej chadecji zasadzał się na integrowaniu komponentów konserwatywnego, socjalnego i liberalnego.

Czy to dziś możliwe? Kto w CDU może zapewnić nowy start? I czy jest on prawdopodobny, dopóki punktem odniesienia (oraz oceny) aż do roku 2021 będzie wciąż obecna kanclerz? Jak długo wreszcie wytrzyma SPD, która spadła do jednej ligi z Zielonymi i AfD? Zbyt wiele jest zmiennych, by dziś osądzić, czy Angela Merkel odejdzie na własnych warunkach. ©℗

Brazylia ostro na prawo

JAIR BOLSONARO, polityk skrajnie prawicowy, który jeszcze niedawno był elementem politycznego folkloru Brazylii, wygrał drugą turę wyborów prezydenckich. Ten były oficer, znany z radykalnych poglądów oraz rasistowskich, mizoginistycznych i homofobicznych wypowiedzi, nie wierzy w prawa człowieka, a niegdysiejszą brazylijską dyktaturę wojskową uważa za ucieleśnienie demokracji. Na wyjątkową skalę miejskiej przemocy (w kraju popełnianych jest ponad 60 tys. morderstw rocznie) proponuje rozwiązanie pozornie proste: ułatwienie dostępu do broni. Jego pomysł na rozwój gospodarczy to prywatyzacja spółek publicznych i otwarcie Amazonii dla przemysłu wydobywczego i rolnictwa, co oznacza zniszczenie tamtejszych lasów deszczowych i grozi zagładą rdzennym plemionom. To ostatnie powinno być powodem do niepokoju także dla reszty świata. Puszcza amazońska neutralizuje dużą ilość produkowanego na świecie dwutlenku węgla. Jej wyręb pod uprawy soi, kopalnie i pola naftowe przyczyni się do przyspieszenia zmian klimatu.

Sukces Bolsonara dowodzi, że duża część brazylijskiego społeczeństwa uległa urokowi skrajnie prawicowych poglądów i prostych recept na skomplikowane problemy. Bolsonaro zyskał prawie 58 mln głosów (o 10 mln więcej niż jego rywal z Partii Pracujących Fernando Haddad). Sukces odniosła też jego Partia Socjalliberalna: w Izbie Deputowanych zwiększyła liczbę posłów aż o 44 mandaty (do 52) i po raz pierwszy wprowadziła swych polityków do Senatu, zyskując cztery mandaty. © JAN SMOLEŃSKI

NOWA KALEDONIA zostaje przy Francji: 57 proc. głosujących w referendum opowiedziało się przeciw niepodległości tych wysp na Pacyfiku. Od XIX w. należą one do Francji, dziś mają dużą autonomię. Niepodległości chcą głównie Kanakowie, rdzenni mieszkańcy, stanowiący 40 proc. ludności. Do 2024 r. możliwe są jeszcze dwa takie referenda. ©℗

THEO ROUBY / AFP / EAST NEWS

Niemcy: gwałty i statystyki

DWA PRZYPADKI GWAŁTÓW, w których podejrzani są azylanci, na nowo wywołały w Niemczech temat przestępczości na tle seksualnym wśród imigrantów. We Fryburgu siedmiu młodych Syryjczyków i Niemiec zgwałciło 18-letnią studentkę. Poruszenie wywołała drastyczność czynu (główny sprawca, 22-latek, odurzył kobietę „pigułką gwałtu" na dyskotece, zgwałcił w parku, po czym zachęcał do tego kolegów; trwało to wiele godzin), jak też fakt, że choć był on podejrzany o liczne przestępstwa (pobicia, handel narkotykami, także gwałt), pozostawał na wolności. Również inni aresztowani są notowani, ale z powodu wojny w Syrii nie można było ich wydalić. Z kolei w Monachium aresztowano pięciu młodych Afgańczyków: mieli gwałcić 16-latkę, która była partnerką jednego z aresztowanych. 20-letni chłopak miał zmuszać ją do seksu z kolegami.

Z danych BKA („niemieckiego FBI") wynika, że w Niemczech rośnie liczba przestępstw na tle seksualnym z udziałem imigrantów. W 2017 r. odnotowano 40 tys. podejrzanych o takie przestępstwa, z czego ponad 11 tys. nie było Niemcami. Wśród sprawców 13proc. pochodziło z Syrii, a po 11 proc. z Afganistanu i Turcji. Kryminolodzy różnie interpretują te dane. Zdaniem jednych ofiary częściej zgłaszają się, gdy sprawcą jest imigrant. Inni wskazują na uwarunkowania kulturowe (inne wyobrażenie o relacjach kobieco-męskich) i społeczne (podatność na przestępczość u młodych samotnych mężczyzn). Pełnomocniczka rządu ds. integracji apeluje, by dla azylantów organizować kursy na temat równouprawnienia. ©℗ WP / NZZ, ZDF

PiS mobilizuje oponentów

JAROSŁAW FLIS

Wyniki drugiej tury wyborów samorządowych w dużych miastach specjalnie nie zaskoczyły. Może poza jednym elementem: PiS przegrało w największych ośrodkach wyraźniej niż cztery lata temu. Ciekawsze wydają się być jednak rozstrzygnięcia w takich miejscach jak Ostrołęka, Biała Podlaska czy Nowy Sącz, a więc w miastach, w których przedstawiciele partii Jarosława Kaczyńskiego rządzili wcześniej, a teraz zostali od władzy odsunięci. Te rozstrzygnięcia pokazują, że przekonanie o narastającej fali poparcia dla partii władzy było złudzeniem. Tę iluzję PiS budowało w przekonaniu, że polska scena polityczna jest coraz bardziej spolaryzowana, a ich partia jest największym tej polaryzacji beneficjentem. Tymczasem jest wręcz odwrotnie: PiS okazało się głównym poszkodowanym polaryzacji. Najbardziej stracili na tym młodzi konserwatyści – jak Kacper Płażyński czy Małgorzata Wassermann – którzy zaangażowali swoje siły w walkę na tak fatalnie dla nich skonfigurowanej scenie politycznej.

Podsumowując obie tury, można powiedzieć, że porażkę poniosła strategia Jarosława Kaczyńskiego, by postawić polityczny spór na ostrzu noża; przekonanie, że do wygrania jest mecz „PiS kontra reszta świata". Tak właśnie opisywali polską politykę przedstawiciele Prawa i Sprawiedliwości, tak też prowadzili kampanię. Strategia ta okazała się zgubna: jeśli partii władzy udała się mobilizacja przez polaryzację, to była to głównie mobilizacja... przeciwników. ©

Urzędnik na wietrze

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Jeśli ktoś myśli, że Jacek Czaputowicz rzucił rękawicę Zbigniewowi Ziobrze – i to z inspiracji premiera – jest w błędzie. Na finiszu kampanii samorządowej Ziobro poprosił Trybunał Konstytucyjny o zbadanie zgodności z ustawą zasadniczą zapisów traktatu o Unii. Opozycja przedstawiła to jako początek polexitu i w PiS zapanowała nerwowość. Wniosek Ziobry uznano za sypanie piachu w tryby wyborczej maszyny premiera – panowie konkurują. Gdy okazało się więc, że MSZ wysłało do TK krytyczną opinię o wniosku, mogło to wyglądać na ripostę premiera (Czaputowicz to jego dobry znajomy). Tymczasem szef MSZ po prostu wysłał do TK to, co dali mu podwładni. Jest typem urzędnika, który nie czuje politycznych wiatrów. Nieraz po jego słowach liderzy PiS zgrzytali zębami. Zapowiadał wspieranie Niemiec w sporze z Trumpem i stosowanie się do unijnych wyroków ws. ustaw sądowych. Jakie znaczenie ma więc opinia Czaputowicza? Żadne. W finale szef MSZ podkulił ogon i poparł wniosek Ziobry, zaprzeczając sobie. ©

W SKRÓCIE

SETKA. Bezczelnymi kalumniami są opinie, że polskie władze nie mają pomysłu na stulecie niepodległości. Np. na wieży klasztoru jasnogórskiego komandosi z jednostki w Lublińcu zawiesili stumetrową flagę Polski – dar prezydenta RP. Białoczerwoną – czytamy w relacji z wydarzenia – przyniosły dzieci przy wtórze orkiestry dętej z Mykanowa.

GRZEGORZ SKOWRONEK / AG

KAPITANOWIE. Orkiestry zabrakło na spotkaniu Jarosława Kaczyńskiego z o. Tadeuszem Rydzykiem, choć byli na nim, w roli kompanionów ojca dyrektora, biskup Pacyfik Dydycz i kapitan żeglugi wielkiej Mirosław Sielatycki (prezesowi PiS towarzyszyli szefowie MON i MSW). Informatorzy wp.pl twierdzą, że rozmowa nie przyniosła przełomu i stosunki między duchowymi przywódcami prawej części Polski pozostają napięte.

CIAŁA. Napięty pozostawał też, podczas warszawskiej rozmowy z Angelą Merkel, Mateusz Morawiecki. Ekspert od mowy ciała Maurycy Seweryn wyjaśnia „Rzeczpospolitej", że choć pani kanclerz starała się „delikatnie skierować górną część ciała w stronę pana premiera", co demonstrowało pozytywne nastawienie, to premier usztywniał ramiona, robił tzw. gest piłkarski, trzymał dłonie na wysokości bioder, a nogi lekko wycofywał pod krzesło: „chciał dobrze, ale wyszło słabo".

WSPARCIE. Chciał dobrze także Andrzej Duda, który na finiszu kampanii wyborczej w Nowym Sączu wsparł kandydatkę PiS Iwonę Mularczyk, pojawiając się wraz z nią na miejscowym cmentarzu. I tutaj jednak wyszło słabo – nie tylko ze względu na fakt, że większość polityków 1 listopada usunęła się w cień, ale ze względu na przegraną Mularczyk z Lubomirem Handzlem.

Jak Gliński topił Batorego

WYPŁATĄ PIENIĘDZY z Funduszy Norweskich na rozwój społeczeństwa obywatelskiego zarządzać będzie konsorcjum trzech fundacji: im. Stefana Batorego, Stocznia oraz Akademia Organizacji Obywatelskich. To koniec sporu o to, kto ma gospodarować pieniędzmi i zarazem porażka rządu PiS, który nie chciał dopuścić do tego grona Fundacji im. Stefana Batorego.

Na tzw. Fundusze Norweskie składają się członkowie Europejskiego Obszaru Gospodarczego, którzy nie należą do Unii – czyli Islandia, Liechtenstein i Norwegia. Na lata 2016-21 przewidziano z nich dla Polski 809 mln euro.

Operatorowi poprzedniej transzy, Fundacji im. Batorego, politycy PiS zarzucali dyskryminowanie tradycyjnego modelu rodziny i faworyzowanie środowisk LGBT, mimo że na liście beneficjentów był m.in. Caritas. Jesienią ubiegłego roku norweski dziennik „Verdens Gang" napisał, że minister Gliński wycofał się z żądania, by wypłatami zarządzał rządowy Narodowy Instytut Wolności. Do kolejnego spięcia między rządem RP a darczyńcami doszło latem, gdy z listy kandydatów na polskiego operatora funduszy skreślono Fundację Wolność i Demokracja, w radzie której zasiadał polityk PiS Adam Lipiński. Ministra Glińskiego oburzył wtedy fakt, że podobnych zastrzeżeń nie wzbudziła obecność wicemarszałka Senatu Bogdana Borusewicza (PO) w radzie Fundacji im. Stefana Batorego.

©℗ MAREK RABIJ

GRZEGORZ BANASZAK / REPORTER

ISTOCK / GETTY IMAGES

Dwukrotnie więcej zachorowań na odrę

„OSTRZEŻENIEM OD LOSU" – nazwał ostatnie ogniska odry na Mazowszu minister zdrowia Łukasz Szumowski podczas zwołanej w niedzielę wyborczą konferencji prasowej „Polak mądry przed szkodą". Uczestnicy konferencji przypomnieli: odra jest chorobą śmiertelną (umiera jedna na tysiąc osób), zakaźną (chory może zarazić nawet 19 innych).

Podali dane: od początku roku do połowy października zdiagnozowano w Polsce 128 przypadków odry (dwukrotnie więcej niż rok temu). Kolejne 17 zachorowań to ostatnie ognisko odry pod Warszawą. 95 proc. wyszczepialności (szczepienia na odrę wprowadzono w 1975 r.) chroni nas przed epidemią (w porównywalnym okresie w Serbii, gdzie nie ma obowiązku szczepień, na odrę zachorowało ponad 5 tys. osób).

Próbowali rozprawić się z mitami, m.in. tymi, zgodnie z którymi lekarze mają profity ze szczepień, a szczepionki w Polsce są przeterminowane. Wybrzmiało: „Rząd jest na »nie« w stosunku do dobrowolności szczepień". Jarosław Pinkas, główny inspektor sanitarny, nazywał przedstawicieli ruchu antyszczepionkowego „fałszywymi prorokami".

Równolegle w Sejmie trwają prace nad obywatelskim projektem ustawy znoszącej obowiązek szczepień, który zgłosiło Ogólnopolskie Stowarzyszenie Wiedzy o Szczepieniach „STOP NOP". Choć projekt został negatywnie zaopiniowany przez Naczelną Radę Lekarską, Ministerstwo Zdrowia i Główny Inspektorat Sanitarny, głosami posłów PiS trafił do dalszych prac.

©℗ GOA

Metrem do polityki

AŻ SIEDEM Z DZIESIĘCIU OSÓB urodzonych na przełomie stuleci nie ma prawa jazdy i nie zamierza kupować samochodu – wynika z badań przedstawionych kilka dni temu podczas konferencji Noah w Londynie. To, co dla poprzednich generacji było jednym z najważniejszych rytuałów przejścia w dorosłość, dla pokolenia tzw. millenialsów stało się uciążliwością.

Wyniki badań postaw konsumenckich najmłodszego pokolenia dorosłych od dawna spędzają sen z powiek szefom wielu korporacji. Tym razem padło na branżę motoryzacyjną, której produkty – jak wynika z badania na zlecenie banku Goldman Sachs – millenialsi zastępują transportem publicznym. W latach 2007-11 sprzedaż aut w grupie wiekowej 18-34 spadła w skali globu o ponad 29 proc. Jednocześnie w większości krajów rozwiniętych zanotowano szybki wzrost liczby użytkowników komunikacji miejskiej, na którą na całym świecie wydaje się dziś już ok. 7 bilionów dolarów rocznie.

Młodzi mieszczanie wolą kupować usługi niż produkty – konkludują badacze. To zaś oznacza, że jakość transportu publicznego stanie się jednym z najważniejszych tematów każdej kolejnej kampanii wyborczej.

©℗ MR

Stu lewaków na stulecie

RAFAŁ WOŚ

Z 11 listopada można zrobić różne rzeczy. Zamknąć w oficjałki albo otworzyć na bogactwo tego, co się wtedy dokonało. Szczeciński kolektyw Lewacka Szmata zrobił to drugie, wypuszczając serię koszulek i gadżetów „stu lewaków na stulecie niepodległości".

Przy okazji złamał dwa mity. Pierwszy, że lewica niepodległościowa to tylko Piłsudski, a może i mniej, bo naczelnik wysiadł z czerwonego tramwaju na przystanku niepodległość. Bo lewica to nie przypis, tylko główny nurt niepodległościowej sprawy. Kościuszko, Worcell, Konopnicka czy Płaskowicka stawiali kwestię niepodległości państwa na równi z faktyczną emancypacją wszystkich klas społecznych. Daszyński albo Dubois mieli na niepodległą Polskę pomysł od Piłsudskiego odmienny, zwłaszcza po 1926 r.

Drugi mit to przekonanie, że lewicowy skarbczyk niepodległościowych bohaterów psa z kulawą nogą nie obchodzi. Szczeciński kolektyw zebrał drogą crowdfundingu okrągłą sumkę potrzebną do rozpoczęcia produkcji, bez ministerialnej dotacji czy mecenatu biznesowego. Trudno o lepszy dowód, że ludzie chcą szerszego spojrzenia na dziedzictwo 1918 r. ©℗

Orzeł znów nie może

MARCIN WICHA

Miłość do barw narodowych powinna wyrażać się w prezentowaniu ich zgodnie z tradycją i honorem" – ogłosił w 2017 r. ówczesny minister spraw wewnętrznych. Wyrażanie miłości byłoby łatwiejsze, gdyby najpierw ustalić, jakie dokładnie są te barwy. Władze od dawna zapowiadały standaryzację flagi i opracowanie nowej wersji godła. Nie wyszło. MSW nie zdążyło z przygotowaniem załączników graficznych do odpowiedniego rozporządzenia. W drugie stulecie niepodległości wkraczamy ze starym orłem. Gorzej. „Rzeczpospolita" ujawniła, że w 1925 r. wzór naszego godła został przerysowany z medalionu francuskiej rzeźbiarki.

Porządkowanie symboliki narodowej to temat równie stary jak przekopywanie Mierzei Wiślanej. Na pozór zadanie z orłem jest łatwiejsze: Rosjanie nie robią problemów, ekolodzy nie protestują, Bałtyk nie porywa kołków. Mimo to nawet w ulubionej sferze symboli prawica nie odnosi sukcesów. Na szczęście jest coś, co zawsze im się udaje. Obecna władza to mistrzowie w odkupywaniu różnych rzeczy: kolejek linowych, dam, gronostajów, jachtów, banków i kierowców Formuły 1. Paradoksalnie, oskarżenie o plagiat może się więc okazać dobrą wiadomością. Wystarczy odnaleźć francuskich właścicieli orła i uroczyście odkupić od nich prawa. Z pomocą Orlenu i PGE powinno się udać. ©

Franciszek: świętość nasza codzienna

ŚWIĘCI to „wielki tłum (...) z każdego narodu i wszystkich pokoleń, ludów i języków” (Ap 7, 9) – podkreślił Franciszek w rozważaniu przed modlitwą Anioł Pański 1 listopada. Przypomniał, że śpiewając „Sanctus” podczas mszy „czynimy to, co oni czynią i (...) jesteśmy z nimi zjednoczeni bardziej niż kiedykolwiek (...) nie tylko z tymi najbardziej znanymi, z kalendarza, ale również z tymi z sąsiedztwa, z krewnymi i znajomymi”. Komentując Ewangelię o błogosławieństwach, Franciszek przedstawił je jako drogowskazy sugerujące obranie kierunku przeciwnego do tego, który proponuje świat. „Ewangelia nazywa błogosławionymi ubogich, podczas gdy świat mówi: błogosławieni bogaci. Ewangelia nazywa błogosławionymi cichych, podczas gdy świat mówi: błogosławieni ludzie despotyczni. Ewangelia nazywa błogosławionymi ludzi czystych, podczas gdy świat mówi: błogosławieni przebiegli. Droga świętości zdaje się prowadzić do porażki. A jednak święci »trzymają w swym ręku palmy«, czyli symbole zwycięstwa. To oni wygrali”.

Świętości nie trzeba zdobywać, wspinając się na szczyty ascezy czy przyjmując męczeństwo. W kwietniowej adhortacji „Gaudete et exsultate” papież napisał: „Pewna kobieta idzie na targ, by zrobić zakupy, spotyka sąsiadkę, zaczyna z nią rozmawiać i dochodzi do krytyki. Wówczas ta kobieta mówi w swoim wnętrzu: »Nie, nie będę o nikim mówić źle«. To jest krok ku świętości”. ©℗ MAM

Egipt: atak na koptów

MOHAMED EL-SHAHED / / AFP / EAST NEWS

PIELGRZYMKA CHRZEŚCIJAN koptyjskich do klasztoru św. Samuela w środkowym Egipcie skończyła się dramatem: 7 pielgrzymów zginęło, a 19 zostało rannych, gdy w miniony piątek ostrzelano ich autobus. Odpowiedzialność za ten czyn wzięło tzw. Państwo Islamskie. Gazeta „Al-Ahram” podała, że pogrzeb ofiar zamienił się w manifestację, podczas której wzywano do zemsty; miejscowy biskup próbował uspokoić tłum (na zdjęciu: żałobnicy podczas pogrzebu). W 2017 r. w podobnym ataku na autobus w tym regionie zginęło 29 koptów. W niedzielę papież Franciszek modlił się za ofiary, które „zginęły tylko dlatego, że były chrześcijanami”. Także w niedzielę egipska policja podała, że doścignęła i zastrzeliła 19 zamachowców. ©℗ WP / DPA, KATHPRESS

BUCCO HERBERT / REX / SHUTTERSTOCK / EAST NEWS

PAPIEŻ FRANCISZEK GARGULCEM. Mała kamienna figura przedstawiająca postać papieża zdobi od ubiegłego tygodnia portal słynnej średniowiecznej katedry w Kolonii w Niemczech. „Gargulec ma funkcję czysto dekoracyjną, nie jest częścią systemu odprowadzającego deszczówkę” – wyjaśnia Peter Füssenich, dyrektor stowarzyszenia konserwatorów kolońskiej świątyni, które od lat, przy okazji prowadzonych remontów, honoruje w ten sposób ważne osobistości. Oprócz Franciszka w kamieniu lub szkle (na witrażowych oknach) zostali uwiecznieni m.in. John F. Kennedy i Charles de Gaulle, a także... Nikita Chruszczow i piłkarze FC Köln. ©℗ EA

List Episkopatu – pasterski niewypał

ARTUR SPORNIAK

Zmarnowana szansa; brak atrakcyjnej wizji dla współczesnych Polaków; powielanie stereotypu Polaka-katolika; ominięcie ważnych tematów społecznych, jak przestrzeganie w kraju konstytucji czy otwartości na migrantów i uchodźców; prezent ofiarowany przez hierarchów krytykom Kościoła – z takimi zarzutami spotkał się ze strony publicystów list pasterski Episkopatu z okazji 100. rocznicy odzyskania niepodległości. „Odstępowanie od wiary katolickiej i chrześcijańskich zasad jako podstawy życia rodzinnego, narodowego i funkcjonowania państwa, to najpoważniejsze z zagrożeń, które doprowadziły już raz w przeszłości do upadku Rzeczypospolitej” – napisali w nim biskupi, a wśród współczesnych „wad narodowych” wymienili m.in. „szkalowanie i znieważanie wiary katolickiej, polskiej tradycji narodowej i tego wszystkiego, co stanowi naszą ojczyznę”.

List miał zostać odczytany w niedzielę 4 listopada. W wielu jednak kościołach nie był czytany. W diecezji krakowskiej przedstawiono list abp. Marka Jędraszewskiego na Dzień Ubogich. W Warszawie poszła wśród księży fama, że nie trzeba czytać listu Episkopatu. Księża usprawiedliwiali się, że dokument dotarł do nich w dwóch wersjach (różniących się tylko jednym zdaniem) i nie wiadomo, którą czytać. Dominikanie tradycyjnie cytowali tylko fragmenty.

„Ich listy pasterskie zawsze czytam z ambony – pisał na tych łamach kilka lat temu ks. Adam Boniecki. – To biskupi są pasterzami, a my, prości księża, ich pomocnikami – streszczanie, poprawianie, skracanie listów uważam więc za grzeszną arogancję. Czytam, nie bacząc na apatyczną postawę słuchaczy. Apatyczną, bo u nas – słusznie czy nie – od pasterskich listów nikt się niczego ważnego nie spodziewa. Może dlatego, że autorzy obawiają się wyjścia poza granicę ogólników i spraw znanych”. ©℗

W SKRÓCIE

ŚW. MIKOŁAJ – ZAMKNIĘTY. Jedna z najstarszych świątyń Gdańska, dominikańska bazylika św. Mikołaja, została zamknięta do odwołania. Na sklepieniu, filarach i posadzce bocznej nawy świątyni pojawiły się pęknięcia, które stanowią bezpośrednie zagrożenie dla osób przebywających w kościele – poinformowali dominikanie. Wstępnie za przyczynę podaje się osiadanie kościoła na skutek wyschnięcia wód gruntowych. Msze w dni powszednie odbywają się w salce przykościelnej, natomiast w niedzielę i święta dominikanie odprawiają gościnnie w karmelitańskim kościele św. Katarzyny i w kościele św. Jana.

BLUŹNIERSTWO – WYKREŚLONE. Irlandczycy przegłosowali wykreślenie bluźnierstwa z katalogu przestępstw uznanych przez konstytucję. W referendum zorganizowanym przy okazji wyborów prezydenckich 65 proc. Irlandczyków zagłosowało za wykreśleniem, a 35 proc. przeciw. Przepis o bluźnierstwie funkcjonował od 1937 r. W 2017 r. irlandzka policja wszczęła postępowanie w sprawie brytyjskiego komika Stephena Frya, który w irlandzkiej telewizji nazwał Boga „głupim" i uzasadnił to „stworzeniem świata pełnego niesprawiedliwości i bólu". Sprawę umorzono, ale wywołała ona publiczną dyskusję, która doprowadziła do referendum.

HALLOWEEN – WYPIERANE. Procesje, adoracje, korowody świętych, noce świętych – w taki sposób katolicy w Polsce coraz liczniej obchodzą wigilię Wszystkich Świętych. Drugi rok z rzędu przez Szczecin przeszła Procesja ze Świętymi. W diecezji kieleckiej w kilkudziesięciu parafiach odbyły się nabożeństwa, podczas których oddawano cześć relikwiom. Noce Świętych odbyły się m.in. w Bydgoszczy i Gnieźnie, a także w bazylice św. Trójcy na Świętym Krzyżu w Górach Świętokrzyskich. W zamyśle inicjatorów nowe zwyczaje mają uczyć krytycznego podejścia do komercyjnego promowania w Polsce Halloween.

Biskupi Francji walczą z pedofilią

211 OFIAR PRZESTĘPSTW SEKSUALNYCH duchowieństwa zgłosiło się w ostatnich dwóch latach do instytucji utworzonych przez biskupów – wynika z raportu ogłoszonego przez Episkopat Francji. To prawie tyle samo, co w przypadku sześciu poprzednich lat łącznie. Biskupi zgłosili do prokuratury 75 przypadków; obecnie trwają śledztwa w sprawie 10 duchownych. 30 października ruszyła sprawa karna przeciwko 83-letniemu b. biskupowi Orleanu André Fortowi za tuszowanie sprawy podległego mu księdza, który miał molestować seksualnie dzieci na obozie letnim w 1993 r. Biskupowi grozi kara trzech lat więzienia.

Po 2016 r., kiedy wychodzące na jaw kolejne skandale seksualne księży wywołały debatę medialną, biskupi powołali specjalną „komórkę ds. permanentnej walki z pedofilią" pod kierownictwem bp. Luca Crépy'ego z Puy-en-Velay. Otwarli też stronę internetową, gdzie można zgłosić przypadki wykorzystywania seksualnego. W diecezjach utworzono w tym celu specjalne komórki. Ponadto przeszkolono 7-8 tys. księży i świeckich chcących zajmować się sprawami nadużyć. Biskupi nie podjęli natomiast inicjatywy parlamentarnego śledztwa w sprawie nadużyć w Kościele. Do 8 listopada trwa w Lourdes zgromadzenie plenarne Episkopatu, podczas którego wystąpi osiem ofiar pedofilii księży. ©℗ MACIEJ MÜLLER

AKHTAR SOOMRO / REUTERS / FORUM

Droga krzyżowa Asii Bibi

„SĘDZIA PODAROWAŁ MI NOWE ŻYCIE" – mówiła Asia Noreen, chrześcijanom na świecie znana jako Asia Bibi (siostra Asia), gdy usłyszała, że Sąd Najwyższy Pakistanu uchylił wyrok śmierci za rzekome bluźnierstwo, z którym spędziła w więzieniu ostatnich 8 lat. Ale nowe życie nie oznacza dla niej powrotu do tego, które było. To, że dla bezpieczeństwa swojego i rodziny będzie musiała opuścić kraj, zdawało się przesądzone. Teraz nie wiadomo, czy będzie możliwe.

Asię Bibi, matkę pięciorga dzieci, aresztowano w 2009 r. po tym, jak dwie współtowarzyszki z pracy oskarżyły ją o bluźnierstwo. Kobiety odmówiły wypicia wody przyniesionej przez Asię, po czym miała nastąpić kłótnia, w której miało paść bluźnierstwo pod adresem proroka Mahometa. W Pakistanie od 1969 r. obowiązuje prawo, które pozwala za to skazać na śmierć, i wciąż ma duże poparcie społeczne.

Protesty ekstremistów wybuchły zaraz po decyzji sądu (na zdjęciu). Zablokowali oni główne drogi kraju, żądając powieszenia Asii. Do demonstracji wzywał Hafiz Saeed, lider organizacji Lashkar-e-Taiba (uznanej za terrorystyczną). Protestują też zwolennicy partii Tahrik-e-Labbaik Pakistan, która ma wprawdzie znikome poparcie społeczne, ale przyciąga uwagę protestami i blokadami dróg. Władze ugięły się pod naciskiem protestów i zawarły rodzaj ugody z ekstremistami. Ogłoszono, że Asia nie będzie mogła opuścić kraju, i że rząd nie zablokuje odwołania od ostatniego wyroku. Wszyscy protestujący, których zatrzymano, zostaną zwolnieni. Mąż Asii, Bibi Ashiq Masih, apeluje do przywódców USA, Wielkiej Brytanii i Kanady o azyl i umożliwienie rodzinie wyjazdu z kraju. Natomiast jej adwokat Saiful Malook, który wolał opuścić Pakistan, tak komentuje ugodę władz z protestującymi: „Nie są nawet w stanie wprowadzić w życie wyroku najważniejszego sądu w kraju". © ZUZANNA RADZIK

Pokonany paraliż

TRÓJKA PACJENTÓW PO URAZIE RDZENIA KRĘGOWEGO dzięki naukowcom z Politechniki Federalnej w Lozannie znów była w stanie chodzić o własnych siłach. Informacje o spektakularnych efektach ich pracy opublikowało pod koniec października czasopismo „Nature".

Metoda Grégoire'a Courtine'a i jego zespołu zakłada wszczepienie elektrostymulatora, złożonego z płytki usianej elektrodami, które pokrywają rdzeń w jego lędźwiowej części, oraz generatora impulsów. Aby skojarzyć impulsy z wykonywanym ruchem, pacjenci byli podłączeni do urządzeń rejestrujących szczątkową aktywność ruchową, pozostałą po uszkodzeniu rdzenia. Gdy pacjent próbuje przykładowo zgiąć nogę w kolanie, ta szczątkowa aktywność jest rejestrowana, a następnie uruchamiany jest generator, który wysyła serie impulsów do specyficznych miejsc w rdzeniu i wywołuje skurcz odpowiedniej grupy mięśni zginaczy.

Mechanizm działa jedynie wspomagająco, ułatwia komunikację pomiędzy mózgiem a rdzeniem kręgowym. Sam wygenerowany impuls, bez zamiaru, nie wywołał ruchu. Dlatego według autorów publikacji szczególnie istotna jest też rehabilitacja. Po miesiącach treningów poprawa widoczna była również przy wyłączonym stymulatorze, co dowodzi niezwykłej zdolności tkanki nerwowej do regeneracji. © BARTOSZ KABAŁA

Co mówią zęby

NEANDERTALSKIE DZIECI raczej nie lubiły zimy. Przynajmniej ta dwójka żyjąca 250 tys. lat temu na południu dzisiejszej Francji, po której skamieniałości – pojedyncze zęby – udało się zbadać zespołowi Tanyi Smith.

„Osobnik Payre 6" i „osobnik Payre 336" – jak są określane w raporcie z badań opublikowanym na łamach „Science Advances" – zostały odstawione od piersi, gdy miały ok. 2,5 roku. W zimie, surowej i suchej, musiały przymierać głodem – badacze odnaleźli u nich ślady gwałtownego spadku wagi, który nastąpił już po tym, jak zaczęły przyjmować stały pokarm. Odkryto także ślady zatrucia ołowiem, którego złoża występują w tamtym regionie – dzieci musiały spożyć skażoną żywność albo wodę lub były wystawione na trujące opary. Jakkolwiek było, również zatrucie ołowiem nastąpiło zimą. ©℗ ŁK

SCIENCE

BARTŁOMIEJ BUDNY / MAT. PRASOWE

Siódma drużyna świata

ŁUKASZ MIŚKIEWICZ, bramkarz, kiedyś pracował w kopalni. „Nagle coś nade mną huknęło – opowiadał „Przeglądowi Sportowemu". – Wystraszyłem się, że coś się wali (...) i odruchowo się schyliłem. I wtedy maszyna pociągnęła mi rękawicę wraz z dłonią i zaczęła nawijać na taki ślimak jak w maszynce do mielenia mięsa. (...) Zaraz wciągnęłaby mnie całego razem z głową i resztą. Zaparłem się brzuchem o maszynę i oderwałem sobie rękę". To jedna z wielu historii polskich amp futbolistów: piłkarzy, którzy mimo amputacji kończyny (w przypadku bramkarzy ręki, u graczy z pola – nogi) postanowili odnaleźć się w nowym życiu dzięki sportowi.

Reprezentacja Polski w amp futbolu zakończyła w miniony weekend udział w mistrzostwach świata, wygrywając 1:0 na koniec mecz o siódme miejsce z Hiszpanią (na zdjęciu). Niezły wynik to jedno, samo zjawisko to drugie: cztery miesiące po mundialowej klęsce naszych zawodowców – klęsce, którą poprzedziło rytualne pompowanie balona – zaskakującą popularność w Polsce zyskuje amp futbolowa wersja tej dyscypliny. Polskich futbolistów po amputacjach wspierały – również finansowo – gwiazdy, z Robertem Lewandowskim na czele, a relacje z imprezy zamieszczały największe media (Onet wysłał do Meksyku znanego dziennikarza sportowego Michała Pola, który od lat opisuje świat sportowców z niepełnosprawnościami).

„Prawdziwi mistrzowie" – napisał na Instagramie Lewandowski, podsumowując występ kolegów.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Żegnamy wzorzec kilograma

W PRZYSZŁYM TYGODNIU na 26. spotkaniu Generalnej Konferencji Miar nastąpi formalne głosowanie nad nową definicją kilograma. Od 1889 r. wszystkie wagi świata, od superdokładnych wag farmaceutycznych po te, na których w naszym sklepie osiedlowym trafiają plasterki krakowskiej suchej, odwołują się pośrednio do standardowego wzorca kilograma. To niewielki metalowy cylinder, zamknięty w sejfie w podparyskim Saint-Cloud. Kilogram to tyle, ile waży ów obiekt – i koniec. Nad polską certyfikowaną kopią („prototypem nr 51") czuwa Główny Urząd Miar.

To kłopotliwa definicja. Sama procedura porównywania narodowych wzorców, przeprowadzana z najwyższą ostrożnością raz na kilkadziesiąt lat, sprawia, że potrafią one... zmienić swoją masę (o wielkość rzędu mikrogramów). Co zabawne, gdy odłupie się kawałeczek podstawowego wzorca francuskiego, jego masa wcale nie spadnie – będzie wciąż wynosić, z definicji, dokładnie kilogram.

Nowa proponowana definicja kilograma to kombinacja definicji sekundy i metra, które z kolei odwołują się do fundamentalnych zjawisk fizycznych (jak prędkość światła). Wzorce mają działać, a nie być romantyczne! ©℗ ŁL

W SKRÓCIE

LAUREAT. Grafik i projektant książek Jan Bajtlik, znany także z ilustracji publikowanych w „Tygodniku", został wyróżniony w dorocznym rankingu dziennika „The New York Times" i Nowojorskiej Biblioteki Publicznej najpiękniejszych książek dla dzieci. Kapituła nagrodziła zilustrowany przez Bajtlika angielski przekład „Auta" J.M. Brum – pod tym pseudonimem kryje się zespół Wydawnictwa Dwie Siostry.

SETKA. Z kolei na liście stu najlepszych nieanglojęzycznych filmów brytyjskiej stacji BBC znalazły się dwa polskie tytuły: „Niebieski" Krzysztofa Kieślowskiego (na 64. miejscu) oraz „Popiół i diament" Andrzeja Wajdy (miejsce 99). Za najlepszy film krytycy uznali „Siedmiu samurajów" Akiry Kurosawy. W setce najwięcej jest filmów francuskojęzycznych (27).

PASZTET. W roli krytyka, a raczej cenzora, coraz lepiej czuje się Facebook. Serwis postanowił chronić swych użytkowników nie tylko przed dziełami Rubensa (ze względu na eksponowaną nagość), ale też przed nowym wydaniem „Moby Dicka" Melville'a (algorytm doszukał się w angielskim tytule wulgaryzmu. Wcześniej Facebook blokował m.in. posty promujące powieść Gaddy „Niezły pasztet na via Merulana".

KLOPS. Równie czujni jak algorytmy Facebooka okazali się pracownicy nowojorskiego lotniska LaGuardia: zatrzymali dwójkę pasażerów podróżujących z książką malarza i performera Marlosa E'vana, zawierającą zdjęcia broni i fotografie, na których zainscenizowano sceny przemocy. W pokoju przesłuchań odbyła się długa dyskusja na temat sztuki współczesnej.

RDC POLSKIE RADIO

PIOTR KOSIEWSKI opowie Grzegorzowi Chlaście o zrabowanej kolekcji dzieł sztuki Gurlitta (czytaj na s. 48) w środę 7 listopada o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie
– www.rdc.pl

Co w Halloween naprawdę strasznego

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Jak co roku, tak i przed tym 1 listopada przez media społecznościowe przetoczyły się dyskusje o demoniczności i grzeszności halloweenowej dyni. Tymczasem w Wielkiej Brytanii przeprowadzono z końcem października badania konsumenckie, które pokazały, że po Halloween 8 mln dyń wyląduje w koszach na śmieci – starczyłoby ich na ciasto dyniowe dla każdego poddanego królowej. Tylko co trzeci Brytyjczyk wykorzystuje w kuchni wydrążony miąższ.

Marnowanie żywności kosztuje światową gospodarkę 940 mld dolarów rocznie, a głodu na co dzień doświadcza 815 mln ludzi. Jeśli utrzymamy dzisiejszy trend, do 2030 r. będziemy rocznie marnować 2,1 mld ton jedzenia o wartości 1,5 bln dolarów (dane Światowego Forum Ekonomicznego). Polacy marnują dziś 9 mln ton żywności rocznie, co daje nam 5. miejsce w Unii (według Greenpeace).

Brytyjska fundacja Hubbub od pięciu lat w ramach akcji #PumpkinRescue („Ratunek dyniom") organizuje wspólne wycinanie dyń i przy okazji uczy, co z nich przyrządzić. Skoro i u nas halloweenowa dynia – ku uciesze supermarketów – się przyjęła, może za rok warto w sporze o nią przesunąć akcenty i rozejrzeć się za najbliższym bankiem żywności albo inicjatywą karmiącą potrzebujących.

Bo co jak co, ale marnowanie jedzenia to z pewnością grzech. ©℗

432 TYS. DOLARÓW: to kwota, za jaką wylicytowano w paryskim domu aukcyjnym Christie's obraz wygenerowany przez sztuczną inteligencję. Portret nieistniejącego Edmonda De Belamy'ego to pierwsza z 11 prac wystawionych na sprzedaż przez artystów z grupy Obvious, twórców algorytmu, który na podstawie 15 tys. historycznych dzieł stworzonych pomiędzy XIV a XX wiekiem generuje „własne" obrazy. ©℗ MOC

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA.ORG

Zmarł Jerzy Wyrozumski

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

ZNAKOMITY MEDIEWISTA, stanowił wzór rzetelności i uczciwości w nauce i w działalności społecznej. Rodzinną Trembowlę musiał opuścić jako nastolatek, w 1950 r. podjął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, z którym związany był przez resztę życia (profesorem nadzwyczajnym został w 1981 r., zwyczajnym – w 1993). Uczeń prof. Romana Grodeckiego i kontynuator tradycji krakowskiej szkoły historycznej, zajmował się najpierw historią gospodarczą i społeczną polskiego średniowiecza, potem przyszedł czas na dwie syntezy dziejów tej epoki oraz na monumentalne „Dzieje Krakowa do schyłku wieków średnich" i biografię Kazimierza Wielkiego. W latach 80. jako dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego, a potem prorektor UJ bronił wywalczonej przez Solidarność autonomii uczelni. W latach 90. współorganizował wskrzeszoną Polską Akademię Umiejętności i został jej członkiem czynnym oraz sekretarzem generalnym. Człowiek instytucja, obdarzony powszechnym zaufaniem, niezwykle przy tym skromny, pełnił wiele funkcji w życiu naukowym. Zmarł w wieku 88 lat. ©℗ TOMASZ FIAŁKOWSKI

DOKĄD MASZERUJE NIEPODLEGŁOŚĆ

Listopad to dla Polaków niebezpieczna pora, więc próby nadania Świętu Niepodległości ludycznego charakteru długo nie chciały się powieść. Dopiero rok 2010 nadał mu dwuznacznego wigoru.

DARIUSZ KOSIŃSKI

Marsz Niepodległości, Warszawa, 11 listopada 2017 r.

ARKADIUSZ ZIOŁEK / EAST NEWS

Już za kilka dni moment oczekiwany i zapowiadany od dawna: 11 listopada 2018, setna rocznica odzyskania niepodległości. Warto przypomnieć i uświadomić sobie, co dotychczas wydarzyło się wokół tego święta.

Tradycja wynaleziona

Wskazanie daty początkowej, wokół której wspólnota może budować formy pamięci i tożsamości, to jedna z podstawowych państwowych konieczności. Jej wyznaczenie zawsze jest rezultatem przyjętego współcześnie rozumienia historii.

Tak właśnie było z datą 11 listopada, która nawet w swoim najbliższym sąsiedztwie miała wielu konkurentów, np. 7 listopada – powołanie rządu Ignacego Daszyńskiego, 14 listopada – samorozwiązane Rady Regencyjnej, 22 listopada – ustanowienie urzędu Tymczasowego Naczelnika Państwa i objęcie go przez Józefa Piłsudskiego. O ile niewybranie tego pierwszego wydaje się dość łatwe do wyjaśnienia (rząd Daszyńskiego mimo swego pierwszeństwa nie odegrał większej roli, a jego premier był socjalistą), o tyle niewybranie innych dat związanych z Piłsudskim wyraźnie wskazuje na intencje, z jakich wyrastała decyzja o ustanowieniu Święta Niepodległości właśnie 11 listopada.

Historycznie wychwytywane wydarzenia, jakie miały miejsce tego dnia, to podpisanie przez Niemcy rozejmu kończącego I wojnę światową oraz przekazanie Piłsudskiemu dowództwa wojsk polskich pozostających pod kontrolą Rady Regencyjnej. Jednocześnie był to pierwszy pełny dzień działalności Piłsudskiego w Warszawie, do której przybył 10 listopada, a także dzień starć zbrojnych ze stacjonującymi w Warszawie oddziałami niemieckimi, które nie chciały złożyć broni.

Na wybór 11 listopada składają się zatem cztery elementy: osoba Józefa Piłsudskiego, który ustanawia niepodległość już samym swoim pojawieniem się; ↦

↦ nadrzędność wojska wraz z przypisywanymi mu walorami (służebność, dyscyplina, oddanie sprawie, ofiarność), które pozwalają widzieć w nim projekt przyszłego społeczeństwa; czyn zbrojny, wprawdzie o charakterze ograniczonym, ale przez powiązanie z wcześniejszymi powstaniami stanowiący znak sprawczości społeczeństwa; połączenie z datą zakończenia wojny w Europie, nadające szczególne znaczenie udziałowi w niej polskich sił zbrojnych, w tym oczywiście na pierwszym miejscu Legionów.

Święto pamiątek

Dołączyć do tego trzeba jeszcze jeden element, być może nienależący do porządku motywacji, ale na pewno będący efektem umieszczenia Święta Niepodległości właśnie w listopadzie, w pobliżu świąt zadusznych, co nadawało i nadaje obchodom odnowienia państwa zabarwienie żałobne. Elementem święta stało się oddanie hołdu tym, którzy za niepodległość walczyli i oddali życie, co wobec wielkości ich ofiary przesycało rocznicę tryumfu atmosferą żałoby, wzmacnianą przez jesienne „okoliczności przyrody".

Ten poważny i zaduszkowy charakter 11 listopada widać szczególnie w zestawieniu z innym narodowym świętem, obchodzonym 3 maja. Miało ono wszelkie dane, by stać się postulowanym przez wielu świętem radości i dumy z osiągnięć Polaków: rocznica wyjątkowego, ustrojowego i postępowego aktu woli, obchodzona dojrzałą wiosną, w sąsiedztwie religijnych świąt odrodzonego życia, stanowiła wręcz wymarzone przedstawienie młodego, silnego życia narodowego, skierowanego raczej w przyszłość niż spoglądającego w przeszłość. Nic więc dziwnego, że odrodzona Polska właśnie ten dzień ogłosiła świętem państwowym i narodowym już w roku 1919.

Tymczasem 11 listopada za oficjalne święto państwowe uznano dopiero ustawą z 23 kwietnia 1937 r., czyli prawie 20 lat po odzyskaniu niepodległości. Nie znaczy to, że nie obchodzono go także wcześniej, ale uroczystości te były początkowo dość skromne i wiązały się przede wszystkim z osobą marszałka Piłsudskiego. Dopiero z rozwojem jego kultu, silnie promowanego po zamachu majowym 1926 r., zaczęto coraz mocniej zaznaczać wyjątkowość tego dnia. Właśnie od tamtego roku 11 listopada był dniem wolnym od pracy, co dokonało się na podstawie okólnika wydanego 8 listopada 1926 r. przez samego Piłsudskiego.

Święto obchodzono przede wszystkim z wykorzystaniem form wojskowych i kościelnych – defilad i mszy, nadając mu stopniowo coraz większy rozmach. Szczególne jego spotęgowanie nastąpiło w 1928 r., gdy obchodzono dziesięciolecie niepodległości, a obok specjalnej sesji Sejmu, mszy i parady historycznej zorganizowano wielką defiladę na Polu Mokotowskim. Przyjmował ją oczywiście Józef Piłsudski. Odtąd defilada stała się centralnym punktem obchodów, a gdy Marszałka zabrakło, element wojskowy połączył się z zaduszkowym: wojsko defilowało jak przed laty, lecz już nie przed Piłsudskim, tylko przed jego otoczonym kultem brakiem.

Akademie i alternatywy

Władze komunistyczne zniosły Święto Niepodległości w roku 1945, znanym prawem zwycięzców ustanawiając własne Święto Odrodzenia (zestawienie nazw – znaczące) obchodzone 22 lipca.

Obchody 11 listopada przywrócono już w roku 1989, w ten sposób deklarując niejako nawiązanie zerwanej ciągłości z II RP. Obchody pozostały jednak na poziomie oficjalnych deklaracji i takichże perfor-

Narodzin tego, co **objawiło się w roku 2010 jako masowy Marsz Niepodległości,** nie sposób sobie wyobrazić bez wydarzeń, które miały miejsce po katastrofie smoleńskiej 10 kwietnia tamtego roku.

BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

Marsz dla Niepodległej zorganizowany przez prezydenta RP Bronisława Komorowskiego, Warszawa, 11 listopada 2012 r.

mansów, a najważniejszy ich element przez lata znów stanowiło oddanie hołdu tym wszystkim, którzy o wolną Polskę walczyli, a zwłaszcza ofiarowali za nią życie. Centrum tak rozumianych i celebrowanych obchodów był Grób Nieznanego Żołnierza na centralnym placu Warszawy, noszącym po 1989 r. nazwę placu Piłsudskiego. Podobnie jak przed wojną, kulminacją oficjalnych obchodów była parada wojskowa. Przez wiele lat jedyną alternatywą dla tej oficjalnej „akademii" były zbiorowe śpiewy patriotyczne, takie jakie na Rynku w Krakowie organizował przez lata kabaret Loch Camelot.

Jednak próby nadania Świętu Niepodległości bardziej ludycznego charakteru nie powiodły się. Listopad – dla Polaków niebezpieczna pora – pod żadnym względem nie sprzyja radosnym zabawom.

Sytuacja wydawała się ustalona i zamknięta na amen, gdy na niemal niedostrzegalnym marginesie zaczęła się rodzić alternatywa. 11 listopada 2006 r. Obóz Narodowo-Radykalny zorganizował marsz, który przeszedł warszawskim Traktem Królewskim, spod Kolumny Zygmunta do placu Na Rozdrożu, pod odsłonięty dokładnie dzień wcześniej pomnik Romana Dmowskiego.

Marsz nie był ludny i mało kto zwrócił na niego uwagę, a choć w latach kolejnych demonstracje narodowe rosły w siłę, stopniowo obejmując kolejne organizacje, to narodzin tego, co objawiło się w roku 2010 jako masowy Marsz Niepodległości, nie sposób sobie wyobrazić bez wydarzeń, które miały miejsce po katastrofie smoleńskiej 10 kwietnia tamtego roku. Performanse posmoleńskie doprowadziły do aktywizacji społecznej niezgody, zbierając rozproszone i ukryte formy sprzeciwu wobec dominującego w oficjalnej polskiej polityce kursu liberalnego i proeuropejskiego, który da się w uproszczeniu przedstawić w haśle „Polska – normalne państwo europejskie".

Katastrofa przecięła ten dyskurs jak brzoza skrzydło prezydenckiego samolotu. Do głosu doszły i posłuch uzyskały wytłumiane dotychczas narracje mesjanistyczno-spiskowe, połączone z postromatycznymi projekcjami, na czoło zaś wysunęła się wprowadzana aktywnie w przestrzeń symbolika narodowej jednolitości, oznaczająca solidarność warunkowaną rozpoznaniem „swoich" i rugowaniem obcych.

To właśnie zadecydowało o sukcesie Marszu Niepodległości. Planowany jako pokaz jedności ugrupowań nacjonalistycznych, został niespodziewanie zasilony przez rosnącą szybko grupę sojuszników. Wybierali oni narodową identyfikację zarówno w akcie niezgody na ostatnie wydarzenia, jak i jako rodzaj spóźnionej reakcji na procesy europeizacji, oznaczające wszak (przynajmniej częściową) rezygnację z przekonania o wyjątkowości Polski i Polaków. Wielorakie ograniczenia ludzkiej sprawczości, o których przypomniała katastrofa smoleńska, wzmocniły także pragnienie niepodległości jako celu rzekomo nieosiągniętego. Politycznie skutkowało to postępującą negacją realnego państwa, jego skuteczności i uprawomocnienia. Oraz zwiększeniem mocy demonstracji, produkujących społeczną przestrzeń dla tak pojmowanej niepodległej Polski, ustanawianą najwyraziściej rozbrzmiewającym nie tylko na Krakowskim Przedmieściu okrzykiem „Tu jest Polska!".

Han pasado!

Łatwo zauważyć, że takie przesunięcie pozostawało w zgodzie z tym, co już od początku realizowane było w praktykach manifestacji narodowców w dniu 11 listopada. Marsz był w tym wydaniu szturmem skierowanym ku przyszłemu zwycięstwu. W odróżnieniu od posmoleńskiego Marszu Pamięci, który próbowano ośmieszyć, ale którego w tamtym czasie nikt nie odważył się zatrzymywać i blokować, Marsz Niepodległości od początku był blokowany, a ta blokada i jej przewalczanie stanowiły wręcz stały element wydarzenia. Przełomowe znaczenie miała jednak dopiero blokada z roku 2011, polegająca na zorganizowaniu stacjonarnej demonstracji, wiecu pod hasłem „Kolorowa Niepodległa". Jej zgromadzonych na Marszałkowskiej i demonstrujących wielobarwną różnorodność uczestników policjanci oddzielili kordonem od Marszu Niepodległości, tworząc dwie zamknięte sceny, na których swoją odmienność manifestowały dwie konkurencyjne wspólnoty. Taka statyczna reprezentacja odmienności nie mogła się jednak utrzymać – mówimy wszak o marszu. Zakładana trasa, odpowiednia dla wielkiej, spektakularnej manifestacji, została zablokowana, organizatorzy w porozumieniu z policją i władzami miasta skierowali tłum bocznymi ulicami pod pomnik Romana Dmowskiego na placu Na Rozdrożu.

Pozornie oznaczało to sukces „Kolorowej". Ale błyskawicznie zaczął pracować inny wzór – może jeszcze silniejszy: wzór partyzancki i „wyklęty" zarazem. Zamiast patriotycznego widowiska – teatr guerilla. Wszystko, co działo się później, było w perspektywie dramaturgii partyzanckiej spójne. Podzielony na małe grupy marsz przenikał stosunkowo wąskimi ulicami na plac Na Rozdrożu, podczas gdy grupy zamaskowanych bojowników jak rasowa straż tylna pozostały na placu Konstytucji i zaatakowały kordon policyjny oddzielający ich od „Kolorowej Niepodległej". Te same grupy zaatakowały potem dziennikarzy na placu Na Rozdrożu, paląc wóz transmisyjny TVN24. Zaraz potem policja rozwiązała zgromadzenie.

Niechętne Marszowi media wielokrotnie pokazywały obraz płonącego po zmroku ↦

samochodu i uliczną bitwę, w jaką zamieniła sie świąteczna demonstracja. Nie zmieniało to jednak w niczym faktu, że Marsz przeszedł, a na blokujących go aktywistów posypał sie grad oskarżeń o prowokację oraz niedemokratyczne i niezgodne z deklarowaną otwartością i tolerancją powstrzymywanie legalnej i większościowej demonstracji.

Idę z Bronkiem

Efektem porażki roku 2011 była rezygnacja z prób blokowania Marszu w roku następnym i zastąpienie ich przez konkurencyjne manifestacje, spośród których najważniejszy był zorganizowany m.in. przez Kancelarię Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego Marsz dla Niepodległej. Jego trasa przebiegała od placu Piłsudskiego, przez Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, plac Trzech Krzyży i Aleje Ujazdowskie, a kończyła się przed Belwederem.

Marsz dla Niepodległej stanowił próbę stworzenia przedstawienia o zupełnie innym charakterze niż demonstracje narodowców. Zamiast iść przez centrum ku jednemu celowi, marsz prezydencki wędrował Traktem Królewskim między „stacjami" – kolejnymi pomnikami ludzi ważnych dla odzyskania i utrzymania niepodległości. Przy każdym z nich na prezydenta i jego świtę oraz innych uczestników oczekiwały delegacje osób związanych ideowo z kolejnymi monumentalnymi bohaterami, a po wspólnym złożeniu wieńców śpiewano odpowiednio dobraną pieśń.

Z założenia trasa i program uroczystości były tak ułożone, że obejmowały cały wachlarz postaw i postaci od Józefa Piłsudskiego, przez kardynała Stefana Wyszyńskiego, Wincentego Witosa, Stefana Grota-Roweckiego i Ignacego Paderewskiego, aż po Romana Dmowskiego. Dążono więc do połączenia wielu odmiennych projektów polskości, przeciwstawiając sie w ten sposób konfrontacyjnemu charakterowi Marszu Niepodległości. Przeciwstawienie to wzmacniała odmienność samych działań fizycznych. Wbrew nazwie Marsz dla Niepodległej był raczej spacerem: uczestnicy szli niespiesznie, luźnym szykiem, bez zachowania szczególnej hierarchii, a uśmiechnięty w charakterystyczny dla siebie sposób prezydent Komorowski ochoczo pozdrawiał stojących wzdłuż trasy ludzi. Ten spacerowy obraz wzmacniało jeszcze propagujące udział w Marszu hasło „Idę z Bronkiem", akcentujące swojskość i familiarność tego zgromadzenia.

11 listopada 2018 może dojść do konfliktu między Marszem a obozem rządowym, czy też tą jego częścią, która jest powiązana z prezydentem.

Jako alternatywa wobec Marszu Niepodległości projekt prezydencki był próbą przemyślaną, a jego kompozycja wydaje się jedną z najbardziej udanych spośród nielicznych nowych oficjalnych uroczystości publicznych powołanych po 1989 r. Powtarzany trzykrotnie, nie odniósł jednak zakładanego sukcesu, ponieważ pojawił się za późno, i musiał czasowo i przestrzennie liczyć się z już istniejącą konkurencją.

Mówiąc prosto: nie mógł odbywać się w tym samym miejscu i czasie, a że Marsz Niepodległości wypełniał Warszawę w godzinach popołudniowo-wieczornych, Marsz dla Niepodległej trzeba było organizować wcześniej. Mówiąc językiem koncertów rockowych: znalazł się w rezultacie na pozycji supportu wobec „mocniejszego" konkurenta. Prawdziwą „gwiazdą" i najważniejszym wydarzeniem dnia pozostał Marsz Niepodległości.

Armia Patriotów

Jego kolejne edycje zachowywały bojowy charakter, ale przesuwały go stopniowo z agresywnych ataków na pokojowo oczywisty akt zajmowania należnej przestrzeni centralnej. Wprawdzie jeszcze w 2012 r. doszło do gwałtownych zamieszek, a w 2013 r. podpalono słynną tęczę na placu Zbawiciela oraz budkę strażniczą ambasady Rosji, ale organizatorzy konsekwentnie odcinali sie od tych aktów, nazywając je prowokacjami i akcentując spokojny, masowy, a nawet rodzinny charakter zachowań większości demonstrantów.

W 2014 r. doszło do charakterystycznej zmiany trasy Marszu. Rozpoczynając się – jak poprzednio – na rondzie Dmowskiego, ruszył już nie Marszałkowską, ale Alejami Jerozolimskimi, przez most Poniatowskiego, na drugą stronę Wisły pod znajdujący się obok parku Skaryszewskiego obelisk upamiętniający miejsce urodzin Romana Dmowskiego.

Zmiana trasy przyniosła dwie bardzo ważne konsekwencje. Po pierwsze, Marsz przyjął formę spektakularnej „rzeki ludzi", a po drugie, zagarnął jako swoją „scenografię" Stadion Narodowy – ulubioną budowlę rządu Platformy Obywatelskiej, wzniesioną na Euro 2012. To przejęcie nie było zapewne świadome i zaplanowane, ale jego fortunność organizatorzy na pewno dostrzegli, skoro już od następnego roku kończą demonstracje na błoniach pod Stadionem. A że Marsz w roku 2015 odbywał się kilkanaście dni po przegranych przez PO wyborach, można ten zmieniony finał zobaczyć jako akt ostatecznego przejęcia na własny użytek dumy PO. Symbolicznie dopełniał on też rolę, jaką odgrywali i odgrywają w Marszu kibice piłkarscy. Kibole odbili Stadion Narodowy piłkarzom z drużyny Donalda Tuska.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP

Kluby „TP" zapraszają

KĘDZIERZYN-KOŹLE
poniedziałek, 12 listopada, godz. 18.00
Spotkanie z Aliną Czyżewską – wolontariuszką w obozie dla uchodźców na wyspie Lesbos. Miejsce: ul. Piastowska 1.

ZIELONA GÓRA
wtorek, 13 listopada, godz. 18.00
Spotkanie „Słowiańska wyspa na niemieckim morzu. Historia i współczesność Serbołużyczan". Gośćmi będą: dr Peter Schurmann, prof. Tomasz Jaworski. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

Środa, 14 listopada, godz. 18.00
Spotkanie „Dzieci księży. Nasza wspólna tajemnica". Gościem będzie: Marta Abramowicz. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

O ile ta zmiana może zostać uznana za zakończenie pewnego etapu w historii Marszu, o tyle hasło, pod jakim szedł w roku 2015, stanowiło znak etapu kolejnego. „Polska dla Polaków. Polacy dla Polski" – było niemal oczywistą prowokacją, a zarazem próbą wprowadzenia w przestrzeń publicznej akceptacji hasła dotychczas wymazywanego jako rasistowskie. Oczywiście wykreślono z niego najbardziej wykluczające słowo „tylko" i dodano dla równowagi drugi człon o przeciwnym wektorze, odwołujący się do słynnego hasła Johna F. Kennedy'ego, niemniej jednak skojarzenia z propagowaniem etnicznej czystości kraju i ochrony narodu przed „obcymi" były oczywiste, zwłaszcza w kontekście kryzysu imigracyjnego, który wybuchł w 2015 r. i przyczynił się do klęski PO. Organizatorzy Marszu nie tylko wpisywali się w kampanię antyimigracyjną, ale też w zasadniczy sposób zmieniali charakter projektu danego demonstrantom do realizacji.

O ile Marsze w poprzednich latach były aktami sprzeciwu i ataku, o tyle od roku 2015 kolejne hasła wskazują na idee scalające wspólnotę i jednocześnie skierowane w przyszłość. W 2016 r. Marsz szedł pod hasłem „Polska bastionem Europy", zaś w roku 2017: „My chcemy Boga". Układają się one w ciąg kolejnych projektowanych przejęć, czyniących ze wspólnoty Marszu najpierw prawdziwych Polaków, potem obrońców Europy, a w końcu – spragnionych Boga katolików. Po odzyskaniu Polski Marsz ma doprowadzić do rekonstrukcji Europy i katolicyzmu na miarę wyobrażeń jego uczestników. Wprawdzie uczestnicy jeszcze nie skandują: „Tu jest Europa" i „Idą, idą katolicy", ale przyjęte przez nich hasła właściwie dają do tego podstawę.

MACIEJ JEZIOREK / FORUM

Uroczystości na placu Piłsudskiego, Warszawa, 11 listopada 2004 r.

Dokąd teraz?

Rozpoczęcie nowego etapu Marszu wiąże się też z pewnym kłopotem, który pojawił się wraz z objęciem rządów przez PiS. Skoro Marsz Niepodległości od dawna cieszył się poparciem prominentnych przedstawicieli nowej władzy, uznających go za autentyczną demonstrację patriotyczną, istniała możliwość, że władza ta zechce nad nim roztoczyć patronat.

Wystarczyło, by nowy prezydent Andrzej Duda zadeklarował w roku 2015, że chce w nim wziął udział. Wymusiłoby to choćby tak oczywiste a znamienne działania jak roztoczenie opieki nad manifestacją przez BOR, pociągnęło za sobą zwiększenie reprezentacji przedstawicieli władzy i zaowocowało stopniową zamianą Marszu w ceremonię państwową.

Nie wydaje się, by organizatorom Marszu odpowiadał taki scenariusz, oznaczający wszak przejęcie przez władze ich dzieła. Na szczęście dla nich Andrzej Duda nie tylko nie zgłosił deklaracji udziału, ale dwukrotnie nie skorzystał z zaproszenia, jedynie wystosowując do uczestników Marszu list, odczytywany przed rozpoczęciem manifestacji przez reprezentującego głowę państwa urzędnika.

W ten sposób między ugrupowaniami deklarującymi wierność idei i tradycji „prawdziwej Polski" zarysował się rozłam, pogłębiony w roku 2017. Po tym, gdy na ubiegłorocznym Marszu pojawiły się hasła jawnie rasistowskie i ksenofobiczne, prezydent jako przewodniczący Komitetu Obchodów Stulecia Odzyskania Niepodległości, wbrew wcześniejszym deklaracjom, nie zaprosił jego organizatorów do współpracy. Może to mieć znaczenie dla dalszych dziejów Marszu i Święta Niepodległości.

Wydaje się, że 11 listopada 2018 może dojść do konfliktu między Marszem a obozem rządowym, czy też tą jego częścią, która jest powiązana z prezydentem. Narodowcy zapewne liczą, że dające się powoli odczuć znużenie i rozczarowanie „dobrą zmianą" pracować będzie na ich korzyść (to właśnie mają na myśli liderzy nacjonalistycznej prawicy otwarcie twierdząc, że rząd PiS utoruje im drogę do władzy).

Z drugiej strony Andrzej Duda może podjąć próbę przeciągnięcia na swoją stronę nastawionych patriotycznie, ale nie nacjonalistycznie uczestników i sympatyków Marszu, licząc, że przy okazji stulecia niepodległości uda mu się stworzyć atrakcyjną reprezentację o charakterze bardziej wkluczającym. Gra to ryzykowna, bo – jak się wydaje – tym, co może osłabić demonstracje narodowców w 11 listopada, jest ich uoficjalnienie i utrata bojowego charakteru. Zajmując pozycję przeciwstawną Marszowi, Andrzej Duda ryzykuje więc ponowne uruchomienie jego antyestablishmentowego charakteru.

Emocjonalna i afektywna moc Marszu Niepodległości, silny związek z umarłymi (dziś przede wszystkim z żołnierzami wyklętymi), charakter bojowego natarcia na centrum stolicy uznawanej za teren „obcy" (co potwierdziły wyniki ostatnich wyborów) sprawiają, że niezależnie od inwencji rządzących stulecie niepodległości może wymknąć się im z rąk. Zwieńczeniem roku równie hucznie zapowiadanych, co niewyraźnych, rozmytych i zwyczajnie nieciekawych obchodów może być kolejny „ludowy zryw", tym razem skierowany przeciwko obecnej, „patriotycznej" władzy. Z pewnością natomiast między bajki włożyć można marzenia prezydenta o wspólnym marszu wszystkich sił politycznych. Gdyby Andrzej Duda wyszedł na ulice z Donaldem Tuskiem z jednej i Jarosławem Kaczyńskim z drugiej strony, zapewne wkrótce usłyszałby okrzyk „Tu jest Polska!", dochodzący niestety z zupełnie innego miejsca. © DARIUSZ KOSIŃSKI

Sto lat, Polsko

PAWEŁ BRAVO

Po co nam takie państwo i dlaczego mielibyśmy świętować rocznicę jego istnienia? Jaki jest kłopot z 11 listopada?

Te pytania wracają zwłaszcza w tym roku, naznaczonym okrągłą rocznicą. Znów nie wyszło nam coś na miarę francuskiego 14 lipca czy amerykańskiego 4 lipca. I naprawdę tłumaczenie wszystkiego porą roku nie ma sensu, bo Polacy jak chcą, to potrafią i pół dnia spędzić pod zimną listopadową mżawką. Można się o tym przekonać niemal co roku na cmentarzach, gdzie miliony ludzi zajmują się pielęgnowaniem swojej pamięci rodzinnej i środowiskowej.

Dzień wolny

11 listopada jest wciąż tylko świętem państwowym, ale nie jest w powszechnym odczuciu świętem państwa – choć taki jest jego sens, gdy się spojrzy na genezę historyczną. Sto lat temu nasi pradziadowie je „odzyskali", czy raczej (o czym pisał w latach 60. na tych łamach Eugeniusz Kwiatkowski, człowiek w tej sprawie nadzwyczaj kompetentny) zaczęli budować od zera, nie próbując odgrzewać wymarłych struktur. To zatem dzień, w którym szczególnie mocno Polacy mogą sporo wolnego czasu poświęcić na uczciwe spojrzenie na to, co i jak czują wobec państwa, dlaczego nie dość je lubią i cenią.

Czasu będą mieli zresztą znacznie więcej, bo dojdzie im jeden dzień wolny. Trudno o lepszą aktualną przesłankę, by zacząć dyskutować o tym, czym jest i po co Polakom państwo, niż pośpiech i chaos, w których uchwalano wolne 12 listopada. Miało to być pęto ordynarnej kiełbasy, rzucone wyborcom w miastach przed drugą turą wyborów samorządowych, ale politykom szczególnie wygadanym, kiedy chodzi o powoływanie się na dobro „suwerena", wyszedł spektakl beztroskiego lekceważenia faktu, że życie większości obywateli nie da się tak łatwo przeprogramować z zaledwie kilkunastodniowym wyprzedzeniem. Najwyższy organ władzy, powołany jako gwarant stabilnych ram dla „poszukiwania szczęścia", zachował się dokładnie przeciwnie. Zdestabilizował, wzbudził niepewność co do podstawowych warunków życia, postąpił jak kapryśny plemienny szaman, a nie roztropny władca.

Ojcowie założyciele

Po cóż więc takie państwo i dlaczego mielibyśmy świętować rocznicę jego istnienia? A tak naprawdę, to którego istnienia? Było ich kilka. Jak się przyjrzeć uważnie, to przez te sto lat państwo polskie przybierało kilka co najmniej z grubsza definiowanych form ustrojowych, czy to z woli jego elit, czy w szerszym projekcie geopolitycznym innych mocarstw. Wiele w tym ciągłości nie było.

Właściwie jedyne, co bezpiecznie można 11 listopada świętować, to pamięć ojców założycieli II Rzeczypospolitej i rocznicę inauguracji ich fascynującego projektu, który z początku miał niesamowitą dynamikę scalania nie całkiem przystających kawałków oraz budowy instytucji wedle ówczesnych wzorców nowoczesnych i (przynajmniej na początku) sprawiedliwych.

Pisał u nas 50 lat temu Kwiatkowski: „Ujawniła się wówczas w całej pełni ta szczególna i cudowna właściwość narodu polskiego, polegająca na tym, że w chwilach najcięższych, prawie beznadziejnych, wyzwala on takie zasoby sił, taką zapobiegliwą i ofiarną pracowitość, taką samorzutną dyscyplinę i tyle zdumiewającej inicjatywy twórczej, że okazuje się ona dość silna do przezwyciężenia największych nawet trudności".

Lepiej bez

Tylko jak świętować – zbiorowo, energicznie, nie w postaci letnich akademii ku czci – tę energię budowania i tworzenia instytucji, kiedy co najmniej 90 procent póź-

niejszego doświadczenia ludzi z grubsza zapisanych do polskiego losu mówi coś przeciwnego: że polska wspólnota świetnie sobie radzi bez podpory żadnych instytucji i w warunkach, gdy struktura państwa urzędującego w jej domu jest otwarcie wroga albo gdy działa kulawo i jest trochę jak nieforemna czapa nałożona na rubaszny polski czerep. Całe niejednoznaczne, a miejscami po prostu zachwycające dziedzictwo PRL przynajmniej w sferze duchowej skłania do tego, żeby może aż tak bardzo nie fetyszyzować państwa... Bo czyż piosenki Kabaretu Starszych Panów nie powstały w Polsce i nie są poważnym argumentem, by, jak piszący te słowa, kochać polskość, nawet gdy kusi go jakaś inna tożsamość? Wiem, że pochodzą wprost z dość mrocznego okresu, gdy to coś ze stolicą w Warszawie było koślawym półpaństwem, protektoratem Moskwy, a jego telewizja istniała głównie po to, by tłuc wasalną propagandę.

Poza tym trudno dziś świętować państwotwórczy sukces, którego tytułem do dumy było scalanie diametralnie różnych grup ludności, poddanych przez cztery pokolenia obróbce kulturowej i obywatelskiej w tak skrajnie różnych państwach, jak Niemcy i Rosja. Cały ten obłędny wysiłek i chęć stworzenia państwa, pisał Kwiatkowski, zaistniały właśnie po to, by dać zewnętrzne, zobiektywizowane ramy istnienia różnym typom Polaka.

Nowe zabory

Tymczasem dziś zabieramy się za nie-świętowanie 11 listopada, mając świeżo w pamięci potok wypowiedzi po wyborach samorządowych, w których czołowe umysły publicystyki obu głównych obozów podnosiły nieusuwalny podział wedle sposobu głosowania na kilkanaście wielkich miast i całą resztę. Niemal wszystkie one pozostają niezdobyte dla PiS i partia ta marnowała energię na niewczesne pomysły, żeby rządzić w takiej np. Warszawie. Cała reszta Polski tymczasem głosuje bardziej na PiS, a w każdym razie nie daje się masowo przeciągnąć na aktualną alternatywę, przepakowaną pod szyld Koalicji Obywatelskiej. Nie dziwi sam socjologiczny fakt, pewne wzorce zachowań wyborczych, ale nasza gotowość, żeby tak to zostawić, jakby to była ontologicznie wyższa prawda o dwóch narodach. Żeby w PiS-ie snuć wizje rządzenia całym krajem wbrew wielkim miastom, albo żeby pisać wyższościowe, szydercze teksty pełne nadziei na to, że zgodnie z obecnym trendem migracji do wielkich miast, za jakiś czas nakryjemy tę „gorszą" Polskę czapkami.

Przy całym dobrodziejstwie, jakie wynika z różnic i sporów, państwo ma być narzędziem raczej niwelowania sprzecznych interesów lub mentalności, a nie żerowania na nich: zapominając o tym, radośnie godzimy się na nowy rozbiór Polski, tym razem z podziałem na dwa zabory. A nie jest to tylko efekt obecnego stylu rządzenia – jeszcze 10 lat temu wizję równie „rozbiorczą" Platforma promowała jako patent na modernizację kraju, mówiąc o modelu polaryzacyjno-dyfuzyjnym. Państwo miało się w nim zająć metropoliami, a cała reszta jakoś na tym kiedyś miała skorzystać. Polaryzacja wyszła znakomicie, a o dyfuzję (a raczej jej brak) nikt się nie martwił.

W pół drogi

Zatrzymana w pół drogi, niedopieczona modernizacja (kostka bauma, fontanna i światłowód – a jednak głosują na PiS!) wskazuje nam jeszcze jeden obszar, na którym 11 listopada możemy dobrze poczuć, dlaczego nie wychodzi nam „święto państwa". Sto lat temu nic by się nie udało, gdyby ówcześni politycy nie wykorzystali do maksimum koniunktury międzynarodowej. Dobrze jednak wiemy, jak szybko układ konstelacji w polityce europejskiej z korzystnego stał się zabójczy. Analogiczne pytania: ile jeszcze mamy tego dobrego czasu i czy go właśnie nie marnujemy, powracają i dziś.

Mamy za sobą zadyszkę po obłędnym pośpiechu ostatnich 30 lat, kiedy wysiłek elit skupiał się na tym, by Polska była wreszcie „jak Zachód". Tyleż w tym było słusznej kalkulacji geopolitycznej, ile kompleksów. Gdy wreszcie w warstwie realiów zaszło dość faktów – z akcesją do UE na czele – które mogły część kompleksów uleczyć, okazało się, że sam Zachód przestaje być stabilnym uniwersalistycznym projektem, gwarantującym nie tylko wysoki dochód *per capita*, ale i poczucie dziejowej słuszności. Odrobiliśmy więc całkiem solidnie lekcję okcydentalizacji państwa, jednak nie ma kto wpisać nam za to piątki do dziennika.

Naprawdę, co tu świętować? ©℗

RAFAŁ SIDERSKI / FORUM

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Wielki nieobecny

W dwóch księgach biblijnych nie wspomina się o Bogu. Pierwsza z nich to Księga Ester, druga – Pieśń nad Pieśniami. Oczywiście zawsze znajdą się komentatorzy, którzy wyszukają co najmniej aluzję do obecności Boga. W jednym z wersów Księgi Ester mowa o tym, że odwróci swoją twarz od nich. „Kto?" – zapytują. Oczywiście Bóg. W liturgii też potwierdza się nieobecność imienia Boga, ale dostrzega w nim skrytą, wszechobecną i władczą postać, kierującą wszystkimi wydarzeniami. Ibn Ezra, XI-wieczny uczony pochodzący z Nawarry, również nie widział w Księdze nawet aluzji do obecności Boga, a za przyczynę miał fakt, że Księgę czytano w Persji również w obecności pogan i nikt nie chciał, aby zastępowano imię Boga prawdziwego imieniem jakiegoś idola czy bóstwa. Współczesny badacz Pisma uważa, że za postacią słabego króla, Achaszwerosza, kryje się obecność mocarnego Boga Izraela.

Mojżesz Majmonides, największy z wielkich, wymienił siedem imion Boga i stwierdził, że wszystkie one mają równy status i żadnego nie wolno z tekstu oryginału usunąć. Są jak kamienie milowe. Tych siedem imion to: Jud Hej Waw Hej (tetragram), Adonaj, Elohah, Elohim, Elohei, Szadaj i Cewaot. Najpopularniejsze jest JHWH oraz Elohim. Tetragram jest, uczył Majmonides, właściwym imieniem Boga. Samo w sobie to określenie nic nie znaczy. Z kolei Elohim posiada wiele znaczeń i zawiera w sobie wszystkie siły natury i historii, przez które wypełnia się Boskie przeznaczenie. Jest też imieniem, którym Bóg objawia się nieżydowskim prorokom. JHWH pojawia się we wszystkich księgach Biblii poza wspomnianymi tu Księgą Ester, Pieśnią nad Pieśniami i Koheletem. Oczywiście występuje w tradycji judaizmu kilka innych imion, jak choćby Makom (miejsce) oraz Szem (imię). Pochodzą już z czasów judaizmu postbiblijnego.

O tym, że w Pieśni nad Pieśniami nie występuje imię Boga, dla wszystkich mi znajomych znawców Biblii jest sporym zaskoczeniem. Prawda o Ester już się na dobre utrwaliła, inaczej rzecz się ma z tym cudownym poematem miłosnym, otwarcie erotycznym, który wcześnie wszedł do kanonu. Wielki znawca Biblii reb Akiwa pisał, że jest to dzieło bez wątpienia święte i nikt w Izraelu nie ma ku temu najmniejszych wątpliwości. Jest tak bez względu na to, jak czytana jest Pieśń: dosłownie, odkrywając w niej olbrzymią siłę ludzkich namiętności, czy metaforycznie (jest taki okropny przekład tej księgi na polski w wykonaniu rabina krakowskiego), czy też jako dzieło o uczuciach łączących Boga ze swoim ludem. Nie sposób wyłącznie alegorycznie czytać ten poemat o miłości kobiety i mężczyzny. To niemożliwe, by jedno z cudownych ludzkich doświadczeń miało się okazać judaizmowi obce czy wrogie. Tak nie jest z pewnością. Choć warto pomyśleć, jak sam Bóg-Szechina bywa jak najbardziej obecna między dwiema kochającymi się osobami. A tak jest na pewno. Choćby w szabat. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Świat nam podpowie

„Zapewniam was: Nie przeminie to pokolenie, dopóki nie spełni się to wszystko. Niebo i ziemia przeminą, ale moje słowa nie przeminą. O tym jednak, kiedy nadejdzie ten dzień i godzina, nikt nie wie: ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec. Miejcie oczy szeroko otwarte, czuwajcie, gdyż nie wiecie, kiedy nadejdzie odpowiedni czas". Ten opis to nie scenariusz tzw. końca świata. Świadczy o tym gatunek literacki, właściwy dla literatury apokaliptycznej, którym posługiwano się, chcąc opisać interwencję Boga w dzieje świata, zwłaszcza w momentach przełomowych.

Tego typu opisów nie można brać dosłownie. Nikt przecież przy zdrowych zmysłach nie weźmie Matejkowskiego obrazu „Sobieski pod Wiedniem" za realistyczne przedstawienie stoczonej tam bitwy. Podobnie jest np. z występującymi w apokaliptycznych tekstach aniołami dmącymi w trąby. Pamiętamy takie obrazy z podręczników do religii, ale i z kaplicy Sykstyńskiej czy z innych przedstawień. Te trąby nawiązują po prostu do dęcia w róg, np. na zakończenie Jom Kipur czy początek Nowego Roku.

Jeśli już chcemy znaleźć obraz bardziej przystający do opisów biblijnych i do dzisiejszej wrażliwości artystycznej, spróbujmy pójść za Czesławem Miłoszem i jego poetycko-teologiczną intuicją: „A którzy czekali błyskawic i gromów, / Są zawiedzeni. / A którzy czekali znaków i archanielskich trąb, / Nie wierzą, że staje się już. / Dopóki słońce i księżyc są w górze, / Dopóki trzmiel nawiedza różę, / Dopóki dzieci różowe się rodzą, / Nikt nie wierzy, że staje się już. / Tylko siwy staruszek, który byłby prorokiem, / Ale nie jest prorokiem, bo ma inne zajęcie, / Powiada przewiązując pomidory: / Innego końca świata nie będzie, / Innego końca świata nie będzie".

Na uzasadnienie swojej wizji końca świata Miłosz ma mocny argument – historię wszystkich pokoleń chrześcijan, którzy wciąż proszą Boga: „Przyjdź królestwo twoje", czasami nie wiedząc, że proszą o to, czego chcieliby uniknąć. Wciąż przecież wielu koniec świata utożsamia z jego unicestwieniem.

„O tym jednak, kiedy nadejdzie ten dzień i godzina, nikt nie wie: ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec" – mówi Jezus. I dobrze, gdyż w ten sposób Duch Boży pozbawia nas złudnej nadziei, że uda się nam przechytrzyć Boga i w ostatniej chwili dobrze się przed Nim zaprezentować. Na takie sztuczki szkoda czasu. Znamy przecież taki sposób życia, który wyzwala ze strachu przed tym dniem.

Każdego dnia na głowy naszych sióstr i braci spada rój nieszczęść, ogłuszająca nawałnica złych słów i czynów, tak że ziemia usuwa im się spod nóg. Czasy ostateczne to nasze czasy. Trzeba, żebyśmy w takich czasach byli owym wielkim księciem Michałem, „opiekunem dzieci [Bożego] ludu". Jak to ma wyglądać w praktyce? Otwórzmy światu szerzej nasze serca i portfele, to się dowiemy. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Ziarenko i kwas

Oblubieniec musi śpiewać: „Przeze Mnie do ciebie, a przez ciebie do Mnie”.

MECHTYLDA Z MAGDEBURGA

Słuchaj, serce, szeptu świata, którym On ubiega się o twoją miłość.

RABINDRANATH TAGORE

Liturgia przyniosła nam niedawno dwie krótkie przypowieści Jezusa: o ziarnku gorczycy, które przyjęte i zasiane wyrasta jako drzewo, oraz o kwasie, który przyjęty i włożony przez kobietę w trzy miary mąki zakwasza całe ciasto. Liturgia przytoczyła nam owe przypowieści w zapisie św. Łukasza (Łk 13, 18-21). Warto to zauważyć, gdyż redagując swą Ewangelię Łukasz umieścił je w innym kontekście niż pozostali synoptycy. U Mateusza i Marka (ten zna jedynie przypowieść o ziarnku gorczycy) stanowią one fragment większej Jezusowej mowy „O Królestwie Bożym w przypowieściach”; u Łukasza są one Jezusowym komentarzem-objaśnieniem konkretnego wydarzenia: czynu, jakiego dopiero co dokonał. Przekonuje o tym sam początek wersetu 18.: „Powiedział więc” (w tłumaczeniu św. Hieronima: *Dicebat ergo*). Jezus dokonał czynu, który w niektórych jego świadkach wzbudził opór, a w innych – znaki zapytania. Pan nie chce pozostawić ani jednego, ani drugiego bez odpowiedzi. „Powiedział więc: Do czego podobne jest Królestwo Boże...?”. Tak więc, w wersji Łukaszowej Pan nie opowiada nam teoretycznie o Królestwie Bożym; On je „robi” – urzeczywistnia, a następnie objaśnia.

Wydarzeniem, do którego komentarz stanowią nasze dwie przypowieści, jest u św. Łukasza uzdrowienie i uwolnienie kobiety, która przez osiemnaście lat nie mogła się wyprostować. Rzecz stała się publicznie: w synagodze, w dzień szabatu – właśnie to wywołało protest przełożonego synagogi. Jezus powiedział mu (nam): „czy nie odwiązujesz w szabat wołu albo osła...?”. Osiemnaście lat chodziła zgarbiona, ze wzrokiem wbitym w ziemię, „trzymana na uwięzi przez szatana”. Można się łatwo domyśleć, w jaki sposób ją traktowano...

Czy nie mamy pokusy uważać takich ludzi za nieważnych? Najmniejszych z najmniejszych? Jak ziarnko gorczycy... Osiemnaście lat zniewolenia przez szatana! Czy to nie wystarczający argument, by się chronić przed taką osobą i przed jej możliwym wpływem na siebie i na całe otoczenie? Czy Paweł nie przestrzega w swoich listach: Uważajcie! „Odrobina kwasu ma moc zakwasić całe ciasto” (zob. 1 Kor 5, 6; Ga 5, 9)?

Najmniejsza („zero”), ale jednocześnie potencjalnie groźna – tak właśnie ją widzieli. Jezus zapewne nie bez powodu stwierdził, że jest dla nich zdecydowanie mniej ważna niż ich woły i osły...

Ale nie dla Niego. On nazwał ją „Córką Abrahama”. W taki też sposób na nią patrzył.

Czy można się dziwić, że się wyprostowała pod takim wzrokiem? Że na powrót odkryła swoją godność?

On też widział w niej – już przy tym spotkaniu – wyrastające w nieodległej przyszłości drzewo, które da schronienie wielu potrzebującym. Widział w niej też dynamikę wzrostu całego kościelnego ciasta.

Maleńkie, najmniejsze ziarno i będący symbolem zepsucia kwas to dwa obrazy człowieka „trzymanego na uwięzi” przez zło. Pod tą powierzchownością Jezus widzi godność i potencjał, który – jeśli go tylko wyzwolić – przyniesie ogromny pożytek całemu Kościołowi.

Taki jest mechanizm budowania i objawiania Królestwa Bożego na ziemi. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (11 – 18 XI)

32. niedziela zwykła: 1 Krl 17, 10-16; Ps 146; Hbr 9, 24-28; Mk 12, 38-44;
Poniedziałek: Tt 1, 1-9; Ps 24; Łk 17, 1-6;
Wtorek: Tt 2, 1-8. 11-14; Ps 37; Łk 17, 7-10;
Środa: Tt 3, 1-7; Ps 23; Łk 17, 11-19;
Czwartek: Flm 1, 7-20; Ps 146; Łk 17, 20-25;
Piątek: 2 J 1, 4-9; Ps 119; Łk 17, 26-37;
Sobota: 3 J 1, 5-8; Ps 112; Łk 18, 1-8;
33. niedziela zwykła: Dn 12, 1-3; Ps 16; Hbr 10, 11-14. 18; Mk 13, 24-32.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

OPOWIEŚĆ O PRAWDZIWYM CZŁOWIEKU

Można krytykować brak pomysłu władz na stulecie niepodległości, ale można też obchodzić je po swojemu. Np. wspominając kogoś, kto namawiał, by nie palić komitetów, tylko zakładać własne. Nie będzie to łatwe wspomnienie, ale te łatwe nam po nic.

MICHAŁ OKOŃSKI

Jacek Kuroń jest mitem o wielu obliczach, i to dla niejednego pokolenia. Wedle dzisiejszej młodej lewicy np. on pierwszy powiedział „Byliśmy głupi" i doprawdy trudno się dziwić, że wydania jego dzieł wszystkich podjęła się „Krytyka Polityczna", a nie Agora, w której wciąż pracuje wiele osób przezeń wychowanych. Ciut starsi zapamiętali go jednak z telewizji – niemiłosiernie schrypniętego ministra w dżinsowej koszuli, który wygłasza sympatyczne pogadanki o sensie reform Balcerowicza, a potem przywdziewa kucharską czapę i rozdaje na ulicach zupę tym, którzy w nowej rzeczywistości nie mogą sobie poradzić. Jeszcze starsi, jak niżej podpisany, widzieli w nim symbol antykomunizmu: rekordzistę Polski w odsiadywaniu politycznych wyroków (w więzieniach PRL spędził blisko 9 lat) i kogoś, kim komunistyczna propaganda straszyła z intensywnością porównywalną jedynie z Adamem Michnikiem. Ci najstarsi na dźwięk nazwiska „Kuroń" przypominali sobie jednak stalinizm i udział w rozbijaniu niezależnego harcerstwa.

Uspójnić mit spróbowały przyjaciółki Kuronia, redaktorki podziemnej prasy, a później „Gazety Wyborczej", Anna Bikont i Helena Łuczywo. Z ich dziesięcioletniej (jeśli dodać teksty pisane przez Bikont jeszcze z Joanną Szczęsną) pracy wyszło dzieło siedmiusetstronicowe i do bólu uczciwe. Zarazem jednak: dzieło, w którym bohater nie daje się zamknąć.

Jacek Kuroń, Warszawa, 2001 r.

MICHAŁ SADOWSKI / FORUM

Polityka i odpowiedzialność

W przeddzień stulecia niepodległości, kiedy machina państwowa promuje politykę historyczną w wersji nie dość że uproszczonej, to jeszcze radykalnie jednostronnej, już pierwsze rozdziały tej biografii, przywracające zbiorowej pamięci niepodległościową tradycję lewicową, są w to święto bezcennym wkładem. Także dlatego, że 11 listopada idzie przed przyszłorocznymi rocznicami: narodzin III RP i wejścia Polski do UE.

„Oni – dziadek i ojciec – mówili: robotnicza sprawa, albo po prostu sprawa. I to znaczyło: socjalizm, ale nie używali tego słowa. I to znaczyło pognębić wyzyskiwaczy. I to znaczyło także: Polska, Matka Boska z Jasnej Góry i groby, o które ostrzyło się stal, i ci Azjaci, których stąd trzeba przepędzić, i to, że za ich wolność też się walczy. Wszystko razem wymieszane" – wspominał Kuroń w „Wierze i winie". Na to wymieszanie w dzisiejszych czytankach coraz rzadziej jest miejsce. Podobnie jak na taką opowieść o II Rzeczypospolitej, w której w 1936 r. ulicami Lwowa kondukt robotniczy niesie trumnę zabitego podczas protestu bezrobotnych Władysława Kozaka, do manifestantów padają strzały, trumna leci na bruk, zwłoki wypadają, później zostają na powrót złożone do prowizorycznie powiązanej sznurkami i paskami od spodni skrzyni, a uczestnicy pogrzebu podejmują walkę z policją. Rodzinna legenda mówi, że dwuletni Jacek uczestniczył w tej manifestacji na ramionach ojca.

Tak, trudno w przeddzień 11 listopada nie myśleć o tym, że życiorys Kuronia jak mało który wpisuje się w stulecie Niepodległej. Ze wszystkim, co w nim było – radykalizmem i zdolnością ↦

JANUSZ FILA / FORUM

Biografia Kuronia ma dwoje bohaterów
– jego żona jawi się w niej jako postać najlepsza i najmądrzejsza, a zarazem materiał na wybitnego polityka.

Jacek i Grażyna podczas sesji z okazji rocznicy Marca '68, Uniwersytet Warszawski, 1981 r.

↦ do kompromisu, przywiązaniem do tradycji insurekcyjnej i talentem do pracy organicznej, a z innego porządku: siłą i wrażliwością. Oraz z tym, co w świetle dzisiejszych narracji wydaje się najbardziej kontrowersyjne: akcesem do komunizmu.

Wiara i wina

Działał wtedy w niezgodzie z najbliższymi, a mówił o moralnym buncie przeciw staremu porządkowi, symbolizowanym przez lwowskie baraki dla bezrobotnych (nowa władza właśnie budowała dla robotników porządne domy), o masowym awansie społecznym ludzi dotąd wykluczonych, i jeszcze o alergicznym stosunku do antysemityzmu, który komunistom miał być rzekomo obcy.

Wiary w to, co robi, nigdy nie można mu było odmówić. Podobnie jak zdolności porywania za sobą innych. Ale cena, jaką płacił za wychodzenie na pierwszy plan, bywała straszliwa. Są w jego biografii anegdoty, które od biedy można uznać za zabawne – podarł na znajomym kolorową koszulę, uznając, że ów nieszczęśnik został bikiniarzem – ale są i historie ponure, z których wynika, że pisał opinie uniemożliwiające kolegom dostanie się na studia.

Z jego własnych rozliczeń z tamtym czasem przebija banalność zła: im bardziej człowiek się angażuje, tym ważniejsze staje się samo uczestniczenie w ruchu. „Wciąż zbieraliśmy się na dzielnicy, było nam ze sobą dobrze i wiedzieliśmy, że wszyscy wokół nienawidzą nas" – opowiadał. W tym sensie to jest historia uniwersalna, dotycząca potrzeby poczucia przynależności do wspólnoty, na tyle silnej, że pozwalającej przejść do porządku nad wszelkimi wątpliwościami.

„Jacek wszystko wiedział. I nie przyjmował do wiadomości" – piszą Bikont i Łuczywo (nie dość, że ojciec próbował mu przemówić do rozumu, to sam był na pokazowym procesie młodych konspiratorów z niepodległościowej organizacji, widział też zetempowską bojówkę, która katowała gdzieś w zamkniętym pomieszczeniu chłopca ubranego jak wróg systemu). „Musiał mieć poczucie, że jeśli się wyjmie jedną cegłę z muru, zawali się cała konstrukcja – dodawała pamiętająca go z tamtych czasów Hanna Świda-Ziemba. – To przypomina mechanizm sekty".

„Rola takich ostrych zetempowców – mówiła jednak w innym miejscu – była bez wątpienia destrukcyjna, ale nie byli to ludzie źli ani zdrajcy, ani cyniczni karierowicze, byli to ludzie po prostu opętani ideologią". Ludzie ci zresztą, dodajmy, szybko przestali pasować nowej władzy jako zbyt ideowi – na kolejnym etapie potrzebowała biurokratów.

Inna sprawa, że ideowość nie przeszkadzała mu załatwić sobie przyjęcie na studia: „Zadzwoniłem do rektora Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, towarzysza Kałuskiego: »Towarzyszu rektorze, mówi Kuroń. Postudiowałbym sobie u was«" – wspominał. „W tym Jacka opowiadaniu jest szczerość i godna podziwu odwaga, ale widać też, że jakby nie do końca zdawał sobie sprawę, jakie to wszystko było okropne – komentują Bikont i Łuczywo. – A do tego jeszcze domieszka dumy, że tak się potrafi rozliczyć z winy za swoją wiarę".

PRL dla początkujących

Ale w roku stulecia „Jacek" to nie tylko przypomnienie, że z dziejów Polski komunizmu nie da się wygumkować. To również opowieść o tym, jak i przez kogo sama niepodległość została wywalczona (autorki, nawet kosztem wytracania tempa narracji o samym Kuroniu, portretują innych bohaterów tamtego czasu, choćby tzw. Starszych Państwa z KOR-u). I o odwadze, jakiej wymagało wówczas działanie. O osamotnieniu – kiedy poszedł do więzienia po raz pierwszy, na widok jego żony dawni przyjaciele przechodzili na drugą stronę ulicy, a w publicznych deklaracjach odcinali się od „kuronizmu". O życiu bez pracy, pod stałą obserwacją i na podsłuchu (trwało to ponad ćwierć wieku, a nadzorujący inwigilację oficer, osławiony Lesiak, nawet po latach w rozmowie z autorkami opowiadał o Kuroniach „z obleśną poufałością"). O wtargnięciu bojówki do domu, przez który i tak nieustannie przewijały się tłumy, o pobiciu syna, zawale serca ojca, otrutym psie... O zniszczonym zdrowiu, któremu poświęcono wstrząsające ostatnie rozdziały. O śmierci żony, której choroba dochodzi do głosu w ośrodku dla internowanych.

Tych kilka stron o umieraniu Gai i Jacku, dowiezionym w ostatniej chwili z więzienia, po interwencji kogoś z krewnych u córki Jaruzelskiego, to nie tylko wskazanie, że ta biografia ma w gruncie rzeczy dwoje bohaterów (Grażyna Kuroń wyłania się z niej jako postać najmądrzejsza i najlepsza, materiał na wybitnego naukowca lub polityka, a zarazem ktoś, kto w chwili ostatniego widzenia martwi się, że mężowi chce się palić, a przy

Z internowanymi Janem Rulewskim i Januszem Onyszkiewiczem na spacerniaku więzienia w Białołęce, 1982 r.

JAN KRZYSZTOF KELUS / FOTONOVA

niej nie wolno, więc wygania go na korytarz), ale też potężne oskarżenie tamtego systemu.

Równie silne jak inny fragment książki, w którym Bikont i Łuczywo podejmują temat ceny, jaką ich bohater zapłacił za wielomiesięczne świadkowanie panującej pod celą przemocy. Już w III RP Jacek Kuroń wykrzyczał z trybuny sejmowej do zasiadającego w ławach SLD dawnego lekarza więziennego, że był wówczas gwałcony; autorki uważają, że nie doświadczył gwałtu osobiście, ale musiał na gwałty patrzeć i nie mógł się przeciwstawić. W ostatnich latach życia, kiedy podczas jednego z pobytów w szpitalu budził się ze śpiączki, więzienny koszmar wrócił jako pierwszy.

Nawet jeśli umiał swój lęk oswajać i zamieniać w źródło siły, nawet jeśli śmianie się z przeciwności należało do przyjętej w jego środowisku postawy i nawet jeśli mnóstwo w „Jacku" opowieści o zachowaniach heroicznych, wspaniałych czy zwyczajnie przyzwoitych (pytana przez sąd, czy „znała Kuronia do roku 1964", świadek na jego pierwszym procesie odpowiedziała: „Ja nie mogę mówić w czasie przeszłym, ja znam Jacka Kuronia" – i tylko za to zapłaciła utratą pracy), warto pamiętać i o takim obliczu PRL. Doceniając fakt, że w nim samym – jakkolwiek na to spojrzeć, jednej z największych ofiar systemu – nie było nienawiści.

Gwiezdny czas

Najłatwiej oczywiście pamiętać o innych kwestiach. Gdyby nie Jacek Kuroń, historia Polski toczyłaby się inaczej. Kiedy pisał z Karolem Modzelewskim list otwarty do członków partii, była to pierwsza spójnie sformułowana propozycja antyreżimowa tamtego czasu. Jego postawa w śledztwie i na procesach była wzorcem metra dla kolejnych pokoleń opozycjonistów. Bez jego zaangażowania nie rozpoczęłyby się studenckie protesty w Marcu '68 i nie powstałby KOR, a za nim – Solidarność. Kształt tego wielkiego ruchu społecznego również był po części efektem jego koncepcji, nawet jeśli przebijały się one za cenę konfliktów z innymi liderami (także z Lechem Wałęsą i Tadeuszem Mazowieckim) i nieustających ataków, nie tylko ze strony przedstawicieli władzy, ale także Kościoła. Niezwykłe skądinąd, że on – mający gębę ekstremisty – niemal cały czas jeździł wtedy po kraju i tonował nastroje, odwlekając moment wybuchu wojny domowej lub sowieckiej interwencji.

Bez lwowiaka Kuronia trudniejsza byłaby rozmowa o pojednaniu polsko-ukraińskim, bez jego zrozumienia, że Zagłada była najważniejszym polskim doświadczeniem czasów II wojny, trudno byłoby o dzisiejszą pracę nad pamięcią.

Ale bez Kuronia nie byłoby także prowadzącego do pełnej niepodległości kształtu polskiego kompromisu z lat 1988/89 – i nie byłoby transformacji w radykalnie liberalnej formule Leszka Balcerowicza/Jeffreya Sachsa. O tym się często zapomina, pamiętając prospołeczną twarz autora „Wiary i winy", ale należał on wówczas do największych sojuszników Balcerowicza, a kiedy skutki reform skłoniły rolników do zablokowania drogi pod Mławą, domagał się od wciąż jeszcze kierującego MSW Kiszczaka, by doprowadził do stłumienia protestu w sposób jak najbardziej zdecydowany.

Być może taki właśnie musi być lider: zdolny do przerwania niekończących się dywagacji, czy w basenie jest woda, rzucenia się głową w dół i pociągnięcia innych za sobą. Siniaki i guzy są ↦

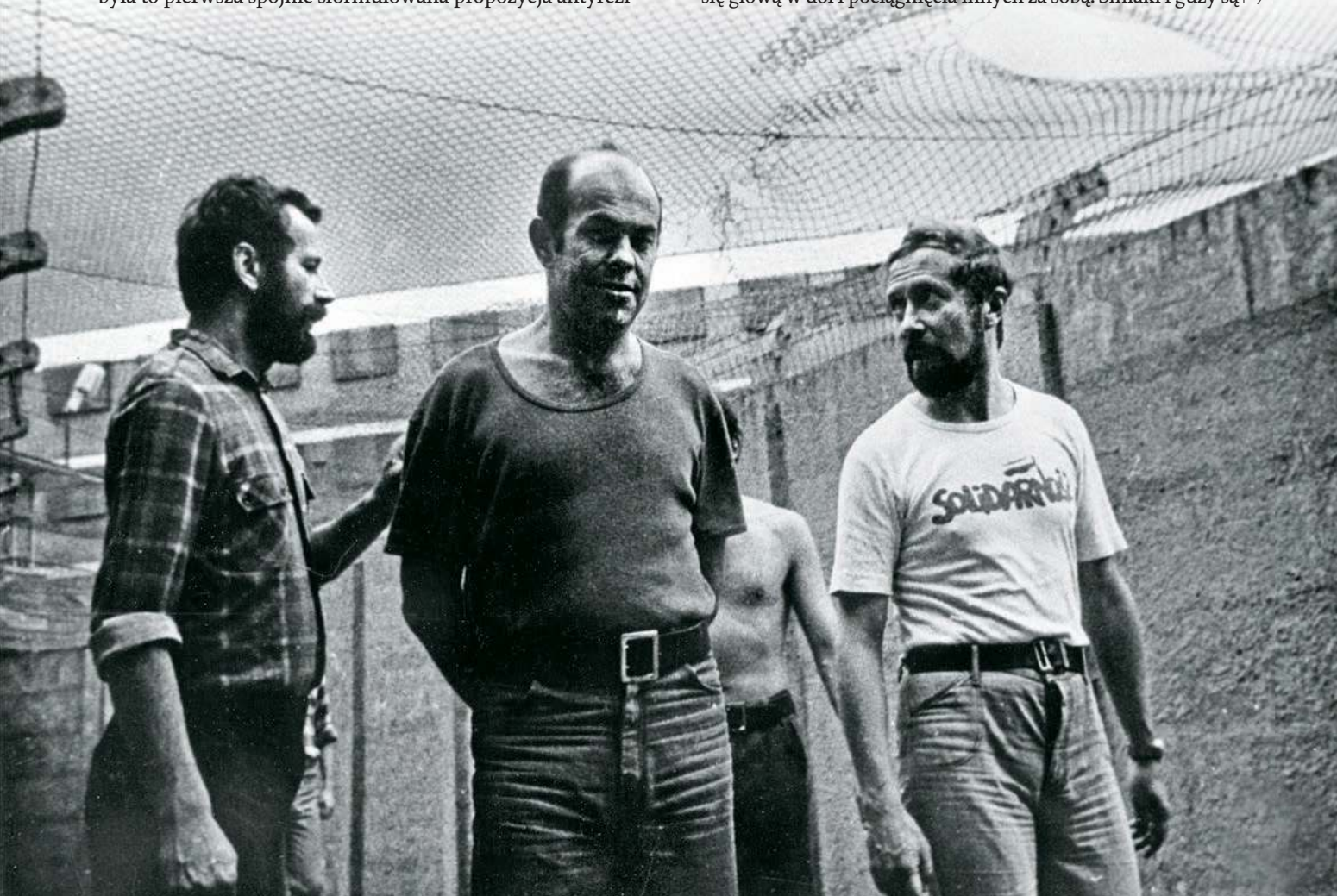

↦ w takich sytuacjach nieuniknione, a bardzo prawdopodobne, że bez skoku na główkę byłoby jeszcze gorzej – zresztą wśród ojców naszej niepodległości Jacek Kuroń i tak należy do najuczciwszych w patrzeniu na własne błędy. Warto jednak uświadomić sobie, że taki jest pełny obraz: że człowiek, który na obozie harcerskim osobiście przykrywał kocem każde dziecko, który w swoim mieszkaniu na Mickiewicza cierpliwie wysłuchiwał każdego mękołę i który także w czasach ministrowania próbował pomóc wszystkim potrzebującym, potrafił równocześnie poświęcać jednostki: że fetyszem Kuronia, jak powiedział jego wychowanek Seweryn Blumsztajn, było wspólne działanie, a nie pojedynczy człowiek.

Zło, które czynię

To jeden z Kuroniowych cieni: bezwzględność, z jaką wykorzystywał oddanie innych ludzi. Z książki i z rozmów o jej bohaterze wyłania się postać, która „musi" wszystko przegadywać z najbliższymi – więc nocami dyskutuje z żoną idee jakiegoś tekstu, nie zważając na fakt, że kiedy następnego dnia odsypia, ona rusza do pracy. Opowieści o nocnych telefonach do przyjaciół w sprawach ważnych wyłącznie dla niego albo o pretensjach, że mieszkająca z nim po śmierci Gai przyjaciółka podejmuje pracę dla kogoś innego, jest tu niemało, z dystansu niełatwo je też ocenić. Ilu z jego najbliższych po prostu chciało te noce zarywać, ot tak, z miłości do Jacka? A może jednak okazanie miłości w tym przypadku mogło polegać właśnie na powiedzeniu „nie"?

Uderzające są fragmenty książki poświęcone jego kandydowaniu na prezydenta: wszyscy przyjaciele czują, że to zły pomysł, ale nikt tego nie mówi, co więcej: każdy chce wziąć udział w tym beznadziejnym przedsięwzięciu. Marcin Mroszczak, który w jego sztabie wyborczym zajmował się promocją, daje klucz do postaci: „To było trochę jak marzenie dziecka. Król Maciuś. Uznaliśmy, że jeżeli można wziąć udział w marzeniu Jacka, to warto, że wolimy z Jackiem przegrać".

Cieni było jednak więcej. Kuroń-marzyciel, przekonany, że nie ma rzeczy niemożliwych, po jednym z obozów harcerskich poszedł z wychowankami nad Wisłę. Nie bardzo wiedział nawet, ile dzieci ma pod opieką, puścił je luzem. Troje utonęło.

Ówczesna narzeczona Kuronia pamięta jedną z ofiar, Poldka Korniszczuka: „Inteligentny, wrażliwy, grał na skrzypcach, chodził do popołudniowej szkoły muzycznej. Nieprzystający do rówieśników, był bity przez inne dzieci. Zaprowadziłam go do Jacka, on go zapisał na obóz. Poldek zakochał się w Jacku, wszędzie by za nim pojechał". Sam Kuroń imienia Poldka nigdy nie wymienił. Pisał: „Wiedziałem, że uczyniłem zło, którego nigdy już nie naprawię. To była druga po Zośce śmierć, która naznaczyła moje życie". Zośka to imię żydowskiej dziewczyny ze Lwowa, o której chętnie opowiadał, a która – jak piszą Bikont i Łuczywo – „może istniała, może nie" i której śmierci z pewnością nie był winien: „Pewnie na tym polegała jego siła, że przemieniał życie w opowieść. Wtedy mógł się otrząsnąć i iść dalej".

Rzeczpospolita dla moich wnuków

Mamy więc w „Jacku" portret charyzmatycznego przywódcy, o którym Anka Kowalska pisała: „Jego namiętna pasja życia i działania jest równie zaraźliwa i niezbędna, co czasem nie do zniesienia; który nie umie i nie chce oszczędzić sił fizycznych własnych ani cudzych; który z tą samą bezpośredniością jest w stanie każdego dotknąć i głęboko obrazić (wtedy zawsze z prawdziwą rozpaczą przeprasza, aby to samo zrobić znów przy najbliższej okazji), co ująć i rozczulić (...); terrorysta psychiczny i demokrata doskonały, żarłok, ochlapus, gaduła, 100 papierosów i 10 szklanek nie herbaty, ale esencji dziennie, ciągnący karawanę wielbłąd o niepoliczonych garbach".

To też cenny wkład w stulecie niepodległości: możliwość przyjęcia do wiadomości, że bohaterowie z naszych pomników byli prawdziwymi ludźmi, tyleż wielkimi, co czasem okropnymi. Najbliżsi Kuronia mówią tak: „Był mitomanem od dziecka. Ale nie kłamał cynicznie, raczej instynktownie zmyślał, żeby zjednywać sobie ludzi, żeby mieć władzę". „Nie mógł wytrzymać, jak ktoś inny koło mnie stał. Nikogo później nie spotkałam, kto by miał taki przymus posiadania tego, co akurat chce posiadać". „Pytał: »Gdzie są moje okulary?«, a jeśli nikt nie reagował, pojawiał się w pokoju z okrzykiem: »Cała Polska szuka ze mną okularów«". „Uczuciowy ekshibicjonizm, empatia połączona z brakiem elementarnej delikatności i dyskrecji cechowały Jacka przez całe życie" – to zdanie autorek pada w kontekście obozów walterowskich, gdzie młodzieńcze zakochania i odkochania musiały być poddane analizie na zebraniu.

Seweryn Blumsztajn nazywa Jacka Kuronia świeckim świętym, zastrzegając od razu, że to nie znaczy – bezgrzesznym. Którejś nocy po powrocie z trwającej pod Pałacem Kultury zabawy z okazji 22 lipca Kuroń pisze list do żony, najpewniej zresztą po pijanemu: „Chciałbym stworzyć dzieło – drogowskaz Manifest Ludzki. Powiedzieć, jak zmienić świat tak, żeby był cały jak ten plac. A wszystkie dziewczyny takie jak Ty. A wszystkie dzieci takie jak Maciek. Żeby wszyscy mieli papierosy, wino, czereśnie i kolorowe skarpetki. Chciałbym stworzyć Partię Rewolucji. Chciałbym nauczyć ludzi wychowywać dzieci, kochać żony, tańczyć rocka i pić wino. Chciałbym napisać poemat, a może po prostu piosenkę, która kazałaby im – tym gówniarzom z placu – wziąć się za ręce i wywrócić tę skisłą ojczyznę, świat, i całować się, i iść, i śpiewać".

Spoko, czyli kwadratura koła

Istnieje jeszcze jeden mit o Jacku Kuroniu: człowiek, który zawsze wyprzedzał epokę. Gdyby żył – głosi ta opowieść – świat byłby lepszym miejscem do życia, a Polską nie rządziłby PiS. Jej autorzy przyznają jednak, że z politykami nowego czasu – np. z Donaldem Tuskiem – nie znajdował wspólnego języka, choć przecież grać i manipulować również potrafił. Albo że alterglobaliści, do których pisał niedługo przed śmiercią (zgoda: na kilka lat przed tym, jak ich koncepcje weszły do mainstreamu), okazali się jeszcze jedną efemerydą. Albo że rozpraw Kuronia, nazywanych ironicznie „ogólną teorią wszystkiego", nigdy nie dawało się czytać. Że opisy technik wychowawczych, atmosfery, ideologii niewiele tłumaczą, bo „Jacek wychowywał sobą".

„Osobowość, charakter, wzór – to było najważniejsze. Chcieliśmy po prostu być tacy jak on" – mówi Blumsztajn. W istocie: z jego gawęd nie zostają teorie, jeśli już, to raczej obrazy, z jakich można wyprowadzić życiową postawę. Np. ten, w którym ojciec Jacka na pytanie, czy ktoś ze znajomych jest Ukraińcem (co we lwowskim kontekście brzmiało jak obelga), odpowiada: „On nie, ale ja tak" i dopiero po jakimś czasie komentuje: „powiedziałem ci tak, żebyś wiedział, że człowiek przypadkiem rodzi się Ukraińcem, Polakiem, Cyganem, Żydem".

W drodze na pogrzeb Grażyny, warszawskie Powązki, 1982 r.

Choć jest jeszcze kilka kwestii, które z tej osobowości i charakteru da się wyjąć poza kontekst epoki.

Pierwsza dotyka właśnie edukacji. Jacek Kuroń – chłopiec, u którego dziś zdiagnozowano by zapewne dysleksję i ADHD – wspominał szkołę jako coś gorszego od wojska i więzienia, i mimo wszelkich reform ostatnich dekad, podobne mu, ale też całkiem zwyczajne dzieci wciąż przeżywają ją bardzo podobnie.

Druga dotyczy pomagania innym i granic własnej sprawczości. Bikont i Łuczywo opowiadają historię dziewczyny z marginesu, którą wraz z przyjaciółmi przez kilkanaście lat wspierał. Wyciągnęli ją z nędzy. Znaleźli pracę i mieszkanie. Dziś jej dzieci studiują. Ona sama nie chce o nim rozmawiać, bo kiedyś obiecał, że coś tam jeszcze zrobi – i w jej przekonaniu nie dotrzymał słowa.

Trzecia kwestia wiąże się z głodem transcendencji: cytaty z jego tekstów na ten temat wciąż brzmią inspirująco i nie dają się sprowadzić jedynie do potrzeby zastąpienia wiary w komunizm wiarą w cokolwiek innego. Niezależnie od stosunku do Kościoła Kuroń mówi o życiu w świecie bez Boga zgodnie z Jego prawem i odkrywa, „jak niesłychanie prosty jest przepis na wielką miłość: prawo moralne to znaczy Ewangelia".

Kiedy zaczniemy się uśmiechać

No i jest w końcu jedna z najpiękniejszych historii miłosnych tego stulecia. Historia, którą opowiada się zwykle z perspektywy końca: miesięcy walki, którą o życie śmiertelnie chorej Grażyny podejmuje Marek Edelman, choćby tylko po to, by mogła jeszcze zobaczyć Jacka na wolności. Jeśli zaangażowanie Kuronia w komunizm opisuje się czasem sięgając po obraz Szawła, trudno o tamtej stracie nie myśleć w kategoriach Hioba. Zarazem tu również można rzeczywistość skomplikować – i autorki robią to, zaznaczając, że Jacek nie był Gai wierny i że czas żałoby po niej był również czasem krzywdzenia wielu kobiet, w których próbował zobaczyć emanację zmarłej. Można też zauważyć, że na sile związku rodziców cierpiał niedostrzegany syn („On nigdy nie dojrzał do bycia ojcem" – mówi o teściu żona Macieja Kuronia).

Zarazem jednak trudno nie dostrzec, jak zawsze starał się przy żonie zmienić – i jak ona nie chciała, by się zmieniał, bo kochała go właśnie takiego. Trudno też nie napisać, że w literaturze polskiej nie ma zbyt wielu listów miłosnych o tej mocy, co ich pisanie. „1. Zakochuję się w Tobie zawsze, ilekroć razem coś robimy. 2. Ilekroć jesteśmy dla siebie (Karpacz, Kazimierz...). 3. Ilekroć się rozstajemy. 4. Ilekroć się po rozstaniu spotykamy. 5. Zawsze, kiedy jestem o Ciebie zazdrosny. 6. Zawsze, kiedy Ci coś grozi. 7. Na ogół, kiedy się pokłócimy. (...) Zakochuję się zazwyczaj, jak Ci się podoba jakiś ciuch, jak się stroisz, jak sobie coś kupisz, jak przymierzasz kapelusze – kocham Ciebie do obłędu".

Być może najważniejsza lekcja z życiorysu tego do szpiku kości politycznego zwierzęcia jest taka, że nie wszystko jest polityką. I że marzenie o zmianie świata nie składa się w manifest czy program, a raczej w coś prostszego, jak ta piosenka, o której stworzeniu pisał do żony tamtej lipcowej nocy. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Anna Bikont, Helena Łuczywo, **JACEK**, *Agora/Czarne 2018*

WOJTEK LASKI / EAST NEWS

TOMASZ PACZOS / FOTONOVA

Daniel Obajtek i Patrycja Klarecka z zarządu Orlenu na jednej ze stacji koncernu, październik 2018 r.

Wnuki Kaczyńskiego

RAFAŁ WOŚ

Spora część pokolenia gierkowskiego wyżu, która ma ambicje politycznego działania, jest albo w PiS-ie, albo w jego orbicie.

Stereotyp wygląda tak: PiS to anachroniczna i zwrócona ku przeszłości partia ludzi starych, której najbardziej znani politycy przekroczyli wiek emerytalny (Antoni Macierewicz ma 70 lat, Jan Szyszko – 74, a marszałek Ryszard Terlecki – 69). W dodatku trzęsie nią schorowany 69-latek, mentalnie tkwiący gdzieś w latach 70., który myśli, że na drony mówi się „androny", trzeba mu drukować internet i długo nie miał konta bankowego – wypisz wymaluj późny Breżniew. Niewygodna prawda może być jednak inna.

W ostatnich latach na fali przepracowywania wyborczego sukcesu partii Kaczyńskiego nie raz zwracano uwagę, że PiS jakimś sposobem zdołał zerwać z wizerunkiem partii obciachowej, z którą wojowano prześmiewczym hasłem „zabierz babci dowód". Dziś w grupie 20-latków PiS idzie łeb w łeb z PO. Jeszcze dekadę temu w tym samym przedziale wiekowym liberałowie byli dwa razy popularniejsi.

To odmłodzenie elektoratu nie byłoby jednak możliwe bez liftingu całej formacji politycznej. Mówiąc umownie: zmiany przedstawicieli powojennego wyżu demograficznego (tego z przełomu lat 40. i 50.) na ludzi z wyżu kolejnego, tym razem z przełomu lat 70. i 80. W efekcie PiS tylko z pozoru zdaje się partią generacji Kaczyńskiego i Macierewicza, która łaskawie otwiera się na młodszych o dwie dekady Morawieckiego i spółkę.

Tak naprawdę prawica coraz bardziej staje się projektem politycznym wychowanych już w III RP 30- i 40-latków. Dla których to Morawiecki jest bezpośrednim punktem odniesienia, a Kaczyński to coraz bardziej odległy symbol odchodzącego pokolenia ojców założycieli III RP.

Miasta na własny rachunek

Dobrą ilustracją tego zjawiska były wybory samorządowe. W Warszawie starciu o Ratusz towarzyszyło przekonanie, że stara gwardia tym razem da pohasać swoim „młodym wilkom". Bliższa analiza trochę ten optymistyczny dla liberałów obraz psuje. Bo o ile jeszcze Patryk Jaki (rocznik 1985) za młodego może uchodzić, o tyle starszy od niego o 13 lat Rafał Trzaskowski (rocznik 1972) na obiecującego juniora metrykalnie nie bardzo się już nadaje.

Popatrzmy, co robią równolatkowie Trzaskowskiego po stronie PiS-owskiej. Andrzej Duda też urodził się w roku 1972 i od trzech lat jest gospodarzem Pałacu Prezydenckiego. Joachim Brudziński to rocznik 1969. Niby trzy lata różnicy, a czy komuś przyszłoby do głowy nazwanie go juniorem? Zbigniew Ziobro „młody zdolny" może i był, ale... dekadę temu. A potem zdążył zaliczyć nieudaną próbę odebrania Kaczyńskiemu przywództwa na prawicy, wrócić i znów (jak słychać w kuluarach) zaangażować się w walkę o władzę w swoim obozie. Tym razem przeciw premierowi, starszemu o dwa lata.

Jeśli ktoś widzi tu przypadek, powinien przeanalizować przebieg wyborów w innych dużych miastach. W Gdańsku PiS posłał do walki o prezydenturę 29-latka Kacpra Płażyńskiego, który po drugiej stronie miał starszego o 13 lat Jarosława Wałęsę i dawnego platformersa Pawła Adamowicza, który spokojnie mógłby być jego ojcem. W Łodzi dobiegająca sześćdziesiątki Hanna Zdanowska pokonała 36-letniego Waldemara Budę z PiS-u. W Krakowie prawicę reprezentowała 40-latka Małgorzata Wassermann. W Lublinie – 37-letni Sylwester Tułajew. Z kolei w Katowicach zwyciężył 42-letni Marcin Krupa. Na tym tle członkowie PiS-u z Wrocławia i Białegostoku (Mirosława Stachowiak-Różecka i Jacek Żalek) to „matuzalemy". Oboje liczą sobie aż... 45 lat.

Ktoś może powiedzieć, że w większości miast kandydaci PiS nie dali rady wysadzić z siodła konkurentów. Z drugiej strony trudno zaprzeczyć, że po tych wyborach po stronie PiS znacząco zwiększyły się szeregi 30- i 40-latków z cennym doświadczeniem walki o prezydenturę dużego miasta. I to nie „na kogoś", tylko na własny rachunek. Ich rówieśnicy po stronie liberalnej o takiej szansie mogą pomarzyć. Patrząc z tego miejsca, to obóz liberalny pachnie dziś gerontokracją.

Centralny Port Geopolityczny

Samorząd to nie jedyna dziedzina, w której widać pokoleniowe napięcia. Tuż po

wyborach 2015 r. politolog Rafał Matyja zwrócił uwagę, że rząd Beaty Szydło jest jednym z najstarszych metrykalnie w historii III RP. Wnioski zostały, zdaje się, wyciągnięte. Gdy na początku 2018 r. doszło do rekonstrukcji gabinetu, średnia wieku spadła. W miejsce 70-latków Macierewicza i Szyszki przyszli Jadwiga Emilewicz, Teresa Czerwińska i Łukasz Szumowski, a sekretarzem kancelarii premiera został Michał Dworczyk – 40-latkowie.

Im dłużej PiS jest u władzy, tym chętniej wpuszcza też młodszych na kierownicze stanowiska w kluczowych spółkach Skarbu Państwa. Tak było w Orlenie, gdzie początkowo prezesem został Wojciech Jasiński – totumfacki (i niemal rówieśnik) Kaczyńskiego. Po dwóch latach władzę oddano w ręce młodszego o trzy dekady Daniela Obajtka (rocznik 1976) – byłego wójta gminy Pcim, który w międzyczasie wdrażał się w menadżerkę w roli szefa Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, a potem prezesa Energi.

W KGHM po okresie bezkrólewia zakotwiczył się Marcin Chludziński (rocznik 1979), założyciel think tanku Fundacja Republikańska. I on, zanim dostał do kierowania ogromną państwową spółkę, był testowany na drugiej linii w Agencji Rozwoju Przemysłu. W PZU władzę dostał uchodzący za „złote dziecko PiS" Michał Krupiński (rocznik 1981). Później w wyniku walk między frakcjami Ziobry i Morawieckiego zastąpił go bankowiec Paweł Surówka (rocznik 1980). A Krupiński trafił do przejętego przez państwo Pekao SA. W Tauronie szefem jest z kolei Filip Grzegorczyk (rocznik 1978).

Najnowszym i chyba najciekawszym nabytkiem w gronie wywodzących się z PiS menadżerów 40-latków jest Jacek Bartosiak. Rocznik 1976, prawnik, którego internetowe pogadanki i książki (właśnie wydał drugą) na temat geopolityki cieszą się takim wzięciem, że śmiało można mówić o wykreowaniu intelektualnej mody. Bartosiak zdaje się nic sobie nie robić z panującego w pierwszej fazie transformacji przekonania, jakoby Polska była krajem zbyt małym i słabym na prowadzenie własnego geopolitycznego namysłu. Przeciwnie: jego zdaniem geopolityka nie jest żadnym pobrzękiwaniem szabelką ani fantomowym bólem po utraconej mocarstwowości. A powinna być – jak dowodzi autor „Rzeczpospolitej między lądem a morzem" – elementarzem i częścią edukacji państwowych decydentów. We wrześniu gruchnęła wieść, że Bartosiak stanie na czele spółki ds. budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego – największego przedsięwzięcia infrastrukturalnego rządu PiS.

Projekty na jedno pokolenie

Wszystkie te przykłady można interpretować na dwa sposoby. Jedni dostrzegą w tym stare jak świat zjawisko karierowiczostwa. Możliwe jest jednak i inne, bardziej pragmatyczne ujęcie. Patrząc z tej perspektywy przyjmijmy, że zmiana pokoleniowa nigdy nie jest wyłącznie dobra ani zła. Jedyne, czego możemy być pewni – to że ona po prostu zachodzi. A miarą jakości instytucji jest to, czy potrafią się do generacyjnych przemian zaadaptować. Albo instytucje (partie, środowiska intelektualne, przedsiębiorstwa) będą potrafiły wchłonąć impet młodych, ale za cenę podzielenia się z nimi władzą, albo uznają „nowe" za zagrożenie i się na „młodych" obrażą twierdząc, że „my się do świata dopasowywać nie zamierzamy". W tym drugim przypadku najpewniej nie przetrwają.

W III RP jest z tak rozumianą sukcesją generalny kłopot. Nie potrafili jej dokonać zasłużeni solidarnościowcy z Unii Wolności, więc choć Bronisław Geremek wygrał partyjny kongres, to i tak Donald Tusk dokonał wrogiego przejęcia formacji, powołując do życia Platformę Obywatelską. PZPR potrafiła zrazu zmienić skórę i dopuścić do władzy pokolenie Kwaśniewskiego, Millera i Oleksego. Gdy jednak dwie dekady później oni sami stanęli przed wyzwaniem sukcesji, zawiedli na całej linii sprawiając, że SLD przejdzie (mimo najnowszych prób resuscytacji) do historii jako projekt jednej tylko generacji. Podobne problemy mają nie tylko politycy. W biznesie istnieje nawet rozbudowana branża „doradców ds. sukcesji".

PiS ze swoim starzejącym się elektoratem i wodzowskim stylem Kaczyńskiego wydawał się być w sytuacji trudniejszej niż chętnie szafująca hasłami modernizacji PO. A jednak pod względem otwierania się na dzieci gierkowskiego baby boomu to on zdaje się być górą. Dzieje się tak mniej więcej od roku 2011, gdy zdruzgotana kolejną porażką partia musiała wymyślić się na nowo. I chyba się wymyśliła. To wtedy PiS zaczął przyciągać pokolenie urodzonych na przełomie lat 70. i 80. Jarosław Kuisz z „Kultury Liberalnej" poświęcił im książkę „Koniec pokoleń podległości". ↦

TP

„TYGODNIK POWSZECHNY" ZAPRASZA NA FESTIWAL KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

Z okazji 85. urodzin Krzysztofa Pendereckiego

w dniach 16-23 listopada odbywać się będzie w Warszawie festiwal celebrujący twórczość Jubilata.

W wydarzeniu, goszczącym m.in. w salach Filharmonii Narodowej, Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, Zamku Królewskiego, wezmą udział najwybitniejsi artyści z całego świata. W następnym wydaniu „TP" dodatek poświęcony temu wydarzeniu, a już dziś dla naszych Czytelników mamy **5 podwójnych zaproszeń** na koncert inaugurujący wydarzenie (w piątek 16 listopada, godz. 19.30) – trafią one w ręce osób, które jako pierwsze nadeślą na adres promocja@tygodnik.com.pl zgłoszenie, w temat **wpisując słowo „MAESTRO"**.

„Tygodnik" jest Partnerem wydarzenia. Więcej informacji: www.beethoven.org.pl

Potraktujcie nas poważnie

↦ To ludzie, których polityczne dojrzewanie przypada już na czas po roku 1989. Uwolnieni od szeregu neuroz poprzednich generacji 30- i 40-latkowie przez kilka ostatnich lat domagali się nowego podejścia do szeregu spraw publicznych. Jedni chcieli gruntownej rewizji polityki gospodarczej okresu transformacji. Innym zależało na ponownym przemyśleniu polityki wobec świata (w tym UE). Jeszcze inni marzyli o państwie, które nie będzie tylko „teoretyczne". Ponad wszystko jednak chcieli rozmowy. Poważnego traktowania. Chcieli po swojemu odpowiedzieć na stare pytanie: „jaka Polska?".

Próbowali do swych „nowinek" przekonywać liberałów, ci jednak zbyt często reagowali zniecierpliwieniem: stukali się w czoło i pytali, po co naprawiać mechanizm, który świetnie działa. „Wielu liderów obecnego rządu jest w pewnym stopniu produktem straszliwego zamknięcia elit III RP. Czegoś w rodzaju braku umiejętności kooptacji, która byłaby w interesie nas wszystkich. A przecież w dojrzałych demokracjach działa racjonalny mechanizm: jak traktujesz opozycję, takich następców sobie wychowasz" – oceniał to zjawisko szef Klubu Jagiellońskiego Krzysztof Mazur.

Bo PiS gierkowskich baby boomersów przynajmniej zaprosił do rozmowy. A po przejęciu władzy w 2015 r. niektórych nawet dopuścił do sterów. Efekt jest taki, że spora część pokolenia gierkowskiego wyżu, która ma ambicje politycznego działania, albo jest w PiS-ie, albo w jego orbicie, albo ma do „dobrej zmiany" bazowy sentyment. Pomimo wszystkich szaleństw partii rządzącej.

Proszę ich nazwać, jak Państwo chcą. „Nowa prawica", „neo-PiS", „wnuki Kaczyńskiego". To grupa zbyt liczna, by móc ją ignorować albo pouczać. Nie ma też co liczyć na ich zniknięcie z życia publicznego wraz z odejściem na emeryturę słynnego kociarza z Żoliborza. Każdy, kto chce wejść do polityki z nową wiarygodną opowieścią, musi znaleźć sposób na nawiązanie z nimi rozmowy o Polsce i świecie.

©℗ RAFAŁ WOŚ

Krakowscy urzędnicy testują nową trasę rowerową, Kraków 2015 r.

Partia stadionów i estakad

PIOTR KOZANECKI

Samorządy nie uniknęły polaryzacji politycznej. Ale miastami rządzi tak naprawdę jedna i ta sama ponadpartyjna logika, którą widać przy podziale budżetów.

Miasta przyciągają inwestycje, budują drogi dla rowerów, dbają o przestrzenie publiczne. Walczą ze smogiem, zależy im na kulturze, a sformułowanie „jakość życia" odmieniają przez wszystkie przypadki. Przynajmniej tak nam mówią samorządowcy. Ale pieniądze przez nich wydawane mówią coś innego.

Teoretycznie nie ma tu żadnych niejasności. Budżet każdego miasta jest jawny, zdarza się nawet, że przystępnie pokazany na stronie internetowej. Wydatki są podawane do wiadomości publicznej, media informują w poniedziałek, że kanalizacja na Cichej pochłonęła 34 mln złotych, we wtorek, że budowa dwóch boisk 4 mln, a w środę, że na budżet obywatelski poszedł okrągły milion. Tyle że te kwoty właściwie nic nam nie mówią. We wtorek już nie pamiętamy kwoty z poniedziałku, mało kto potrafi te wydatki porównać i ze sobą zestawić.

JAKUB OCIEPA / AGENCJA GAZETA

Informacji o pieniądzach mamy dużo, ale o tym, na co są wydawane, wiemy mało. Zwłaszcza jeśli wyjdziemy z teraźniejszości i cofniemy się o kilka lat. Dopiero wtedy widać, ile warte są ulotki reklamowe i kampanijne obietnice. Ponieważ, suche budżetowe liczby bezwzględnie pokazują priorytety samorządowców, dziennikarze Onetu, „Newsweeka" i „Forbesa" postanowili przeanalizować budżety prawie 30 polskich miast (materiały na ten temat można znaleźć pod adresem: wiadomosci.onet.pl/na-co-idzie-nasza-kasa).

Muzyka i teatr sportem narodowym

Więcej osób w Polsce chodzi do teatru lub filharmonii czy na mecze ekstraklasy piłkarskiej? Wydawałoby się, że na mecze, tymczasem liczby mogą wprawić w osłupienie. W Bielsku-Białej na spotkania Podbeskidzia chodzi mniej więcej tyle samo ludzi, co do tamtejszego Teatru Polskiego (ok. 100 tys. rocznie). Do Filharmonii w Szczecinie przychodzi ponad 150 tys. w ciągu sezonu. Na mecze tamtejszej Pogoni – niecałe 100 tys. Nawet kiedy wyjdziemy poza piłkę i policzymy kibiców bardzo popularnego, zwłaszcza w zachodniej Polsce, żużla, otrzymamy wyniki frapujące. W liczącym nieco ponad 125 tys. mieszkańców Gorzowie Wielkopolskim na wyścigi przychodzi w sezonie ok. 120 tys. kibiców. A do teatru im. Juliusza Osterwy w 2013 r. przyszło 80 tys. widzów. Mniej, ale przecież nie jest to przepaść.

Spróbujmy teraz położyć na szali kilka rzeczy. Gdańsk, Kraków, Wrocław, Białystok, Kielce czy Bielsko-Biała zbudowały stadiony za setki milionów złotych. Czy budowano w tym czasie teatry lub filharmonie? Owszem: w Szczecinie, Gdańsku, Krakowie czy Białymstoku. Tyle że wydatki różniły się niemal o rząd wielkości. Uhonorowana Nagrodą im. Miesa van der Rohe, najbardziej prestiżowym wyróżnieniem architektonicznym w Europie, Filharmonia w Szczecinie kosztowała ok. 120 mln zł. Teatr Szekspirowski w Gdańsku – niecałe 100 mln. PGE Arena w Gdańsku czy stadion krakowskiej Wisły to wydatki w okolicach 700 mln zł, a pamiętajmy, że Kraków, podobnie jak Łódź, zafundował sobie dwa stadiony.

Jedynie w Białymstoku została zachowana względna równowaga – nieco ponad 200 mln zł poszło na Operę Podlaską i na stadion Jagiellonii. Na mecze przychodzi średnio 11 tys. kibiców, co przy 18 granych w sezonie ekstraklasy u siebie kolejkach daje prawie 200 tys. kibiców, a licząc kilka gier w europejskich pucharach i pucharze Polski, około 230 tys. Opera Podlaska odnotowała w październiku 2018 r. milionowego gościa, co przez sześć lat funkcjonowania daje średnią 166 tys. widzów na sezon. Ale to o operze pisano, że miasto zafundowało sobie „białego słonia", czyli obiekt, do którego trzeba będzie wiecznie dopłacać i który nie był potrzebny. Podobne głosy dotyczące stadionów pojawiają się znacznie rzadziej.

Dołóżmy do tego bilansu jeszcze kilka rzeczy. Np. zarobki piłkarzy kontra zarobki aktorów teatralnych. Koszty zabezpieczenia meczów wobec kosztów zabezpieczenia przedstawień w operze (ktoś w ogóle widział taką kategorię w księgach rachunkowych?). Fakt, że część klubów to prywatne instytucje, podczas gdy teatry, wyłączając kilka warszawskich wyjątków, to instytucje publiczne. Fakt, że kluby dostają pieniądze z praw do transmisji telewizyjnych, a spółka Ekstraklasa SA pochwaliła się rekordowymi przychodami – 181 mln zł, podczas gdy na działalności teatrów zarabiają tylko ich pracownicy.

I dopiero kiedy położymy to wszystko na szali, widać, jak rażące są dysproporcje pomiędzy wydatkami na widza meczu a wydatkami na widza teatru lub filharmonii. W dużym mieście nie będzie to tak bardzo odczuwalne – można wybrać mecz lub teatr. Ale w miejscowościach poniżej 50 tys. mieszkańców teatrów praktycznie nie ma, za to normą jest wspieranie finansowe przez samorząd klubu piłkarskiego.

Zatrzymajmy się jeszcze przy kulturze. Bo widać w tej dziedzinie niepokojącą tendencję – w większości samorządów procentowy udział wydatków na kulturę spadł. W 2011 r. przeznaczano na nią średnio 3,5 proc. budżetu, a w 2017 r. już tylko 2,5 proc. Trzeba przy tym pamiętać, że według danych GUS sprzed trzech lat samorządy rozdysponowują aż 80 proc. środków publicznych przeznaczanych na kulturę. Na dodatek lokalne władze wpadają w ten sam schemat, co przy sporcie – energia i pieniądze skupiają się na dużych inwestycjach infrastrukturalnych, zamiast na mniejszych inicjatywach.

Najdroższe drogi

Wydatki na infrastrukturę chyba najbardziej jaskrawo pokazują stan polskich miast, świadomość ich władz, filozofię rządzenia, a pośrednio nasze wyobrażenie o tym, jak miasto powinno wyglądać i co powinno zapewnić.

Zapewne większość z nas za jeden z kluczowych miejskich problemów uzna korki. Prawie każdy kiedyś się przez korek spóźnił i przeklął w myślach burmistrza, że „nic z korkami nie robi". Otóż dane mówią co innego – walka z korkami pochłania najwięcej naszych pieniędzy. Tyle że jest to walka bardzo nieumiejętna.

Miasta mogą przeznaczać na inwestycje od 15 do 20 proc. swoich budżetów. To ogromne pieniądze: w budżecie Krakowa jedna piąta to miliard, budżet Warszawy w ubiegłym roku wyniósł rekordowe 15 mld zł. Z tych inwestycyjnych 15-20 proc. połowę wydajemy na drogi. Od jakichś 25 lat od Szczecina po Przemyśl i od Suwałk po Jelenią Górę połowa kosztów inwestycyjnych to wydatki na remonty istniejących i budowę nowych dróg, estakad, rond i wiaduktów. ↦

↦ Wyobraźmy sobie, że bardzo boli nas głowa. Bierzemy tabletkę, ból nie ustaje. Bierzemy kolejną, ból nie tylko nie ustaje, ale jeszcze się wzmaga. Za kilka dni, żeby w ogóle utrzymał się na pierwotnym poziomie, musimy już brać dwie tabletki naraz. Po ilu dniach zorientujemy się, że należałoby zmienić sposób leczenia?

Polskie miasta nie doszły do takiego wniosku przez ćwierć wieku. Cztery lata temu, po poprzednich wyborach, wydawało się, że coś się w tym temacie zmieni. Do władzy w paru ośrodkach doszły osoby związane z proponującymi inne metody na likwidację korków (albo przynajmniej na ich redukcję) ruchami miejskimi. Po tegorocznej kampanii widać, że zmieniło się niewiele. A jeśli już, to na gorsze, bo ruchy miejskie wytraciły impet, zmotoryzowani mieszkańcy zaczęli się coraz lepiej organizować w grupy protestu, a robienie parkingów na przyszkolnych trawnikach weszło za sprawą Małgorzaty Wassermann do politycznego mainstreamu.

Błędne koło rozwoju

Warto to jeszcze raz podkreślić – liczby mówią jednoznacznie, że samorządy największą część inwestycji przeznaczają na budowę dróg. Dlaczego więc dalej stoimy w korkach?

Zajmujący się tematem transportu eksperci już dawno to opisali, a praktycy – jak Janette Sadik-Khan w Nowym Jorku czy Enrique Peñalosa w Bogocie – przetestowali. Otóż budowa nowej drogi zachęca do wyboru samochodu jako środka lokomocji kolejnych mieszkańców. To oznacza, że im więcej budujemy dróg, tym więcej samochodów zaczyna się po nich poruszać. Paradoks? Niekoniecznie. Wystarczy zwrócić uwagę, że na ulicach Warszawy czy Wrocławia pojawiło się w ostatnich kilku latach znacznie więcej rowerzystów. Dlaczego? Bo poprawiła się dla nich infrastruktura. Jeśli będzie się poprawiać dalej, ich liczba będzie rosnąć. Z drogami działa to tak samo. Tyle że do rowerowych korków nam daleko, a sytuację zmotoryzowanych pogarsza spowodowane złym planowaniem przestrzennym rozlewanie się miast, które także promuje indywidualny transport samochodowy. W luźno rozrzuconej zabudowie transport publiczny jest nieefektywny, a odległości dla pieszych i rowerzystów za duże.

Nie można powiedzieć, że włodarze tego problemu nie widzą. Niejeden prezydent przejął i przyswoił część postulatów i mentalności ruchów miejskich, wprowadzane są rozwiązania sprzyjające jeździe na rowerze. Nie ma co też narzekać na inwestycje w nowy tabor komunikacji zbiorowej. Ograniczany jest ruch w centrach, a miejsca postojowe zabierane samochodom i oddawane pieszym. Ale skala tych działań jest znikoma, więc i efekt daleki od oczekiwanego.

Dobrze to widać na przykładzie Krakowa, w którym 85 proc. głosujących poparło w referendum z 2014 r. zwiększenie nakładów na budowę dróg rowerowych. Oszacowano wówczas, że na budowę sensownej, kompletnej sieci dróg dla jednośladów miasto powinno wydać ok. 120 mln zł. Wystarczyłoby rozbić tę kwotę na cztery lata i sieć mogłaby być właśnie na ukończeniu. Ale nie jest. A jednocześnie prezydent i rada miasta uznają, że warto przeznaczyć 1,2 mld zł na budowę Trasy Łagiewnickiej, fragmentu wewnętrznej obwodnicy, w praktyce kilku kilometrów autostrady w mieście. Za tę kwotę kilkanaście największych miast (bez Warszawy) wybudowałoby znakomicie rozwiniętą sieć ścieżek rowerowych.

Wydaje się, że większość ośrodków jest obecnie w trudnej sytuacji. Z jednej strony dostrzega się, że budowa dróg nie tylko nie rozwiązuje problemu korków, ale go pogłębia. Ale z drugiej strony działania ograniczające ruch samochodowy są na tyle niemrawe i niekompletne, że efektów widać mało. Kierowcy czują się szykanowani, odbijają się od kolejnych zakazów wjazdu czy parkowania, a w korkach stoją, jak stali.

Sprawa poruszania się po mieście komplikuje się jeszcze, jeśli spojrzymy w przyszłość. Coraz więcej wskazuje na to, że za 15-20 lat w powszechnym użyciu będą samochody autonomiczne, a część zadań transportowych (np. dostarczanie przesyłek) przejmą drony. Prawdopodobnym efektem tej rewolucji będzie spora zmiana w myśleniu o własnym samochodzie. Przez jakieś 20 godzin na dobę stoi on nieużywany, zajmując miejsce na parkingu. Pojazd autonomiczny będzie mógł być w ruchu prawie non stop. Bardzo możliwe, że znaczna część z nas nie będzie kupować auta na własność, tylko raczej wzywać samochód w miarę potrzeb.

Autonomiczne pojazdy w połączeniu z autonomiczną komunikacją zbiorową to najbardziej prawdopodobny scenariusz transportowy na przyszłość. Jaki jest w takim wypadku sens przeznaczać dziś po-

Skąd miasta mają pieniądze?

OK. 30–40 PROC. WPŁYWÓW TO SUBWENCJE I DOTACJE CELOWE, czyli pieniądze płynące z budżetu centralnego, np. na edukację czy pomoc społeczną, w tym Program 500 plus. Im większy odsetek ta kategoria stanowi w budżecie, tym gorzej, bo oznacza to większe uzależnienie od rządu.
Ok. 30 proc. to dochody własne, czyli lokalne podatki i opłaty, jak np. podatek od nieruchomości.
Ok. 15-30 proc. to wpływy z PIT. Im wyższy odsetek, tym lepiej. Warszawa i Kraków mają z PIT ok. 30 proc. wpływów, Gdańsk ok. 25 proc., Konin 20 proc., a Zamość tylko 16 proc.
Maksymalnie 10 proc., choć częściej ok. 5 proc., to dotacje z UE.
Od 1 do 3 proc. – wpływy z CIT, czyli podatku płaconego przez firmy.

Na co miasta wydają pieniądze?

OK. 80 PROC. TO WYDATKI STAŁE, czyli takie, przy których pole manewru jest ograniczone. Najwięcej pochłania edukacja – 20-25 proc. Kolejne pozycje to świadczenia rodzinne, transport i łączność – ok. 15 proc. Pomoc społeczna, administracja oraz gospodarka komunalna i ochrona środowiska – każda z tych dziedzin pochłania ok. 7 proc.
Ok. 20 proc. zostaje na inwestycje, z czego zazwyczaj połowa idzie na drogi.

nad miliard zł na szerszą od autostrady drogę, która zostanie oddana do użytku w roku 2020, a pełną funkcjonalność osiągnie dopiero wtedy, gdy za kolejne miliardy zbudujemy jeszcze dwa jej odcinki? Kraków ma spłacać Trasę Łagiewnicką do 2042 r. Stawiam tezę, że zanim ją spłacimy, przestanie być potrzebna.

Co to znaczy nic?

Gdyby premier Morawiecki do swojego zarzutu wobec władz Krakowa, że miasto nie zrobiło „nic lub prawie nic ws. walki ze smogiem", dołączył dłuższą perspektywę czasową, miałby szansę ten zarzut obronić. Bo problem smogu był znany od kilku dekad, ale stanowczo za walkę z trującym powietrzem zabrano się dopiero w ostatnich czterech – pięciu latach. I nie była to bynajmniej inicjatywa miasta, a reakcja na tysiące udostępnianych codziennie na Facebooku ostrzeżeń przygotowywanych przez społeczników z Krakowskiego Alarmu Smogowego.

Dopiero wtedy, kiedy temat smogu stał się tematem codziennych rozmów krakowian, miasto się nim na poważnie zajęło. I od 2014 r. idą za tym konkretne pieniądze – nawet 100 mln rocznie na dofinansowania do wymiany pieców, 360 mln na rozbudowę sieci ciepłowniczej rozbite na kilka lat czy śmiałe inwestowanie w elektryczne lub hybrydowe autobusy.

Do Filharmonii w Szczecinie przychodzi ponad 150 tys. osób w ciągu sezonu. Na mecze tamtejszej Pogoni – niecałe 100 tys.

Słowa premiera były natomiast o tyle niesprawiedliwe, że jeżeli Kraków nie robi „nic lub prawie nic", to co powiedzieć np. o Opolu, które na walkę ze smogiem ma przeznaczyć w 2018 r. raptem 3 mln zł? I w którym to Opolu jest ponad 5 tys. pieców węglowych, tyle samo co w pięciokrotnie większym Krakowie (bo Kraków ponad 20 tys. zdążył zlikwidować)? A co powiedzieć o 14 gminach otaczających stolicę Małopolski, gdzie w roku 2017 zostało zlikwidowanych 913 pieców węglowych spośród ponad 40 tys.?

Pieniędzy zawsze będzie za mało

Planowanie budżetu to nic innego jak ustalanie priorytetów. Jeśli na ważny dla nas cel miasto nie przeznaczyło wystarczającej sumy, to nie dlatego, że pieniędzy jest za mało i dopiero jak będzie ich więcej, to znajdą się i dla nas. Pieniędzy będzie za mało zawsze, dlatego trzeba walczyć o zmiany priorytetów. Jeśli powiemy sobie, że najważniejsze są dla nas np. czyste powietrze, zrównoważony transport, zieleń i to, by wszystkie dzieci miały zapewniony żłobek, a po opuszczeniu liceum mówiły w dwóch obcych językach – pokażmy to w budżecie. Chyba że najważniejsze są sześciopasmowe drogi.

© PIOTR KOZANECKI

Autor jest dziennikarzem Onet.pl

REKLAMA

IL VOLO
KONCERT
8 GRUDNIA 2018
ATLAS ARENA ŁÓDŹ
BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK
IL VOLO WEBSITE: ILVOLOMUSIC.COM FB: /ILVOLOMUSIC INSTAGRAM: / @ILVOLOMUSIC
OPERA BLUE'S management

Prestige MJM 10 lat · RMF Classic · wprost · Do Rzeczy · Gazeta Bankowa · Multikino · GOLD · STRÖER · VIXON MUSIC · empik · pap · PRESS SERVICE monitoring mediów · cgm.pl · WP

ANNA

Dziewit-Meller: *Mężowie i żony*

Przyznaję uczciwie – zrobiło mi się nieswojo, gdy przeczytałam, że Angela Merkel powoli zmierza do *grand finale* swojej wszechwładzy. Ogarnęło mnie nawet poczucie lekkiego osamotnienia, coś jakby matka wyszła z domu i nie powiedziała, czy wróci. Czy pozwoli Angela wiecznie niedojrzałemu polskiemu dziecięciu wtulić się jeszcze w swoją ciepłą niemiecką pierś? I czy jej następcy będą mieli dla niego miejsce na kolankach? Może każą dorosnąć?

Ale perspektywa odejścia Angeli Merkel na zasłużoną emeryturę kazała mi też myśleć nad lingwistyczną zagwozdką: czy mianowicie potomność uzna ją za wielkiego męża stanu? Według wszelkich definicji – pasuje! Czy jednak – choćby miała zasług cały wór, mężem stanu nie zostanie, bo jest niestety żoną? Jednocześnie zapytuję – bo może ktoś wie – jak nazywano panie, które podczas ostatnich wyborów samorządowych pilnowały w lokalach wyborczych ich przebiegu: czy były mężami zaufania?

Te żartobliwe nieco w tonie rozważania na temat języka i tego, co też on za informacje o świecie i społeczeństwie ze sobą niesie, już od czasów „Seksmisji" pozwalają na rechot w duchu złotych myśli typu „Kopernik była kobietą" oraz „Ten wasz feminizm to się kończy, jak trzeba wnieść lodówkę na czwarte piętro". Pośmiać się zawsze dobrze, wiadomo: jak mąż z mężem.

A może to wszystko nie jest jednak śmieszne? Może jest wręcz przeciwnie – dość straszne, bo jest tylko czubkiem gigantycznej góry lodowej, która nazywa się „niewidzialność kobiet w wymiarze narracji historycznych"?

Kto chciałby się przekonać, jak jest – wesoło czy jednak nie – ten niech spośród wszystkich wystaw, upamiętnień, akademii ku czci i innych, jakie odbywają się z okazji stulecia, wybierze tę w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Wystawa „Niepodległe. Kobiety a dyskurs narodowy" to próba przyjrzenia się temu, jaką rolę w dwudziestowiecznych narracjach narodowowyzwoleńczych odgrywają kobiety. Od Polski przez Bałkany, Afrykę i Azję po Amerykę Południową. I oto – cóż za zdziwienie – wszystko nas dzieli być może, ale sprawa kobiet w historii łączy nas w jeden długi, oplatający kulę ziemską łańcuch.

Kuratorka tej znakomitej wystawy Magdalena Lipska w wydawnictwie jej towarzyszącym pisze, odwołując się do Immanuela Wallersteina, że fundamenty nowoczesności budowano na dokumentach, które niejako *a priori* wykluczały kobiety i „nie-białych". Ta „wolność, równość i braterstwo", które dała nam rewolucja francuska, to „wspólnota polityczna oparta na przymierzu mężczyzn". A gdzie się wobec tego podziewa brakująca połowa ludzkości? „Patriarchalne, narodowe państwa, w tym Polska, potrzebowały kobiet, gdy walczyły o niepodległość, i potrzebują ich nadal, by mogły się rozwijać i reprodukować. Jednak sprowadzenie kobiet do roli reproduktorek narodu (...) niespecjalnie służy samym kobietom" – pisze Lipska.

Dmowski, Piłsudski, Witos, Paderewski, Grabski, Kwiatkowski, Korfanty w setną rocznicę odzyskania niepodległości tradycyjnie powracają w glorii chwały, na kasztankach czy jakkolwiek bądź. Wśród kobiet obecne są głównie te symboliczne – Matka Polka, Polonia, Matka Boska Królowa Polski.

Weronika Grzebalska w tym samym wydawnictwie muzealnym pyta, „gdzie w tym wszystkim są kobiety współtworzące ów projekt obywatelskiego militaryzmu?". I dodaje: „Przymusowa demobilizacja kobiet z Ochotniczej Legii Kobiet, pomysł odbierania broni kobietom walczącym w czasie powstania warszawskiego, określanie walki kobiet w szeregach AK jako »pomocy« czy zaobserwowana przez same kombatantki drugorzędna pozycja kobiet w literaturze historycznej przypominają nam ciągle o ponawianych próbach sprowadzenia obywatelskiej żołnierskości do zbrojnej męskości". Ta zaś – jak chcą autorki – nie musi być przecież tożsama ze zbrojną nacjonalistyczną męskością. Wystarczy przywołać Henrykę Pustowójtównę, Bronisławę Waligórską czy Elżbietę Zawacką.

Wystawę rozpoczyna fragment pracy „Rewers 8" Bownika – to wyjęty z jego cyklu o ubraniach kobiet-robotnic jedyny męski strój, czyli kurtka Józefa Piłsudskiego, wywrócona, jak wszystkie inne w cyklu, na drugą stronę. Miękka podszewka twardego wojskowego stroju ukazuje nam symboliczną „delikatność i ułomność" wielkiego przywódcy i jest próbą zaburzenia ustalonego paradygmatu władzy. Chorwacka artystka Sanja Iveković w pracy „Niewidzialne kobiety Solidarności" słynny plakat przedstawiający kowboja trzymającego kartę do głosowania zamiast pistoletu zmienia, kowbojem czyniąc kobietę. Zuzanna Janin pyta o wymazanie z opowieści o Solidarności Ewy Ossowskiej – Wajda robiąc swój film o Wałęsie wyciął ją z historii, Janin chce przywrócić. Ale ta wystawa to przecież nie tylko polska historia – to narracje o bliźniaczo podobnych gumkowaniach z dyskursu kobiecej perspektywy, kobiecego zaangażowania, kobiecego wkładu w dzieje. Historię, jak wiadomo, piszą zwycięzcy. Niezależnie od szerokości geograficznej. Dobrze zatem, że MSN postanowiło dopisać kawałek tej brakującej połowy dziejów. ©

POŻEGNANIE

W czwartek, pierwszego listopada, zmarł

Mariusz Chwedczuk

Wybitny scenograf teatralny i telewizyjny, grafik, scenarzysta i reżyser.

Erudyta, mentor i nauczyciel.

PZL

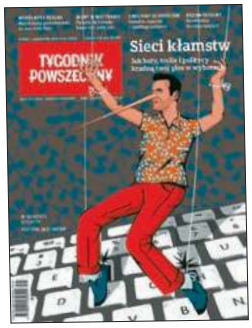

„TP" 41 / 2018

Gdzie miłorząb, gdzie jarząb

W reportażu Włodzimierza Nowaka „Do piekła nie pójdę" natrafiłam na taki fragment: „dom stoi przy brukowanej ulicy obsadzony stuletnimi miłorzębami szwedzkimi". Takich drzew nie ma. W opisie alei w Janowicach Wielkich chodzi zapewne o jarząb szwedzki, który z miłorzębem nie ma nic wspólnego poza tym, że też jest drzewem. Miłorząb jest rośliną nagozalążkową o spłaszczonych w kształcie wachlarza, opadających na zimę liściach. Natomiast jarząb szwedzki to krewniak naszej jarzębiny, który uprawiany jest na terenie całego naszego kraju, a na siedliskach uboższych zwykle rośnie krzaczasto.

BARBARA FILKOWA

OD REDAKCJI: Autor w mailu do redakcji sprostował błąd, ale zdążyliśmy go poprawić jedynie w elektronicznej wersji tekstu. Dziękujemy za uważną lekturę!

„TP" 45 / 2018

Menstruacja to nie fanaberia

Przeczytałam komentarz Pawła Bravo o unijnej dyrektywie ws. ograniczenia plastikowych śmieci. „Politycy unijni nie odważyli się na razie nałożyć restrykcji na produkty menstruacyjne (...). Przed wyborami żaden polityk nie chce zostać zapamiętany jako ten, który wprowadził »podatek od tamponów«" – pisze autor.

Porównanie zaśmiecających planetę słomek do podpasek i tamponów jest nieuprawnione. Podpaski i tampony, w przeciwieństwie do słomek czy patyczków do balonów, są koniecznością, nie wymysłem użytkowniczek. Human Rights Watch ogłosiła, że swobodny dostęp do podpasek to kwestia praw człowieka, ponieważ menstruacja wciąż wiąże się z dyskryminacją. Badania HRW pokazują, że w niektórych krajach (np. Nepal) brak dostępu do podpasek i toalet w trakcie menstruacji powoduje, iż kobiety traktowane są jako nieczyste. W związku z tym dziewczynki nie chodzą w tym czasie do szkoły, rodzice są mniej skłonni inwestować w ich edukację, a bardziej skłonni wydać je szybko za mąż. Podobnie w Indiach, które nawet zwiększyły opodatkowanie produktów do higieny intymnej, co zostało jednoznacznie uznane za dyskryminację. Od lat wiele organizacji walczy o zniesienie tzw. *tampon tax*. Dzięki temu np. Kanada już zniosła ten podatek, w USA 24 stany zdecydowały się na jego zlikwidowanie, a brytyjskie Tesco obniżyło ceny tych produktów o kwotę VAT (w Wielkiej Brytanii wynosi ona 5 proc.), po tym, jak portal BBC News opracował kalkulator wydatków, jakie musi ponieść przeciętna Brytyjka przez całe życie w związku z tym, że zachciało jej się mieć taką fanaberię jak miesiączka. W Polsce tymczasem podatek ten wynosi 8 proc. Nie każdą Polkę stać na kupno podpasek, mimo że – podkreślam – są one koniecznością. Są prawem kobiety, a nie towarem luksusowym, który należałoby dodatkowo opodatkować!

MARTA FILIPIUK-MICHNIEWICZ

REKLAMA

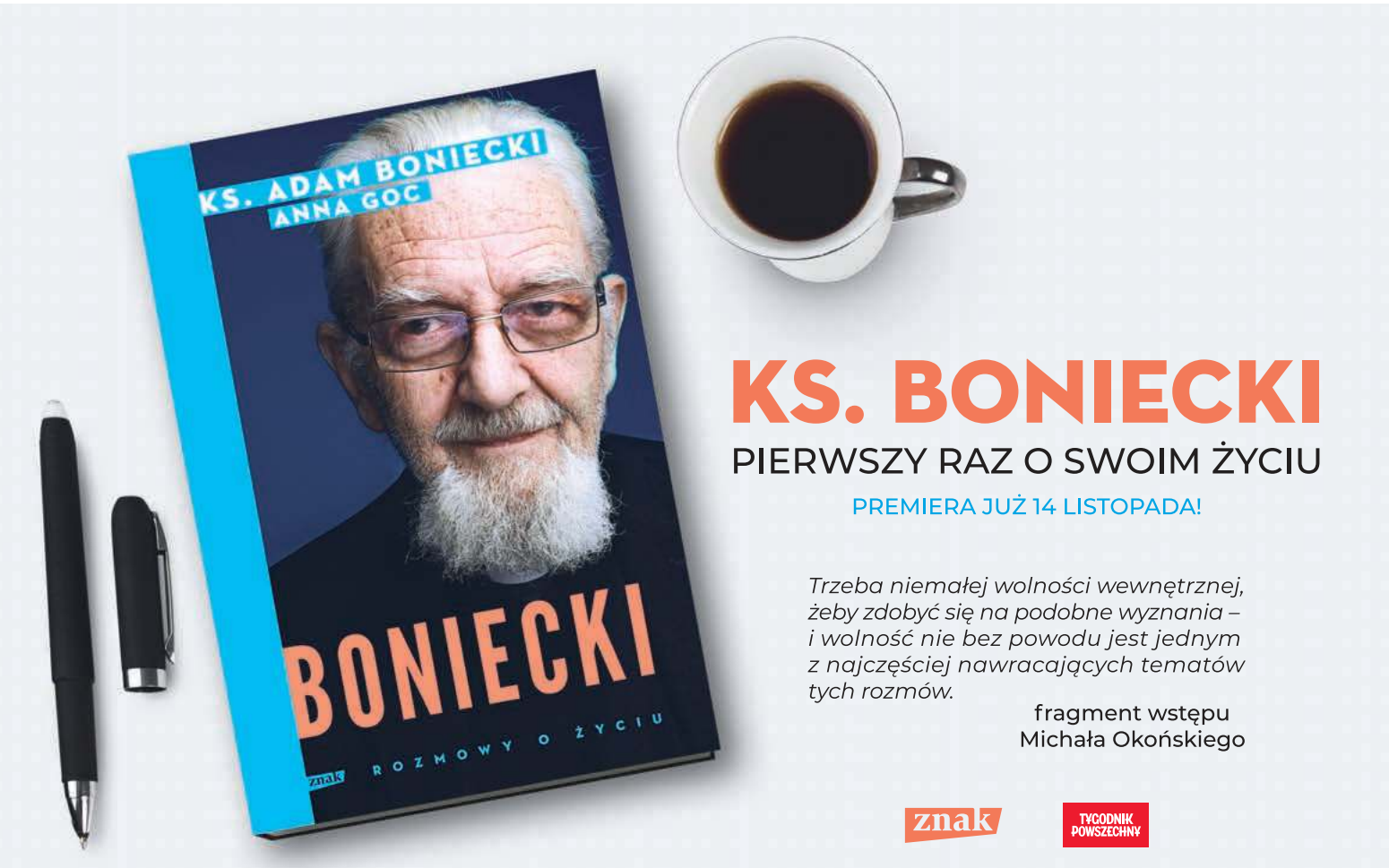

WIARA

WYCHOWANIE DO SZCZĘŚLIWEGO SEKSU

Katolik czyta „#sexedpl”,
czyli czego Anja Rubik i Kościół mogą się od siebie nauczyć.

ARTUR SPORNIAK

Na jednej ze stron rysunek składający się z dwóch obrazków. Ksiądz z podniesionym palcem wskazującym mówi: „Pamiętajcie, najskuteczniejsza metoda antykoncepcji to wstrzemięźliwość". Siedząca przed nim dziewczyna, odwracając się do chłopaka, komentuje: „Jasne, a najzdrowsza dieta to w ogóle nie jeść". To jedyna aluzja do nauczania kościelnego w tej książce. Trzeba przyznać: delikatna i w zasadzie sympatyczna. Anja Rubik – *spiritus movens* projektu – nie dąży do konfrontacji z Kościołem, niewątpliwie chodzi jej o dobro nastolatków. To dążenie może być płaszczyzną do spotkania i wymiany argumentów.

Okazję do pierwszego komentarza stwarza już sam rysunek, bo teza, że wstrzemięźliwość jest najskuteczniejszą metodą antykoncepcji (oraz ochrony przed chorobami przenoszonymi drogą płciową), jest prawdziwa niezależnie od tego, kto ją wygłasza. Natomiast owa nastolatka z rysunku myli się, porównując współżycie seksualne z jedzeniem – uprawianie seksu nie jest do życia niezbędne.

Niedobrze jednak, gdy na tej konstatacji poprzestaniemy. Do życia potrzebna jest seksualność, bo jest z nim nierozerwalnie związana. I słusznie Anja Rubik w wielu wywiadach – pytana, dlaczego zajęła się edukacją seksualną – powtarza, że każdy jej potrzebuje, bo seksualna jest każda osoba, w każdym czasie i w każdym miejscu na Ziemi. Jeśli swoją seksualność tabuizujemy, ignorujemy, odcinamy się od niej czy się jej lękamy, to prędzej czy później wpadamy w kłopoty. Tu pełna zgoda. I od razu powiedzmy, że podręcznik „#sexedpl" umiejętnie seksualność oswaja. Ale jeśli utożsamiamy seksualność z seksem, też narażamy się na kłopoty.

Podręcznik, którego nie było

W 2017 r. Rubik stworzyła kampanię edukacyjną pod nazwą #sexedpl. Składała się ona z 14-minutowych filmów, w których wystąpili celebryci. Monika Brodka mówiła o prawie do mówienia „nie"; Robert Biedroń opowiadał o reakcji swojej mamy na wiadomość, że jest gejem, i o tym, że szkoda, iż mamy nikt do takiej wiadomości wcześniej nie przygotował; Małgorzata Szumowska czytała fragment podręcznika wychowania do życia w rodzinie „Wędrując ku dorosłości" na temat walki z masturbacją, a potem przekonywała, że jednak masturbacja jest zachowaniem normalnym i seksualnie dojrzałym; z kolei Maciej Stuhr przekazał słowa dla córki o bezpiecznym seksie.

Jak przyznaje Rubik, odzew na kampanię przeszedł jej oczekiwania – filmiki oglądnęło 10 mln osób, a inspiratorka otrzymała mnóstwo listów. Zmotywowało ją to do kolejnego kroku – opracowania podręcznika, który poprowadzi młodzież przez najtrudniejsze momenty dorastania. „Pokaże, jak być bezpiecznymi, nauczy otwartości, da praktyczną wiedzę i siłę" – pisze Rubik w „Kilku słowach na początek".

Podręcznik „#sexedpl" to dwadzieścia rozmów ze specjalistami, wśród których jest seksuolog, filozof, pedagożka, ginekolożka, urolog, terapeutka rodzin, edukatorka seksualna. Rozmowy dotyczą wiedzy na temat dojrzewania, rozpoznawania swojej seksualności, zaprzyjaźniania się z nią (rozdziały „Pokochaj swoją cipkę", „Pokochaj swego penisa"). Opisują, jak przygotować się do pierwszego razu i czego się można wówczas spodziewać. Kładą nacisk na bezpieczeństwo i świadomą zgodę. Zawierają informację o metodach antykoncepcyjnych i chorobach przenoszonych drogą płciową, mówią, gdzie szukać dalszych informacji. Specjalny rozdział poświęcony jest rozmowie z rodzicami („Pokaż ten rozdział rodzicom").

Ostatecznie chodzi o pozytywny przekaz na temat seksualności. Wypowiedź jednej z ekspertek dobrze to streszcza: „Wzmacnianie asertywności, pewności siebie i zaufania do własnego ciała to najlepsze przygotowanie do wejścia w seksualność. Dodatkowo uczenie się stawiania granic daje możliwość brania za siebie odpowiedzialności".

Sukces wydawniczy

Książka jest kolorowa i dynamicznie łamana różnej wielkości czcionką – bywają strony z jednym pytaniem i z jedną odpowiedzią. Co jakiś czas pojawia się cytat z rozmowy. Przy lekturze nie można się nudzić. Mnóstwo zdjęć w „klimacie instagrama" – głównie przedstawiające nastolatki eksponujące swoje ciało – ma nie tylko uatrakcyjnić lekturę, ale też nieść przesłanie: polub siebie, szanuj różnorodność! Różnej postury dziewczyny i chłopcy, fotografowani w bieliźnie, promieniują pięknem, a ich uśmiech mówi: każde z nas jest inne! „Nasze ciało nie jest opakowaniem, tylko częścią nas samych. Dbajmy o nie, zamiast oceniać i krytykować" – to jeden z wyróżnionych graficznie cytatów.

W „Kropce nad i" Anja Rubik ujawniła kulisy redakcji. Pytania kierowane do różnych specjalistów autorka wymyślała razem z młodzieżą i z psycholożką Barbarą Baran. Pierwszymi surowymi recenzentami spisanych rozmów byli młodzi, którzy zaznaczali nudne czy niezrozumiałe fragmenty. Dzięki temu książka jest naprawdę zwarta, ciekawa i pełna konkretów. Rubik zdradza, że już wysłała tysiące egzemplarzy do szkół.

Dystrybutor – Grupa Wydawnicza Foksal – nie chce ujawnić informacji o sprzedaży, nietrudno jednak przewidzieć, że książka rozchodzi się błyskawicznie. ↦

ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

Promocja podręcznika „#sexedpl". Warszawa, 19 września 2018 r.

ADAM JANKOWSKI / REPORTER

ANJA RUBIK:

Absolutnie nic nie mam do wstrzemięźliwości! Jeśli ktoś chce ją zachować, uważam, że to jego, w dodatku bardzo romantyczna, decyzja.

Anja Rubik na promocji swojej książki „#sexedpl". Warszawa, 19 września 2018 r.

Ma niską cenę (20 zł) – jest przedsięwzięciem non profit. Wygląda wręcz na to, że wydawca – wydawnictwo W.A.B. – nie nadąża z zaopatrywaniem księgarń, np. na początku listopada, czyli 40 dni po premierze, notowana na 4. miejscu bestsellerów bonito.pl jest chwilowo niedostępna w sprzedaży tej największej księgarni internetowej.

Nastolatki w łóżku

Mimo tych niewątpliwych zalet trudno książki nie czytać jednak z niepokojem. Właśnie z powodu utożsamiania seksualności z seksem. Współżycie to najpełniejsza aktywizacja seksualności. Tworzy silną relację. Może doprowadzić do poczęcia. Dlatego najbardziej odpowiednim miejscem dla współżycia jest poważny, trwały związek. Wydaje się to oczywiste, zwłaszcza z perspektywy dziecka, które może się pojawić.

Tymczasem perspektywa trwałego związku i rodzicielstwa nie jest w „#sexedpl" obecna. Mamy za to: „Seks jest nieodłączną częścią naszego życia" (Aleksandra Józefowska). „Seks służy przyjemności, wyluzowaniu, nie może nas stresować (...) Seks staje się sposobem na poznawanie siebie, bliskość i obopólne sprawianie sobie przyjemności, a także umocnieniem zaufania i poczucia bezpieczeństwa" (Natalia Skoczylas). „Seks ma wielkie znaczenie dla naszego samopoczucia, naszej kondycji, zdrowia i psychiki" (Anja Rubik). Czyli seks jako zdrowie, prawo, wręcz fitness. Także dla nastolatków.

W publikacjach dotyczących adolescencji stosunki seksualne podejmowane przez nastolatków traktowane są jako zachowania ryzykowne. Z oczywistych powodów: wczesnych ciąż i ryzyka zarażenia się chorobami przenoszonymi drogą płciową. O tych niebezpieczeństwach w podręczniku jest mowa, ale mimo to dominuje przekaz: seks nastolatków jest dobry, piękny, rozwojowy – pod warunkiem, że mądrze do niego podejdą. Zatem odpowiednio przygotowany, nie jest zachowaniem ryzykownym (choć obiektywnie przecież takim pozostaje!).

W profilaktyce obecne są dwa podejścia: propagowanie wstrzemięźliwości (czyli odroczenia współżycia) i ograniczenie szkód (przez propagowanie „bezpiecznego seksu").

Zapytana przez dziennikarkę Wirtualnej Polski: „Co ci się nie podoba we wstrzemięźliwości?", Rubik odpowiedziała: „Absolutnie nic! Jeśli ktoś chce ją zachowywać, uważam, że to jego, w dodatku bardzo romantyczna, decyzja". Problem w tym – jak następnie zaznaczyła – że „tak nie dzieje się często".

Z badań wynika, że współżycie podejmuje co drugi nastolatek. Według raportu CBOS „Młodzież 2016" 54 proc. uczniów najstarszych klas szkół ponadgimnazjalnych przyznało, że ma już inicjację seksualną za sobą. Przeciętny wiek inicjacji w przypadku chłopców to 16 i pół roku, a w przypadku dziewcząt – 16 lat i 9 miesięcy.

Argumenty

Myślę, że troska o dobro nastolatków wymaga, by uprzedzać je o konsekwencjach pewnych decyzji. To nie musi być sprzeczne z pozytywnym przekazem na temat seksualności.

Po pierwsze, seks tworzy silną relację. Niemówienie młodzieży, co z tą relacją ma zrobić – świadczy o zawężonej wychowawczej perspektywie. Samo stwierdzenie, że „pierwsza miłość rzadko jest dozgonna", to za mało. W podtytule książki czytamy: „Rozmowy Anji Rubik o dojrzewaniu, miłości i seksie". Ten podtytuł jest na wyrost, bo nie ma prawie nic o miłości. Także nic o rodzinie i małżeństwie. Na pewno więc należałoby dopisać drugi tom do „#sexedpl".

Po drugie, młodzi mają prawo wiedzieć, że podjęcie współżycia w nieodpowiednim czasie i życiowej sytuacji może mieć wpływ na ich przyszłość. Mogą coś ważnego utracić. W szeroko zakrojonych badaniach przeprowadzonych w USA stwierdzono, że pary, które decydują się na współżycie przed ślubem, są o 50 proc. bardziej narażone na rozwód niż pary, które nie decydują się na współżycie. Ponadto małżeństwa, w których nie doszło do wcześniejszego wspólnego pożycia, są bardziej stabilne („Psychologia rodziny", PWN 2017).

Promujący seks nastolatków „#sexedpl" nie jest „wychowaniem do życia w rodzinie", ale czy nie jest tym samym wychowaniem do życia w związkach nieformalnych?

Zadanie rodziców

Podręcznik Anji Rubik wzywa rodziców do rozmów z dziećmi na temat ich seksualności. Warto to wezwanie wziąć sobie do serca. Tym bardziej że z wielu ba-

dań (np. CBOS czy IPZIN) wynika, iż dla współczesnego pokolenia nastolatków najważniejszymi autorytetami są właśnie rodzice. Jedno z badań pokazało, że nawet jeśli się mylili albo nie potrafili właściwie odpowiedzieć na pytanie, ich dzieci już samą gotowość rozmowy bardzo pozytywnie odbierały. Jak się okazuje, jasny komunikat: „nie chcę, by moje dziecko rozpoczynało współżycie", jest jednym z najsilniejszych i najbardziej skutecznych hamulców ryzykownych zachowań nastolatków.

Wyzwanie dla Kościoła

A czego Kościół może się nauczyć od projektu „#sexedpl"?

Mimo pozytywności „teologii ciała" Jana Pawła II nauczanie wciąż postrzega np. masturbację jako grzech śmiertelny i stawia ją obok prostytucji i gwałtu. Łatwo przewidzieć, jak młodzi – próbujący oswajać się z własną seksualnością – reagują na taki przekaz.

To nauczanie wynika m.in. z wąskości patrzenia. Odpowiedzią Kościoła na rewolucję seksualną lat 60. była próba uporządkowania całego bogactwa ludzkiej seksualności przy pomocy jednej normy (deklaracja „Persona humana" z 1975 r.). Głosi ona, że „bez względu na świadomy i dobrowolny motyw użycie narządów płciowych poza prawidłowym współżyciem małżeńskim w sposób istotny sprzeciwia się ich celowości". Ludzka aktywność seksualna moralnie została zredukowana do wytrysku męża w pochwie żony. Takie podejście nie tylko z niezrozumiałych powodów ogranicza samą małżeńską *ars amandi*, ale także nie bierze pod uwagę, że seksualność musi najpierw do stosunku waginalnego dojrzeć. Trudno rozwijać się zupełnie „nieaktywnie".

To nauczanie nie bierze też pod uwagę kontekstu zdrowotnego – np. niektóre choroby po prostu wymagają ćwiczenia seksualnej aktywności (np. problem z opóźnionym wytryskiem czy przeciwdziałanie funkcjonalnej atrofii narządów w późnym wieku). Historycznie ma zaś związek ze stanowiskiem papieży zdradzających ignorancję w tej dziedzinie, co widać zwłaszcza w encyklice Piusa XI „Casti connubii" czy w przemówieniach na temat małżeństwa Piusa XII. Obaj papieże wypowiadają się tak, jakby seksualność ludzka bez potrzeby specjalnego wychowania i wiedzy od razu była w sposób naturalny dojrzała do małżeńskiego współżycia.

Nowy nurt wychowania seksualnego (a książka „#sexedpl" właśnie się do niego odwołuje), kładący nacisk na pozytywne, uważne i ufne zaprzyjaźnianie się z własną seksualnością, oraz uświadamiający, jak ta ludzka sfera jest delikatna, wieloaspektowa i różnorodna, stanowi wyzwanie dla Kościoła. Można prognozować, że rozwijająca się wiedza i świadomość będą coraz bardziej oddalać się od usztywnionego w ostatnich dekadach nauczania. To nie jest dla katolików optymistyczny wniosek. Ale być może właśnie to rosnące napięcie zmobilizuje teologów i Magisterium do jakichś nowych działań na rzecz unowocześnienia nauczania.

©℗ ARTUR SPORNIAK

„Tygodnik Powszechny Historia"
„Dał nam siłę"
– na 40. rocznicę wyboru
Karola Wojtyły na papieża

- Po 33 dniach pontyfikatu umiera Jan Paweł I. Kardynałowie, ponownie zebrani na konklawe, wybierają na papieża metropolitę krakowskiego Karola Wojtyłę. Jak do tego doszło i jak zareagował świat?
- Akt pokuty za grzechy Kościoła, nowe otwarcie w dialogu z innymi religiami, wyczulenie na biedę, pielgrzymki, próba budowy nowego feminizmu: 27 lat tego pontyfikatu nieodwracalnie zmienia Kościół
- Już za życia mówiono o nim „Jan Paweł Wielki". Co ze spuścizny papieża przetrwało do dziś?

Wśród autorów:
ks. Adam Boniecki, abp Grzegorz Ryś, Marek Zając, Katarzyna Wiśniewska, Anna Turowiczowa, Agnieszka Sabor, Józefa Hennelowa, Józef Majewski, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk

„Tygodnik Powszechny Historia"
– do nabycia w dobrych punktach z prasą i salonach prasowych

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PRZEMEK KRZAKIEWICZ DLA „TP"

Szymon Hiżycki, Tyniec, 2015 r.

Wodzirej i pustelnicy

SZYMON HIŻYCKI OSB, OPAT TYNIECKI:

Nie zmagaj się z pokusą, tylko się skup na zadaniach do wykonania. Święty Benedykt naucza, że bezczynność jest wrogiem duszy.

MACIEJ MÜLLER: Jeden z Ojców Pustyni wygłosił taką przestrogę: „Jeżeli chcesz rozmyślnie przekroczyć prawo Boże, w diable znajdziesz towarzysza, biegnącego wraz z tobą do zguby". Jak to jest z pokusami: rodzą się w nas czy przychodzą z zewnątrz?

SZYMON HIŻYCKI OSB: Pokusy powstają w człowieku z powodu tego, co go spotkało bądź spotka; chodzi więc albo o pamięć, albo o wrażenia zmysłowe, albo o spekulacje dotyczące przyszłości. Starożytni powiedzieliby, że powstają poprzez wrażenia ze świata zewnętrznego. Ale pokusa jest ściśle związana z myślą. Ewagriusz z Pontu (IV w.), z którego pism pochodzi tradycja ośmiu złych myśli, stosował zamiennie słowa „demon" i „myśl" i czasem można odnieść wrażenie, że to dwie różne rzeczy, a czasem, że jedna. Ta dwuznaczność nie jest przypadkowa: on zapewne sam nie potrafił określić źródła zła. Późniejsze teksty ascetyczne precyzują, że zła myśl jest tym, co demon wprowadza przez zmysły, żeby doprowadzić człowieka do zguby.

Złe myśli to pokusy?

Nie. Zła myśl, po grecku *logismos*, to raczej namiętność, skłonność ku złemu. Jan Kasjan, pisząc w V w. na ten sam temat, sięgnął po łacińskie słowo *vitia*, czyli „wady". Pokusa to jednostkowe zdarzenie – np. przechodząc koło straganu, widzę piękne jabłko i odczuwam pokusę, by je zabrać. Zła myśl natomiast to tendencja do błędnej interpretacji rzeczywistości, która prowadzi do zła. Tendencja utrwalona przez częste czyny, a więc – zły nawyk. Jednak bez tego nawyku nie pojawi się pokusa jako taka.

To dlaczego katalogi ośmiu złych myśli i siedmiu grzechów głównych w dużej mierze się pokrywają?

Oba opisują ludzką skłonność do grzechu, ale przyglądają się jej z różnych stron. Listę siedmiu grzechów ułożył papież św. Grzegorz Wielki. On jednak też patrzył na nią raczej klasycznie, czyli jako na zbiór pewnych tendencji w człowieku, a nie konkretnych czynów – jak my dzisiaj.

Lista złych myśli usiłuje uchwycić jakiś mechanizm?

Ewagriusz szukał odpowiedzi na pytanie, dlaczego człowiek wciąż powraca do tych samych grzechów. Według niego wszystko zaczyna się od złej myśli łakomstwa. Przez nią wchodzi się na pierwszy krąg złych myśli, związanych ze zmysłami. Jeśli komuś uda się z niego wyrwać, zaczynają go gnębić dwie ostatnie, znacznie groźniejsze, związane z duchem.

Czyli upadek zaczyna się od tego, że nie będę się potrafił powstrzymać od wzięcia tego jabłka?

To trywializacja. Łakomstwo kojarzy nam się głównie z nieumiarkowaniem w jedzeniu i piciu. Klucz, który pomógłby zastosować naukę Ewagriusza współcześnie, można znaleźć w „Drodze na Górę Karmel". Św. Jan od Krzyża w pierwszej księdze pisze o łakomstwie duchowym, które oznacza stosunek nie tyle do jedzenia, co w ogóle do rzeczywistości. Święty zastanawiał się nad motywacją ćwiczeń pobożnych: dlaczego się modlę – dla swojej satysfakcji czy na chwałę Bożą? Chodzi o pytanie, w jaki sposób podchodzę do świata i do ludzi, czy mam wobec nich postawę konsumpcyjną, czy są dla mnie narzędziem do zaspokojenia potrzeb? Jeśli mam takie roszczeniowe myśli, oznacza to, że wziął się za mnie demon łakomstwa.

Czyli chciwość byłaby podniesieniem tych tendencji do potęgi?

Tak, a po drodze jest jeszcze nieczystość. Mimo że Ewagriusz stosuje tu słowo *porneia* i ma na myśli przede wszystkim sferę seksualną, tu też warto – w myśl późniejszych pism Ojców Kościoła – rozszerzyć spojrzenie. Jeśli więc łakomstwo to konsumpcyjny stosunek do życia, to nieczystość polega na przeniesieniu go na konkretne osoby. Ludzi zaczynamy traktować jako środek do osiągnięcia celu. Ten proces został znakomicie przedstawiony w „Wodzireju" ze Stuhrem.

Skoro zaspokajam swoje potrzeby, to skąd się bierze gniew?

Sumą nieczystości i łakomstwa jest chciwość: patrzymy na świat jak na talerz przysmaków. Ale w pewnym momencie zaczynamy sobie zdawać sprawę, że ludzie nie są tacy, jak byśmy chcieli, nie chcą nam służyć. I że nie da się nasycić wszystkich swoich żądz. Wtedy rodzi się gniew: tyle pracuję, a wciąż nie osiągam efektu, tyle z siebie daję, a ludzie mnie nie doceniają. Gniew przeradza się w smutek, frustrację, postawę typu „radźcie sobie sami". Syntezą tego jest acedia, słowo trudne do przetłumaczenia, które oznacza pokusę bycia gdzie indziej, rozpoczęcia wszystkiego od nowa. W człowieku rodzi się przekonanie, że kiedy był młody, to nie wiedział, co robi, natomiast na pewno odkryje swoją prawdziwą tożsamość, kiedy się rozwiedzie czy zrzuci sutannę. Wyjedzie – i wszystkie jego problemy się rozwiążą. Kiedy ulegnie acedii, zabiera się do niego na nowo demon łakomstwa – i zaczyna się kolejny krąg. Jeśli człowiekowi uda się z niego oswobodzić – czekają na niego jeszcze dwie złe myśli. Próżna chwała wiąże się z oczekiwaniem, że skoro przezwyciężył swoje słabości, to należy mu się szacunek. Pycha – z przekonaniem, że wszystko zawdzięcza wyłącznie sobie.

Jest rada na złe myśli?

Nauka Ewagriusza nie dotyczy wcale zła przede wszystkim. Jak na porządnego Greka przystało, interesowało go przede wszystkim budowanie cnoty. Rdzeniem jego nauki jest danie ludziom narzędzi do tego, aby wstąpili na drogę *askesis*, czyli ćwiczenia się, oddalania od siebie tego, co złe, i wybierania dobra. W ten sposób dochodzi się do zrozumienia świata stworzonego, a przez to – do kontemplacji Trójcy Świętej. Człowiekowi przeszkadzają na tej drodze złe myśli, zniekształcając widzenie rzeczywistości. Ewagriusz uważa, że człowiek żyjący w grzechu nie rozumie, na czym polega życie. Człowiek na drodze cnoty odkrywa natomiast, jak świat naprawdę wygląda. Innymi słowy: nie koncentruj się na złu i walce z nim, tylko ćwicz się w cnocie. Mężczyźnie zadającemu sobie pytanie, czy to jeszcze przyjaźń, czy już romans, Ewagriusz by odpowiedział: zatroszcz się o dobre relacje z żoną, o waszą miłość. Wówczas żadna przyjaźń z kobietą nie stanie się zagrożeniem dla twojego małżeństwa. Gdzie twój skarb, tam będzie i serce twoje.

Ale co zrobić, kiedy nas już złapie któraś ze złych myśli?

Zależy która. „Umysł błądzący pokrzepiają: czytanie duchowne, czuwanie i modlitwa – pisze Ewagriusz. – Rozpaloną pożądliwość [czyli pierwsze trzy myśli zła] gasi post, trudy, odsunięcie od świata. Wzburzoną popędliwość [czyli kolejne trzy] uspokaja śpiewanie psalmów, cierpliwość i miłosierdzie. Wszystko to musi mieć swój czas i miarę, to bowiem, co nie zna właściwego czasu ani miary, trwa krótko. A to, co krótkotrwałe, przynosi więcej szkody niż pożytku".

To dość ogólne zasady. Ale Ewagriusz jest też autorem metody antyretycznej, czyli precyzyjnego zwalczania konkretnych myśli specjalnie dobranymi cytatami z Biblii.

Byłbym ostrożny z autorstwem. Jeśli przyjmiemy, że ta metoda polega na sprzeciwianiu się konkretnemu złu przez używanie wybranych fragmentów Pisma Świętego, to spotykamy ją już w tekstach wcześniejszych, np. u Orygenesa czy u Atanazego Wielkiego, który opisywał, jak Antoni Wielki recytował psalmy, zmagając się z demonami. Ewagriusz natomiast, sięgając po listę ośmiu złych myśli, przyporządkował im rozmaite przykłady, a im – fragmenty Pisma Świętego.

Nie przetrwał jednak ani jeden egzemplarz tego podręcznika w języku greckim (mamy wersję syryjską, armeńską, fragmenty po arabsku czy w języku sogdyjskim). Prawdopodobnie wiąże się to z ostrożnością samego Ewagriusza co do tej metody i zalecaniu jej jedynie wypróbowanym. Z taką postawą spotykamy się także w środowiskach mnichów palestyńskich: np. Barsanufiusz i Jan z Gazy krytykują metodę antyretyczną, ponieważ sprawia, iż ludziom prowadzącym życie niechlujne pod względem moralnym wydaje się, że porecytują trochę Pismo Święte i problemy znikną, jak ręką odjął. Zastrzegają, że owszem, ojcowie ze Sketis (osady mnichów w północnym Egipcie) modlili się metodą antyretyczną, ale „ich życie było życiem aniołów". Jeśli ktoś prowadzi życie czyste, jest w nim duża dyscyplina wewnętrzna, ↦

Ewagriusz z Pontu i osiem złych myśli

Jeden z najsłynniejszych Ojców Pustyni, nazywany ojcem literatury duchowej, urodził się ok. 340–345 r. na terenie dzisiejszej północnej Turcji. Jego ojciec, żonaty ksiądz, wysłał go na nauki do Bazylego Wielkiego (jednego ze wschodnich Ojców Kościoła). Ewagriusz studiował u niego, a potem u Grzegorza z Nazjanzu, literaturę, filozofię i retorykę. Wyświęcony na diakona, został bliskim współpracownikiem i zarządcą skarbu u biskupa Konstantynopola. Prowadził światowe życie, wszedł w romans z żoną prefekta miasta.

W tym czasie miał sen: znalazł się w lochu przykuty do ściany, uratował go anioł, ale pod warunkiem, że opuści miasto. Ewagriusz przeniósł się do Jerozolimy i zamieszkał w klasztorze na Górze Oliwnej, założonym przez bogatą rzymską wdowę Melanię. Wrócił jednak do starego stylu życia – i wtedy spadła na niego śmiertelna choroba. Melania obiecała mu modlitwę o uzdrowienie, o ile przysięgnie, że odtąd zamieszka jako mnich na pustyni egipskiej.

Tak też się stało, Ewagriusz przeniósł się najpierw do osady mnichów w Nitrii, potem do Cel (północny Egipt). Tam poznał najznamienitszych Ojców Pustyni, m.in. Makarego Wielkiego. Na pustyni napisał dzieła duchowe. W ich świetle ludzkie życie dzieli się na dwa etapy: w pierwszym człowiek potrzebuje oczyścić się ze zła i ćwiczyć w cnotach (nie wystarczy nie grzeszyć, znacznie ważniejsze jest budowanie dobra). Drugi etap to życie modlitwy, prowadzące do zjednoczenia z Bogiem.

Do Ewagriusza przybywały masy pielgrzymów proszących go o radę. Być może dla ich potrzeb sporządził **listę ośmiu złych myśli** (albo: ośmiu duchów zła czy ośmiu demonów zła). Trudno ustalić, na ile opierał się na nauczaniu starszych Ojców Pustyni, ponieważ nie zostawili oni żadnych pism.

1. **ŁAKOMSTWO**
2. **NIECZYSTOŚĆ**
3. **CHCIWOŚĆ**
4. **SMUTEK**
5. **GNIEW**
6. **ACEDIA**
7. **PRÓŻNA CHWAŁA**
8. **PYCHA**

↦ wówczas posługiwanie się wezwaniami biblijnymi będzie ukoronowaniem jego życia duchowego. W przeciwnym przypadku Biblia mu nie pomoże.

Czy walka ze złą myślą może być skuteczna? Psycholodzy wskazują, że mózg tym mocniej podsuwa te właśnie obrazy, które chcemy wyprzeć.

Nawrócenie polega na wycofaniu się ze złych aktywności i wyborze dobrych, nie chodzi o walkę ze złymi obrazami na zasadzie: nie pozwolę im się do siebie zbliżyć. Raczej: nie będę wyrzucał złego obrazu siłą woli, tylko zastąpię go innym, dobrym.

Jeden z bohaterów „Rozmów z Ojcami", dzieła, w którym Jan Kasjan opisał mądrość mnichów egipskich dla czytelników europejskich, skarżył się, że jego umysł jest pełen złych obrazów, ciągle wracają do niego złe myśli i wspomnienia. Abba radzi wtedy: ucz się na pamięć Pisma Świętego, wówczas dobry obraz wyprze u ciebie zły. To nic więcej, jak stara prawda psychologiczna, że człowiek jest pełen tego, o czym myśli i na co patrzy. Czyli uwspółcześniając: zastanów się, jakie filmy oglądasz, co czytasz, co śledzisz w internecie, o czym rozmawiasz, dokąd wyjeżdżasz. Co decyduje o twoich wyborach moralnych, w jaki sposób kształtujesz swoje sumienie? Jeśli ktoś karmi się złymi treściami, nie będzie potrafił kochać ani przebaczyć, nie będzie zdolny do czynienia dobra.

Wyobraźmy sobie mnicha, którego nachodzi myśl, by opuścić klasztor. Tymczasem przełożony nakazuje mu przepisać księgę. To spory wysiłek – i pierwszy krok do porzucenia złej myśli. Kolejne to kilkakrotna lektura i nauczenie się fragmentów księgi na pamięć. To wszystko zajmuje czas, absorbuje siły i uwagę, pozwala wyjść z sytuacji bezpośredniego zagrożenia pokusą. Mnich nie zmaga się z nią, tylko skupia na zadaniu do wykonania. Dlatego św. Benedykt nauczał później, że „bezczynność jest wrogiem duszy".

Czyli nie chodzi o noszenie w kieszeni tabelki z biblijnymi odpowiedziami na konkretne pokusy?

Czemu nie, warto wypisać sobie ulubione fragmenty Biblii i się nimi modlić. Ale powierzenie się poprzez akt strzelisty Panu Bogu musi być poprzedzone wysiłkiem, rozeznaniem własnego sumienia, pracą wewnętrzną. Chodzi o przeorganizowanie swojego życia – oczywiście z ufnością w pomoc łaski Bożej. To wiąże się z wyrzeczeniem, ale pojmowanym w zdrowy sposób: jako unikanie okazji do grzechu.

Obecny biskup polowy Józef Guzdek prowadził 30 lat temu msze dla dzieci. Pewnego razu poradził: kiedy was kusi, żeby zrobić coś złego, wypowiedzcie słowa Jezusa: „zejdź mi z oczu, szatanie".

To bardzo antyretyczne...

Ale wyjęte z kontekstu.

Niekoniecznie. Spokojnie można sięgnąć po ten cytat w chwili pokusy, nawet biorąc poprawkę, że to błędny przekład. Tak czy inaczej jest to Słowo Boga, z którym zły duch sobie nie poradzi. Przed św. Antonim pewnego razu stanął diabeł, według Atanazego – olbrzymi, sięgający głową nieba. Antoni go wyśmiewał, mówiąc, że jest niczym, że jest słaby. I że może go przegnać imię Chrystusa. I kiedy diabeł usłyszał słowo „Chrystus", rozwiał się jak mgła pod wpływem wiatru. W apoftegmatach, czyli opowieściach o życiu i nauce Ojców Pustyni, często wraca motyw siły Słowa Bożego. Ktoś się skarży: czytam Pismo, ale nie rozumiem jego sensu. Abba mówi tymczasem: módl się. Ty nie rozumiesz, ale demony uciekają.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

SZYMON HIŻYCKI OSB *(ur. 1980) jest benedyktynem, opatem klasztoru w Tyńcu pod Krakowem. Studiował teologię oraz filologię klasyczną, studiował również starożytny monastycyzm w kolegium św. Anzelma w Rzymie. Wydał m.in. „Pomiędzy grzechem a myślą. O ośmiu duchach zła Ewagriusza z Pontu", „Modlitwa Jezusowa. Bardzo krótkie wprowadzenie".*

Metoda antyretyczna

Jedna z metod radzenia sobie ze złymi myślami polegała na zwalczaniu ich za pomocą konkretnych cytatów z Pisma Świętego, głównie z Psalmów. Pomagały one w rozpoznaniu fałszywej sugestii i odrzuceniu jej, a szerzej: w przełamaniu złych schematów myślenia i działania. Ewagriusz zebrał kilkaset tego typu przykładów:

NA GORYCZ, która ogarnia z powodu niedostatku, odpowiada się aktem ufności: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego" (Ps 23, 1) .

PRZECIW MYŚLI UTRZYMUJĄCEJ, ŻE PRZYKAZANIE POSTU JEST CIĘŻKIE: „Miłość względem Boga polega na spełnianiu Jego przykazań, a przykazania Jego nie są ciężkie" (1 J 5, 3).

WOBEC ZACHŁANNOŚCI, która (...) każe gromadzić żywność ponad rzeczywistą potrzebę: „Byłem dzieckiem i jestem już starcem, a nie widziałem sprawiedliwego w opuszczeniu ani potomstwa jego, by o chleb żebrało" (Ps 37, 25).

DOZNAJĄC TROSKI O POKARM I UBRANIE, należy (...) wzbudzić ufność wobec Boga: „Zrzuć swą troskę na Pana, a On cię podtrzyma" (Ps 55, 23).

W OBLICZU NASILAJĄCYCH SIĘ NIECZYSTYCH WYOBRAŻEŃ: „Panie, jakże wielu jest tych, którzy mnie trapią" (Ps 3, 2), (...) albo proste zawołanie: „Odstąpcie ode mnie wszyscy, którzy zło czynicie" (Ps 6, 9).

WE WRAŻENIU PRZEWAGI NIECZYSTYCH MYŚLI NAD MOCĄ PRZYKAZAŃ BOŻYCH: „Jak proch na wietrze ich rozrzucę" (Ps 18, 43), albo: „Jeszcze chwila, a nie będzie przestępcy" (Ps 37, 10).

ZAGNIEŻDŻAJĄCEMU SIĘ PRAGNIENIU BOGACTW należy przeciwstawić słowa: „Nakłoń me serce do Twoich napomnień, a nie do zysku" (Ps 119, 36).

GNIEW PRZECIWKO BRACIOM, POŁĄCZONY Z FAŁSZYWYMI ICH PODEJRZENIAMI, wolno leczyć słowami: „Zaprzestań gniewu i porzuć zapalczywość" (Ps 37, 8).

GDY ACEDIA UNICESTWIA WSZELKĄ NADZIEJĘ, przydają się słowa: „Wierzę, iż będę oglądał dobra Pańskie w ziemi żyjących" (Ps 27, 13).

GDY KUSI MYŚL TĘSKNOTY ZA INNYM MIEJSCEM, z nadzieją że będzie tam lepsze życie: „Miej nadzieję w Panu i strzeż Jego drogi, a On cię wyniesie, abyś posiadł ziemię" (Ps 37, 34).

PRZECIWKO MYŚLI PYCHY, która odrzuca pomoc Bożą, natomiast zwycięstwo przypisuje własnym siłom, zwraca się Psalm: „Jeżeli Pan domu nie zbuduje, na próżno się trudzą ci, którzy go wznoszą" (Ps 127, 1).

Cyt. za: ks. L. Nieścior „Psalmy w metodzie antyretycznej Ewagriusza z Pontu".

CLAUDIO PERI / AFP / EAST NEWS

Msza na zamknięcie Synodu, Watykan, 28 października 2018 r.

Metoda na synod

EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU

Nie chodzi o dokumenty czy spektakularne zmiany. Papież chce, żeby Kościół przestał przemawiać, a zaczął słuchać.

Pokażcie mi jakąkolwiek światową organizację czy firmę, której liderzy biorą miesięczny urlop i poświęcają go na słuchanie młodzieży" – zachwalał dziennikarzom ideę synodu kard. Schönborn. Miał rację – żadna organizacja i firma nie pozwoliłaby sobie na takie marnotrawstwo czasu i energii, jeśli jedynym efektem miałby być dokument już w chwili ogłoszenia uznany przez jej szefa za nieistotny. Bogu dzięki, Franciszek ma inne kryteria.

Prywatne przeżycia

Stosując optykę austriackiego kardynała, musielibyśmy uznać Synod za wydarzenie nieefektywne, niewydajne i źle zorganizowane. Przyjęty pół roku wcześniej dokument roboczy („Instrumentum laboris"), który wyznaczał tematykę i program debat, powstał na podstawie ankiet nadesłanych przez młodych ludzi ze wszystkich niemal krajów. Zebrano informacje o tym, co ich najbardziej boli, z czym nie mogą sobie poradzić, o czym chcieliby w Kościele rozmawiać.

Jak łatwo przewidzieć, na liście pojawiły się wszystkie problemy świata: duchowe, cielesne, moralne, polityczne, gospodarcze... Biskupi mieli je „rozeznać" w pierwszym tygodniu obrad, w drugim „zinterpretować", w trzecim – zdecydować się na najbardziej skuteczne działania. I choć posiedzenia – czy to plenarne, czy w małych grupach – trwały od 9 do 19 (z przerwą na obiad), z trudem udało się zrealizować jedynie dwa pierwsze punkty.

Nie ma wątpliwości, że wysłuchanie – często ze ściśniętym sercem – dziesiątków relacji o tragicznych warunkach życia, strachu przed śmiercią, prześladowaniu, głodzie poszerzyło horyzonty myślowe ojców Synodu, pozwoliło spojrzeć z dystansem na własne sprawy i z większym zrozumieniem na potrzeby innych. Ale doprowadziło ich też do przekonania, że nie da się znaleźć wspólnego mianownika duszpasterskich działań w Europie, Afryce, Ameryce, Etiopii, Syrii czy Iraku. Prywatne przeżycia, choćby najgłębsze i najszczersze, są jednak – *pardon* – intersubiektywnie niesprawdzalne. I nawet jeśli 260 biskupów (z ponad 5 tys.) wróci do swych diecezji odmienionych, niewiele to zmieni w świecie i w Kościele.

Skróty zakazane

Wszyscy liczyli, że ostatni punkt programu zrealizują przyjęte przez Synod dokumenty: wytyczą nowe drogi duszpasterzom, pokażą, jak dotrzeć do młodych, odzyskać ich zaufanie, zatrzymać w Kościele, otoczyć opieką duchową, a jeśli trzeba – także materialną. Żeby podnieść wydajność obrad, postanowiono wydać dwa dokumenty. Poza końcowym, przyjmowanym większością głosów i publikowanym później przez papieża w formie adhortacji, także „list do młodych". Aby zwiększyć efektywność, do pracy nad nimi wybrano oddzielne komisje: dwunastoosobową dla „dokumentu końcowego" i czteroosobową do listu. Pozostali dostali w prezencie dwa dni wolnego.

Wyjątkowo ciężka praca czekała wybraną dwunastkę. Podstawą nowego dokumentu miało być wspomniane „Instrumentum laboris", ale w trakcie wcześniejszych dyskusji poddano je surowej krytyce. Padały zarzuty, że niewiele ma wspólnego z synodalnymi ustaleniami, jest zbyt liberalne, a nawet zmanipulowane. ↦

↦ Symbolem niezgody stał się skrót LGBT, który uznano za ideologiczny i niezgodny z nauką Kościoła. Już w pierwszym dniu obrad zaprotestował przeciwko niemu abp Charles Chaput z Filadelfii, a hierarchowie afrykańscy zapowiedzieli, że zagłosują przeciwko dokumentowi, jeśli znajdzie się w nim dyskutowany akronim. Komisja redakcyjna usunęła przedmiot sporu, dokonała także innych, znacznych skrótów tekstu roboczego, uwzględniając wnioski z obrad plenarnych i dyskusji w małych grupach.

Dokument był ważny nie tylko dlatego, że miał być jedynym „namacalnym" efektem prac. Wielu biskupów dobrze pamiętało burzliwe obrady na ostatnim synodzie w 2015 r., poświęconym rodzinie, kiedy to paragraf dotyczący ponownych małżeństw osób rozwiedzionych przeszedł jednym głosem, a cały dokument stał się podstawą adhortacji papieskiej „Amoris laetitia" – do dziś budzącej zastrzeżenia i dzielącej Kościół z powodu przypisu otwierającego *de facto* możliwość udzielania komunii osobom w związku niesakramentalnym.

Synod się nie tłumaczy

Katolicy o bardziej liberalnych poglądach także teraz mieli nadzieję, że synod będzie przełomowy. Spekulowano, że być może złagodzi stanowisko Kościoła w kwestiach etyki seksualnej albo zaakceptuje – w takiej czy innej formie – homoseksualne związki, nawet nie używając zakazanego słowa.

Biskupi o bardziej konserwatywnym spojrzeniu na świat postanowili tym razem dopilnować każdego szczegółu. Jeszcze w ostatnich dwóch dniach zgłoszono ponad 300 poprawek. Krążyły plotki, że komisja redakcyjna może wprowadzić do dokumentu treści, o których nie dyskutowano podczas zgromadzeń. Nieufność była tym większa, że dokumentu końcowego nie przetłumaczono na inne języki. Biskupi nieznający włoskiego mieli głosować nad tekstem, którego do końca nie rozumieli, albo zdać się na opinię innych. Coraz częściej pojawiały się głosy, że papież wcale nie musi ogłaszać przyjętego przez synod dokumentu, choć jeszcze dwa tygodnie wcześniej wszyscy byli pewni, że stanie się on niemal automatycznie apostolską adhortacją.

Głosowanie – punkt po punkcie – trwało długo. Miało zakończyć się w sobotnie popołudnie, przeciągnęło się do późnych godzin wieczornych. Obecnych było 249 biskupów, bez problemu uzyskano niezbędną większość dwóch trzecich głosów.

Tuż po ogłoszeniu wyników Franciszek dziękował za wykonaną pracę, ale jednocześnie minimalizował znaczenie dopiero co zakończonego aktu. Mówił: „Mamy wystarczająco dużo dokumentów. Nie wiem, czy kolejny da jakiś efekt. (...) To my jesteśmy jego adresatami, nie ludzie z zewnątrz. Duch Święty nam go dał, żeby pracował w naszych sercach".

Wygląda na to, że od początku chodziło mu o coś zupełnie innego.

Podejrzane słowo

Orędzie Synodu zawarte zostało w 167 akapitach, które dają zwięzły, dobrze zrobiony opis świata. Jest mowa o zagrożeniach i szansach płynących z internetu, relacjach międzypokoleniowych w rodzinie, cielesności i miłości, życiowych wyborach, emigracji, nadużyciach w Kościele, roli kobiet. Oczywiście uwagę komentatorów przyciągnęły te miejsca, które uzyskały największą liczbę głosów przeciwnych. Nie bez racji widzi się w nich próbę przeforsowania nowych, nie dla wszystkich akceptowalnych idei.

Można się było spodziewać, że kontrowersje wzbudzą paragrafy o seksualności, prawach kobiet, grzechach Kościoła, funkcjach społecznych definiowanych płcią czy o indywidualnym kształtowaniu sumienia.

Sporym zaskoczeniem był natomiast opór, z jakim przyjęto słowa o „synodalności". Okazuje się, że jest to drugie, po homoseksualizmie, najbardziej kontestowane słowo na Synodzie. Poświęcono mu cały rozdział, liczący sześć paragrafów. Akapit o „synodalnej formie Kościoła" otrzymał 51 głosów na „nie".

Wyjaśnienia, dlaczego tak się stało, są dwa. Po pierwsze – termin ten, charakterystyczny dla nauczania obecnego papieża (podobnie jak „rozeznanie", „peryferia" czy „Kościół w ruchu"), niemal nie występował w czasie dyskusji – czy to plenarnych, czy w grupach. Synod zajmował się młodzieżą, a nie samym sobą. Do treści dokumentu końcowego wprowadziła go redakcja, bez wątpienia zgodnie z oczekiwaniami papieża. Oddanie głosu *non placet* mogło być formą sprzeciwu wobec takich zabiegów.

Ale – po drugie – samo pojęcie synodalności w nauczaniu Franciszka zmieniło znaczenie. Tłumaczył to dziennikarzom kard. Schönborn, odróżniając „synodalność" od „kolegialności". Ta druga jest pojęciem węższym, odnoszącym się tylko do biskupów (kolegium). Wprowadził ją Paweł VI, zachęcony przez Sobór Watykański II, gdy zwołał pierwszy synod – stałą radę biskupów – obradującą co kilka lata na sesjach zwyczajnych lub – w niektórych sytuacjach – nadzwyczajnych i specjalnych. „Synodalność" jest natomiast spełnieniem Franciszkowego marzenia o współpracy wszystkich wiernych zaangażowanych w życie Kościoła: bez względu na święcenia czy pełnioną funkcję. Jest „konstytucją" Kościoła, znaną od czasów starożytnych, później na wieki zapomnianą. Teraz wraca – jako najważniejszy owoc zakończonego Synodu.

To nie parlament

„Wybaczcie, że tak często nie umieliśmy was słuchać. Że zamiast otworzyć serce, zapełnialiśmy wam uszy" – mówił papież do młodzieży w homilii kończącej Synod. Bo tak naprawdę nie chodziło mu o dokumenty ani spektakularne zmiany. Chciał, żeby w Kościele zaczęto słuchać, nie tylko przemawiać. Młodych ludzi, zaproszonych na Synod, zachęcał, by nie bali się głośno wyrażać swojego zdania, nawet robiąc raban na sali obrad. Chciał, by biskupi słyszeli ich głos, odczuwali ich obecność, spotykali się z nimi, pracując w małych grupach. By dowiedzieli się, co mają do powiedzenia.

Taką synodalność – jako metodę pracy – chciałby przenieść na wszystkie poziomy kościelnego życia: od Watykanu po najmniejszą parafię, a nawet rodzinę. Wzajemne słuchanie się, dialog między młodymi i starymi, kobietami i mężczyznami, ludźmi różnych ras, kultur i horyzontów myślowych. Pomiędzy tymi, co w mainstreamie, i tymi, którzy są na marginesie. Nie zawsze trzeba mieć gotowe rozwiązanie, nie zawsze trzeba przekonać innych do swojej racji. „Synod to nie parlament" – powiedział, kończąc obrady. Nie zawsze musi wygrywać większość.

Słuchanie, o które prosi Franciszek, potrzebuje czasu i uwagi. Wymaga zatrzymania się, porzucenia raz przyjętego planu, zaburzenia ustalonego porządku. Jest nieopłacalne, tak jak czterotygodniowe obrady Synodu. Papież mówi, że jest bezcenne. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

SZYMON

Hołownia:
Sto pytań o Polskę

Jedną z najbardziej pożytecznych rzeczy, jaką mogę zrobić z okazji setnej rocznicy odzyskania przez moją Ojczyznę niepodległości, jest zastanowić się przez chwilę, czym owa Ojczyzna jest. To tylko z pozoru pytanie, na które można odpowiedzieć z marszu: „To Polska". No dobrze: ale co to takiego jest – Polska? „Mój kraj". Świetnie, ale co to jest ów kraj? Państwo? Formalny byt, przedmiot umowy, z której wynika, że centymetr od tamtego brzegu Odry czy dwa metry za szczytem Rysów jest już realnie inny świat? A może to wspólnota języka, historii, może krwi, może interesów? Naprawdę warto z tej okrągłej okazji odpytać w tej kwestii znajomych i samych siebie, nie zatrzymując się tym razem na pozorze oczywistości, na tych wszystkich frazach pełnych wyuczonego w szkołach i kościołach patosu. Czym jest Polska, cośmy z niej zrobili? Zadanym kontekstem, losową przypadłością? Pompką do nadymania ego do rozmiarów kuriozum? Urzędem skarbowym z centrum usług wspólnych? Muzeum rodzinnej pamięci? Dzielonym z trudną rodziną domem? A może – może być przecież i tak – wyrokiem?

Czym więc dla mnie jest owe sto lat niepodległości? Społeczną umową? Moją prywatną pamięcią? Infrastrukturą (drogi, koleje i mosty)? Grobami wojów, husarzy, partyzantów? Popękaną i skłóconą na wszystkie strony wspólnotą Polaków?

Synu, powie mędrzec-patriota, gdy jej szukasz, zobacz, ile Polska ci dała. Super, ojcze, tyle że dali mi ludzie ze mną w Polskę związani, ale czy dała mi Polska jako taka? Przecież to nie osoba: pokiereszowana przez los, a mimo to nadal dumna pani. Ona „nie zginęła, kiedy my żyjemy", a więc jest raczej wspólną nutą, oddechem, który gra w tych kilkudziesięciu milionach ludzi, w siedmiu promilach ludzkości. Dostałem to wszystko, co dostałem (i dałem to, co dałem), dlatego że jestem Polakiem i że żyję z Polakami? Cóż, Niemcom dałbym też, podobnie Chińczykom, Syryjczykom, Francuzom. Odmówienie człowiekowi tego, co mu się po ludzku należy, dlatego że nie jest Polakiem, wystawiłoby wszystkiemu, co we mnie, z moją polskością włącznie, fatalne świadectwo. Byłoby antypolskie. Z kim mam więc tę relację? Dlaczego Polska jest dla mnie ważna?

Na to pytanie szczęśliwie zdążył odpowiedzieć za mnie Obywatel G.C. w słynnym refrenie piosenki „Nie pytaj o Polskę" (nie będę cytował, każdy go przecież zna). Miłości nie da się wytłumaczyć komuś, kto tego co my nie kocha. Widziałem setki zapierających dech miejsc, wspaniałych krajów, fascynujących historii, ludzi, ale mój genetyczny dom to do śmierci moje rodzinne podlaskie niebo, nisko wiszące nad naszą wschodnią granicą (słowo daję, gdy byłem dzieckiem, zawsze miałem wrażenie, że ono się zaraz urwie, że spadnie mi na głowę, że w miejscu, gdzie niebo tak fizycznie styka się z ziemią, albo trzeba zaraz wierzyć w Boga, albo jakiegoś boga sobie w te pędy wymyśleć). To moi przodkowie, migrujący po kresowych rubieżach, od Drohobycza do Wilna, a nawet Petersburga, rodzący się i umierający Polakami w wielonoradowym tyglu tej ziemi. To hołd oddawany wszystkim tym, którzy oddali życie po to, by mogli żyć ci, którzy przyjdą tu po nich. To duma z tego, że komuś, z kim mieszkam w jednym domu, udało się coś osiągnąć. To złość i mobilizacja, gdy widzę, że ktoś w moim domu jest krzywdzony. To strach o tych wszystkich, którzy Polski bronią nie przez oblepianie zderzaków, dyskusje na Facebooku czy ganianie po lasach z makietami karabinów, tylko codzienne ryzykowanie życia dla innych, bo polskie państwo najęło ich do takiej pracy: żołnierzy, strażaków, ratowników. Wreszcie – to lęk o to, gdzie zaprowadzą nasz wspólny dom ludzie, którzy sprywatyzowali dla swoich krótkookresowych politycznych celów wszystkie nasze rodzinne kosztowności: pojęcia właśnie takie jak „ojczyzna", „naród", „patriotyzm", „suwerenność".

Polska, choć składowych ma wiele, zawsze ma więc dla mnie twarz człowieka. Czy gdyby było inaczej, można by w ogóle zadawać sobie pytanie o to, czy za swoją Ojczyznę jest się w stanie umrzeć? Zostawić własne dziecko dla idei, dla bycia dwoma zdaniami w podręczniku historii? Ale gdyby chodziło o to, by dziecko, moje czy kogoś innego, mogło kiedyś żyć? Chrystus nie umarł przecież dla idei, z powodów światopoglądowych, za dzieło. Umarł, żeby jego bracia i siostry mogli żyć. Umarł za moje niebo, ja muszę więc pytać siebie, czy umiałbym umrzeć kiedyś za Polskę mojego brata.

Parę razy w tygodniu, idąc do kościoła, na warszawskim placu Teatralnym czytam wykute na tablicy słowa kardynała Wyszyńskiego: „Sztuką jest umierać dla ojczyzny, ale największą sztuką jest dobrze żyć dla niej". Inna więc rzecz w tym, że wielu z nas, sposobiąc się do męczeństwa, mogącego nigdy nie nadejść, traci szansę urzeczywistnienia realnego, nie wydumanego, powołania do patriotyzmu codzienności. Ja zaś, jako chrześcijanin, mam ten „kłopot", że noszę w kieszeni dwa paszporty, z czego jeden tymczasowy. Wyraźnie mówi o tym dokument polskiego Episkopatu „Chrześcijański kształt patriotyzmu": „Dla chrześcijanina służba ziemskiej ojczyźnie, podobnie jak miłość własnej rodziny, pozostaje zawsze etapem na drodze do ojczyzny niebieskiej, która dzięki nieskończonej miłości Boga obejmuje wszystkie ludy i narody na ziemi". To chyba Piotr Wojciechowski, zapytany kiedyś o wzorcową definicję parafii, odpowiedział, że to „fragment terytorium Rzeczypospolitej Polskiej przemieniony światłem Ewangelii". Jak inaczej miałbym więc przysłużyć się moim dwóm Ojczyznom, jak inaczej być patriotą i jednej, i drugiej, niż próbując sprawić, by Rzeczpospolita Polska stała się fragmentem ziemi przemienionym światłem Ewangelii?

Buńczuczne deklaracje, prężenie muskułów, obwieszanie się emblematami, śpiewy, narodowe msze i wzniosłe akademie jutro miną, a my pojutrze znów zostaniemy z pytaniem, które dzięki naszemu (również mojemu) codziennemu w tym obszarze wysiłkowi nie traci na aktualności: jeżeli Ewangelia miałaby wyglądać tak, jak wygląda dziś życie w naszej Polsce, jeżeli wspólnota, miłość, miłosierdzie, ofiara miałyby być definiowane na podstawie tego, jak dziś Polacy postanowili żyć ze sobą – to jak bardzo trzeba by było upaść na głowę, by ją przyjąć? Ewangelia to dobra wiadomość skierowana do wszystkich bez wyjątku ludzi. Dla ilu z nas, tu, w kraju, dla ilu tych miliardów na świecie, od stu lat niepodległa Polska jest dziś dobrą, kojącą ból, dającą światło drodze, nadzieję sercu, wiadomością? ©

ZAGADKA GURLITTA

Historia kolekcji, której ujawnienie uznano kiedyś za sensację XXI wieku, pokazuje, jak trudno jest zrekonstruować dziś prawa własności do dzieł sztuki zrabowanych w czasach III Rzeszy.

PIOTR KOSIEWSKI Z BERLINA

Sześć lat minęło od chwili, gdy niemiecka prokuratura zajęła blisko 1300 dzieł sztuki z monachijskiego mieszkania Corneliusa Gurlitta, syna znanego kolekcjonera Hildebranda Gurlitta, bardzo aktywnego na tym polu w czasach III Rzeszy i II wojny światowej.

Informację o odkryciu tej kolekcji uznano wówczas za jedną z największych sensacji XXI stulecia. Pisały o niej największe światowe media. Rozpisywano się o wielkim skarbie, który został zrabowany przez nazistów i teraz odkryty w monachijskiej dzielnicy Schwabing.

Rzeczywistość okazała się znacznie bardziej skomplikowana. Dobrze to pokazuje wystawa „Handlarz sztuką w czasach nazizmu", którą można właśnie oglądać w berlińskim Gropius Bau („Bestandsaufnahme Gurlitt. Ein Kunsthändler im Nationalsozialismus"; wystawa potrwa do 7 stycznia 2019 r.).

Dzieła te zostały zrabowane przez nazistów – okrzyknęły wtedy media. Tymczasem śledczy dość szybko ustalili, że cały zbiór można podzielić na trzy części. Pierwsza to, jak wtedy zliczono, 310 prac, co do których prawo własności Gurlitta nie budziło wątpliwości. Do drugiej – 380 sztuk – zaliczono dzieła uznane przez nazistów za *Entartete Kunst* (tzw. sztuka wynaturzona; w ten sposób władze III Rzeszy określały prace m.in. autorów żydowskich lub niemieckich z nurtów uznanych za „zdegenerowane"), które zostały usunięte przez nich z kolekcji publicznych. Trzecia część – to ok. 590 dzieł, które mogły być zrabowane żydowskim właścicielom (to liczby szacunkowe; dzisiaj już w poszczególnych grupach dzieł podawane są inne liczby).

Dzieła z pierwszej części zdecydowano się zwrócić Corneliusowi Gurlittowi. W przypadku prac usuniętych przez nazistów jako „sztuka zdegenerowana" także niewiele można było zrobić, bo już po wojnie zachodnioniemieckie władze uznały ówczesne decyzje za zgodne z prawem. Sprawa Gurlitta nie doprowadziła – mimo postulatów pojawiających się zwłaszcza w mediach – do zmiany tego prawa.

Kluczowa stała się trzecia część dzieł.

Sporna kolekcja

Cornelius Gurlitt do końca nie zgadzał się na zwrot dzieł spadkobiercom dawnych właścicieli. Co więcej, miał za sobą obowiązujące prawo, z wpisaną w nie instytucją przedawnienia.

Tymczasem w listopadzie 2013 r. zaczyna pracę specjalny zespół, nazwany Die Taskforce Schwabinger Kunstfund (w wolnym przekładzie: grupa robocza ds. wyjaśnienia odkrycia w Schwabing). Ma on zbadać pochodzenie zarekwirowanych dzieł.

Na początku 2014 r. prawnicy Gurlitta ujawniają, że kolejne dzieła są przechowywane w jego domu w austriackim Salzburgu. 7 kwietnia tego roku zostaje zawarte porozumienie między Corneliusem Gurlittem i władzami landu Bawarii oraz Republiki Federalnej Niemiec. Kolekcjoner zgadza się w nim, że kolekcja powinna być przebadana, a dzieła, które okażą się zrabowanymi podczas Zagłady, zgodnie z przyjętymi w 1998 r. tzw. zasadami waszyngtoń-

THOMAS SCHUBERT / ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

Od 2015 r. berliński teatr Renaissance Theater wystawia sztukę pt. „Entartete Kunst" o postaci Corneliusa Gurlitta. Na zdjęciu scena z przedstawienia.

skimi zostaną zwrócone prawowitym właścicielom lub ich spadkobiercom.

Tym samym, paradoksalnie, Gurlitt znalazł się wśród niewielu prywatnych właścicieli, którzy wyrazili zgodę na przegląd swojej kolekcji, bo zasady waszyngtońskie dotyczą tylko zbiorów publicznych.

Niedługo po zawarciu tego porozumienia, w maju 2014 r. Cornelius Gurlitt umiera. Miał 81 lat. Jedynym spadkobiercą uczynił Kunstmuseum w szwajcarskim Bernie, które po kilku miesiącach ogłasza, że przyjmie ten dar. Nie była to łatwa decyzja. Ronald Lauder, prezes Światowego Kongresu Żydów, ogłosił nawet, że „muzea, które ukrywają skradzione dzieła sztuki, powinny być ścigane".

1 stycznia 2015 r. władze Niemiec powołały instytucję pod nazwą Deutsches Zentrum Kulturgutverluste (Niemieckie Centrum ds. Zaginionych Dóbr Kultury). W maju tego samego roku obraz „Jeźdźcy na plaży" Maksa Liebermanna zostaje zwrócony spadkobiercom wrocławskiego kolekcjonera Davida Friedmanna, a „Siedząca kobieta" Henri Matisse'a potomkom wybitnego paryskiego marszanda Paula Rosenberga.

Moment przełomowy

W styczniu 2016 r. wspomniana Taskforce Schwabinger Kunstfund przedstawia końcowy raport. Dalsze badania nad kolekcją prowadzi już Centrum ds. Zaginionych Dóbr Kultury. W kolejnym roku do spadkobierców wracają kolejne dzieła. Potomkom Elsy Helene Cohen zostaje przekazany rysunek Adolpha von Menzla. Do spadkobierców prawowitych właścicieli wraca także „Sekwana z widokiem na Luwr" Camille'a Pissarra.

Co istotne, w 2017 r. dobrowolnie przekazano do przebadania prace, które ↦

↦ odziedziczyła po rodzicach siostra Corneliusa – Benita (zmarła w 2012 r.). Jest ich tylko 18, ale jeżeli zostanie udowodnione, że są częścią mienia zagrabionego, to także zostaną przekazane ich prawowitym właścicielom.

Dotychczas prawowitym właścicielom udało się więc zwrócić zaledwie kilka prac z kolekcji Corneliusa Gurlitta. Jednocześnie w wielu innych przypadkach okazało się, że nie można podważyć prawa Gurlitta do odziedziczonych przez niego dzieł.

Jednak tzw. sprawa Gurlitta ma przełomowe znaczenie – zwróciła uwagę opinii publicznej na temat masowego rabunku dzieł sztuki przez nazistów. To dzięki niej zintensyfikowano tzw. badania proweniencyjne (tj. dotyczące pochodzenia prac).

Była to, a może powinna być, nauka pokory, także dla mediów. Jak podkreślają Rein Wolfs i Agnieszka Lulińska, kuratorzy wystawy w Gropius Bau, „kiedy sprawa w końcu wybuchła w 2013 r., wielu pozbawionych skrupułów dziennikarzy zrobiło z odkrycia sensację i opisywało ją jako bezcenny skarb nazistowski".

Sam Cornelius Gurlitt w tym obrazie medialnym stał się czarnym charakterem. „Myślę, że osobą, którą powinniśmy osądzić, jest jego ojciec Hildebrand, który był postacią co najmniej dwuznaczną moralnie" – podkreśla Nina Zimmer, dyrektor Zentrum Paul Klee i Kunstmuseum w Bernie.

Jednak, z drugiej strony, Cornelius Gurlitt musiał być świadomy roli, jaką odegrał jego ojciec w czasach III Rzeszy. Potwierdzeniem może być fragment listu, który otrzymał od swej siostry Benity w 1964 r. Pisała ona: „Czy od czasu do czasu czerpiecie przyjemność z tego, co macie? (...) Czasami wydaje mi się, że jego najbardziej osobista i wartościowa spuścizna stała się dla nas najciemniejszym ciężarem".

Kolekcjoner i jego czasy

Wystawa w Gropius Bau jest efektem badań nad zbiorami właśnie Hildebranda Gurlitta (zmarłego jeszcze w 1956 r., w wieku 61 lat). Zebrano na niej około 200 dzieł, które trafiły do jego rąk: od prac Albrechta Dürera, François Bouchera, Adolpha von Menzla, Claude'a Moneta i Auguste'a Rodina po Edvarda Muncha, Ernsta Ludwiga Kirchnera, Pabla Picassa i Georga Grosza.

> Dopiero odkrycie zbiorów Corneliusa Gurlitta wywołało w Niemczech tak poważne dyskusje na temat **dóbr kultury należących do ofiar Holokaustu** oraz „sztuki zdegenerowanej".

Poprzez te obiekty opowiedziano o dziejach sztuki nowoczesnej w Niemczech pierwszych dekad XX w., polityce kulturalnej III Rzeszy, kampanii przeciwko „sztuce zdegenerowanej" i prowadzonym przez nazistów rabunku dóbr kultury w Europie. Reinowi Wolfsowi i Agnieszce Lulińskiej udało się pokazać skomplikowanie tamtych czasów. Jest też opowieść o samym Hildebrandzie Gurlitcie, o którym dziś wiemy znacznie więcej. Jego przypadek to niemalże niemieckie losy w pigułce.

W latach 20. był zafascynowany nową sztuką – wywodził się zresztą z rodziny o artystycznych tradycjach, jego dziadek Louis Gurlitt był malarzem, a ojciec Cornelius architektem i historykiem sztuki, siostra Cornelia zaś ciekawą, związaną z ekspresjonizmem graficzką (w młodości popełniła samobójstwo).

Od 1925 r. młody, bo ledwie 30-letni Hildebrand Gurlitt kieruje Koenig-Albert-Museum w Zwickau, gdzie organizuje wystawy ekspresjonistów. Jednak w 1930 r. traci pracę – władzę w mieście obejmują zwolennicy narodowego socjalizmu. Zostaje dyrektorem hamburskiego Kunstverein. Ponownie traci pracę po dojściu do władzy Hitlera. Postanawia zająć się handlem sztuką. Otwiera Kunstkabinett Dr. H. Gurlitt, w którym organizuje wystawy, m.in. ostatnią – przed jego wyjazdem z kraju – ekspresjonisty Maksa Beckmanna.

W 1935 r. Hildebrand swój majątek przepisuje na żonę. Na wszelki wypadek, gdyż staje się dla władz podejrzany, bo jego babcia była Żydówką. Z tego powodu od pracy na uczelniach zostają odsunięci jego ojciec i brat.

Zarobić na śmieciach

Ale oto, nagle, niedoszła ofiara stała się wspólnikiem.

Od 1937 r. Hildebrand Gurlitt zajmuje się – obok Bernharda A. Böhmera, Karla Buchholza i Ferdinanda Möllera – sprzedażą dzieł uznanych przez władze za „sztukę zdegenerowaną", usuwanych z niemieckich zbiorów publicznych (w sumie było to ponad 20 tys. dzieł sztuki). Minister propagandy Joseph Goebbels szczerze wyznał w swoim dzienniku: „Mieliśmy nadzieję zarobić pieniądze na tych śmieciach".

W ręce Hildebranda Gurlitta trafia 3879 obiektów – przede wszystkim grafik i rysunków – z których ok. 500 znalazło się potem w posiadaniu jego syna Corneliusa. Przez jego ręce przechodzą bardzo wybitne dzieła, jak „Los zwierząt" Franza Marca, powstały w 1913 r. – w 1939 r. obraz zostaje sprzedany do Kunstmuseum w szwajcarskiej Bazylei.

Hildebrand Gurlitt nie zawsze trzymał się narzuconych przez nazistów zasad i skonfiskowane obiekty sprzedawał także kolekcjonerom w Niemczech.

Zapewne nigdy nie poznamy powodów, dla których podjął współpracę z nazistami. Czy był to rodzaj zabezpieczenia dla niego i rodziny, czy decydowały względy ekonomiczne (w końcu było to wyjątkowo intratne zajęcie), czy wreszcie uważał, że w ten sposób chroni potępioną przez władzę sztukę przed zniszczeniem (niesprzedane prace zostały po prostu spalone)? W każdym razie po wojnie – co podkreślają twórcy wystawy w Gropius Bau – chociaż pomagał on muzeom w poszukiwaniu straconych przez nich dzieł, podobnej pomocy odmawiał osobom prywatnym.

Równie ważną rolę odegrał Gurlitt po wybuchu II wojny światowej. Wprawdzie nie był zaangażowany w niemiecką grabież prywatnych kolekcji w podbijanych krajach Europy, jednak bardzo aktywnie działał na francuskim, belgijskim i holenderskim rynku sztuki, który rozkwitł pod

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

niemiecką okupacją (wiele osób, w tym ofiary nazistów, musiało sprzedawać swoje kolekcje).

Co więcej, stał się ważnym dostawcą dzieł dla Führermuseum – Muzeum Führera, osobistej kolekcji Adolfa Hitlera – które planowano otworzyć w austriackim Linzu.

Szacuje się, że od maja 1941 r. do października 1944 r. Hildebrand Gurlitt zakupił dla niemieckich muzeów i dygnitarzy co najmniej 300 obrazów, rysunków, rzeźb i gobelinów, wycenionych na prawie 9,8 mln ówczesnych reichsmarek.

Wcielenie ostatnie

Ale to nie koniec tej historii. Po II wojnie światowej mamy bowiem jeszcze kolejne – ostatnie już – jego wcielenie: w 1948 r. Hildebrand Gurlitt zostaje dyrektorem Kunstverein w Düsseldorfie, jednej z najstarszych i najbardziej prestiżowych niemieckich instytucji kulturalnych.

W częściowo zrujnowanym budynku pokazuje wystawy najważniejszych artystów, m.in. Liebermanna, Chagalla, Beckmanna. Należy do tych osób, które po czasach nazizmu godzą (zachodnio)niemiecką publiczność z nowoczesną sztuką. Aż do swojej śmierci w 1956 r. organizuje ok. 70 wystaw, dobrze przyjętych przez publiczność i krytykę; również dzieła z jego własnej kolekcji są publicznie prezentowane.

Publicystka brytyjskiego dziennika „Guardian" Kate Connolly zauważyła, że przypadek Hildebranda Gurlitta to „okazja, aby przyjrzeć się, dlaczego świat sztuki do tej pory nie poddał się krytycznej samoocenie co do jego roli w czasach nazizmu". Ale – trzeba dodać – także do zastanowienia się nad meandrami polityki kulturalnej Niemiec po II wojnie światowej; o czym z lat 1933-45 pamiętano, a o czym długo milczano. I dlaczego dopiero odkrycie zbiorów Corneliusa Gurlitta wywołało w Niemczech tak poważne dyskusje na temat dóbr kultury należących do ofiar Holokaustu oraz „sztuki zdegenerowanej".

Ludzie i dzieła

Jednak – i to chyba najważniejsze osiągnięcie twórców berlińskiej wystawy – udało się przypomnieć o tych, którzy byli ofiarami nazistowskiej polityki. Poprzez konkretne dzieła, które trafiły do rąk Hildebranda Gurlitta, opowiedziano także o ich właścicielach.

Jednym z nich był Georges Mandel, jeden z najbardziej wpływowych polityków francuskich lat 30. XX w., minister spraw wewnętrznych, zwolennik kontynuowania walki z Niemcami w 1940 r. Więziony potem przez francuski rząd kolaboracyjny (tzw. rząd Vichy), trafił do niemieckich obozów koncentracyjnych, a zawartość jego paryskiego mieszkania, w tym dzieła sztuki, została skonfiskowana przez władze okupacyjne. W 1944 r. Mandel został zamordowany przez Milicję Francuską (kolaboracyjną formację paramilitarną). Wiele wskazuje, że jeden z obrazów należących do tego francuskiego polityka został odnaleziony właśnie w kolekcji Gurlitta.

Z Paryżem wiążą się też losy kolekcji rysunków należących do wybitnego, zmarłego w 1919 r. francuskiego przedsiębiorcy i promotora lotnictwa Henriego Deutsch de la Meurthe. Należąca do tej rodziny rezydencja na Place des États-Unis w Paryżu została zarekwirowana i służyła jako magazyn mebli zagrabionych z żydowskich domów w ramach tzw. M-Aktion („M" od słowa *Möbel*, meble). Córkę Henriego, Betty Deutsch de la Meurthe, zamordowano w Auschwitz. Wojnę przeżyła druga z sióstr, Georgette. Do dziś nie odnaleziono wielu dzieł należących do tej rodziny. Być może to ich własnością było kilka XVIII-wiecznych francuskich rysunków pokazanych teraz na berlińskiej wystawie, w tym subtelny autoportret odkrywanej dziś malarki Anne Vallayer-Coster.

Jednak wystawa opowiada głównie o losach niemieckich Żydów.

Jedną z kluczowych postaci dla niemieckiej awangardy był drezdeński adwokat Fritz Salo Glaser. Jego dom był miejscem spotkań pisarzy, artystów i krytyków. Bywał w nim także Hildebrand Gurlitt. Glaser był też kolekcjonerem, posiadał m.in. prace Maksa Beckmanna, Conrada Felixmüllera i Ottona Diksa (sportretował on całą rodzinę Glasera). Po 1933 r. pozbawiony prawa wykonywana zawodu, musiał sprzedać też część kolekcji. W 1945 r. udało mu się uniknąć deportacji do obozu koncentracyjnego Theresienstadt. Po wojnie wrócił do zawodu, w 1947 r. był obrońcą w procesie sędziów oskarżonych o współpracę z nazistami.

Bardziej tragiczny był los Henriego Hinrichsena, właściciela znanego lipskiego wydawnictwa muzycznego C.F. Peters Musikverlag, w którym ukazywały się utwory Gustava Mahlera, Hansa Pfitznera i Arnolda Schönberga. Jego przedsiębiorstwo w 1938 r. zostało „zaryzowane", a on sam musiał sprzedać swe zbiory sztuki. Hildebrand Gurlitt nabył dwa obrazy i dwa rysunki, w tym „Grę na fortepianie" Carla Spitzwega. Henri Hinrichsen i jego żona Martha uciekli do Brukseli. ↦

POŻEGNANIE

Zasmuceni wiadomością o śmierci naszej przyjaciółki

Marii Stauber

składamy rodzinie i bliskim Marysi szczere wyrazy współczucia.

Pamiętać będziemy osobę dobrą, twórczą, kochającą ludzi, roześmianą, zawsze gotową do pomocy, nieocenioną przyjaciółkę.

Była inspirującą artystką, projektantką i pisarką.

W swojej ostatniej książce „Musisz tam wrócić" upamiętniła los dwóch niezwykłych kobiet: poetki Zuzanny Ginczanki i swojej mamy Ludwiki Stauber.

Będziemy, Marysiu, o Tobie pamiętać.

Kasia Adamik, Agata Araszkiewicz, Sarmen Beglarian, Grzegorz Gauden i Krystyna Piotrowska, Jan Tomasz Gross, Irena Grudzińska-Gross, Agnieszka Holland, Elżbieta i Włodek Kofmanowie, Danka i Henryk Kowalscy, Krystyna, Ryszard i Natalia Kryniccy, Janusz Majewski, Adam Michnik, Krystyna Mierzejewska-Guillet, Piotr Nowicki, Masza Potocka, Robert Sołtyk, Beata Stasińska, Joanna Szczęsna, Agnieszka Traczewska, Krystyna Zachwatowicz-Wajda

↦ Ona zmarła w Belgii w 1941 r., on został aresztowany i trafił do Auschwitz, gdzie zaraz po przybyciu został zamordowany.

Modne słowo: proweniencja

Dziś znane są też wreszcie efekty badań nad kolekcją Gurlitta.

W raporcie zamieszczonym na stronie www.kulturgutverluste.de znalazło się 430 spornych dzieł. W tym momencie tylko jedno – poza już zwróconymi – uznano za prawdopodobnie skonfiskowane przez nazistów (to obraz z kolekcji Georges'a Mandela). W przypadku 25 dzieł, w tym bardzo cennych – jak „Widok góry św. Wiktorii" Paula Cézanne'a i „Statki na morzu podczas sztormu" Édouarda Maneta – nie udowodniono, że pochodzą z rabunku. W przypadku aż 404 dzieł ich pochodzenie nie jest całkowicie jasne (w okresie 1933-45 są luki w ich historii). Nie można zatem wykluczyć, że w posiadanie wielu z nich Hildebrand Gurlitt wszedł bezprawnie.

Wyniki badań mogą rozczarowywać. Mimo skomplikowanych kwerend, finansowanych wyłącznie z niemieckiego budżetu, kolekcja Corneliusa Gurlitta trafiła do Berna. „Dlaczego?" – pada pytanie w niemieckiej prasie. A stawiane są też inne pytania: czy zasadne było zajęcie kolekcji przez prokuraturę, i to z powodu wątpliwych podejrzeń o nadużycia finansowe (a domagano się też zaaresztowania jej właściciela)? I przede wszystkim: dlaczego wcześniej nie rozpoczęto tak poważnych badań nad dziełami, które mogły paść ofiarą nazistowskiego rabunku?

Warto tu zwrócić uwagę na słowo, które dziś staje się bardzo modne: proweniencja. Badania nad pochodzeniem dzieł, ich historią, stają się coraz ważniejsze. Pozornie prozaiczne szczegóły – jak zapiski, notatki, znaki własnościowe (zostały wymienione przy każdej z prac pokazanych na wystawie) – pozwalają czasami dokładnie odtworzyć losy dzieł od chwili opuszczenia pracowni artysty po dzień dzisiejszy.

Pozwalają zrekonstruować nie tylko historię przedmiotu, lecz także ludzi, którzy go posiadali. A to przecież pamięć o nich jest naszym – nie tylko niemieckim – obowiązkiem.

© PIOTR KOSIEWSKI

MICHAL KRUMPHANZL / CTK / PAP

Nowy burmistrz Pragi Zdeněk Hřib (z lewej), październik 2018 r.

Pirat w Pradze

PATRYCJA BUKALSKA

Stolica Czech będzie mieć nowego burmistrza: zostanie nim Zdeněk Hřib, polityk Partii Piratów. Dla tej wciąż cokolwiek egzotycznej formacji to przełom.

Zdeněk Hřib ma 37 lat i jest, jak sam mówi w spocie wyborczym, menadżerem i informatykiem. Jest też z wykształcenia lekarzem, choć, jak wytykają mu krytycy, nigdy nie praktykował. W polityce nie jest znaną postacią, bo w pierwszych szeregach czeskiej Partii Piratów znalazł się dopiero niedawno (z ugrupowaniem związany jest od 2013 r.). Nie jest też tak wyrazisty i przekonujący jak przywódca tej formacji Ivan Bartoš. A jednak to on jako pierwszy Pirat będzie sprawować realne rządy.

Po październikowych wyborach samorządowych w czeskiej stolicy do władzy doszły trzy ugrupowania – Piraci będą rządzić razem z niezależnym ruchem Praha Sobě oraz koalicją Połączone Siły dla Pragi (Spojené Síly pro Prahu; składa się ona z kilku ugrupowań centrowych). Wszystkie trzy osiągnęły podobny wynik, po ok. 17 proc. (choć Piraci minimalnie więcej niż pozostała dwójka), więc dyskusja nad tym, kto obsadzi urząd burmistrza, była zażarta i trwała długo. Tym bardziej że Jan Čižinský – lider ruchu Praha Sobě – ma już doświadczenie jako burmistrz siódmej stołecznej dzielnicy. Hřib takim epizodem w życiorysie nie może się pochwalić i to właśnie brak doświadczenia najczęściej mu zarzucano. Piraci jednak nie ustąpili – burmistrz musiał być ich.

Piracka brać

Piratów można określić jako ruch społeczny, który w niektórych krajach działa jako partia polityczna. Pierwsza partia piracka została zarejestrowana w Szwecji w 2006 r. Piraci są też w Finlandii, Niemczech, Austrii czy Islandii. W Czechach istnieją od 2009 r.

Zazwyczaj są to partie o profilu liberalnym, postulujące szeroki dostęp do informacji i internetu, wolność słowa, sprzeciw wobec cenzury itp. Nacisk na digitalizację i nowe technologie sprawia, że przyciągają raczej ludzi młodych. Do niedawna największe sukcesy odnosili na Islandii, gdzie od 2013 r. zasiadają w parlamencie. Potem ta sztuka udała się też czeskim Piratom: w wyborach parlamentarnych jesienią 2017 r. zdobyli prawie 11 proc. głosów i mają 22 mandaty w dwustuosobowej Izbie Poselskiej. Zasiadają w ławach opozycji, ale są trzecią (a według niektórych sondaży nawet drugą) siłą polityczną w państwie.

Od wyborów minął ponad rok, a ich popularność nie maleje. Trudno przy tym ich zaszufladkować w którejś z tradycyjnych kategorii, opartych na podziale lewica–prawica. Są partią proeuropejską, liberalną, są też zwolennikami demokracji bezpośredniej i cyfryzacji państwa. Chcą walczyć z korupcją w biznesie i polityce, a także z cenzurą.

– To ta sama fala piracka, co w innych krajach, ale program czeskich Piratów jednak nieco się różni. Jest tu liberalizm, apel wolnościowy, ale też trochę lewicowości – mówi „Tygodnikowi" Radomir Sztwiert-

nia, politolog z Uniwersytetu Palackiego w Ołomuńcu.

Pod niektórymi względami ich postulaty są radykalne. Chcieliby np., aby kandydaci na sędziów byli wyłaniani w konkursach publicznych, a później pracę sędziów co kilka lat oceniało gremium, które nazywają senatem dyscyplinarnym, złożone w większości z prawników, lecz niebędących sędziami, i mające możliwość ich odwoływania.

Trzeba przyznać, że Piraci niezbyt oglądają się na polityczną taktykę, partyjne targi czy nastroje społeczne, w parlamencie głosując zgodnie z własnymi poglądami. Opowiedzieli się np. przeciw uchwale krytykującej wszczęcie przez Parlament Europejski procedury z artykułu 7. przeciw rządowi Viktora Orbána (byli w tym osamotnieni). Byli też za możliwością przyjęcia syryjskich dzieci z obozów dla uchodźców i chcieli potępienia przez posłów kontrowersyjnych wypowiedzi premiera Andreja Babiša na ten temat [o sprawie syryjskich sierot pisaliśmy w „TP" nr 41/2018 – red.].

Stołeczny fenomen

Do wyborów samorządowych Piraci szli z planem zdobycia Pragi i poprawienia pozycji w większych miastach. W stolicy się udało (co prawda najwięcej głosów zebrała tu prawicowa ODS, ale koalicję rządzącą stworzyli Piraci); w innych miastach też wejdą do niektórych koalicji, np. w Brnie.

– Wybory samorządowe mają swoją specyfikę: bardziej chodzi w nich o wybór konkretnej osoby niż o program partii. Ostatecznie polityka samorządowa to załatwianie spraw ważnych dla obywateli, a wodociąg nie jest prawicowy ani lewicowy – mówi Radomir Sztwiertnia.

– Jednak praski wyborca jest inny niż ten spoza stolicy – dodaje politolog. – Piratom pomógł tu fakt, że zasiadają w parlamencie. To przekonało wyborcę, że jego głos nie zostanie zmarnowany. Piraci stanowią alternatywę zarówno wobec tradycyjnych partii, jak też wobec rządzącej partii ANO Babiša. A właśnie takiej alternatywy szukają młodzi wykształceni wyborcy z dużych miast.

Sztwiertnia zwraca też uwagę, że zmiana w Pradze była potrzebna, bo odchodząca burmistrz Adriana Krnáčová z partii ANO nie zostanie zapamiętana dobrze: – Była zapowiadana jako „miotła", która posprząta bałagan w stolicy, ale to się jej nie udało – mówi. Na marginesie: ANO w Pradze wypadła bardzo słabo, zajmując dopiero piąte miejsce, mimo wielkich pieniędzy włożonych w kampanię.

Pytanie, czy w starciu z problemami czeskiej stolicy nie polegnie teraz Hřib. On sam wydaje się pewny siebie i zapowiada budowę nowego mostu, linii tramwajowych, remont mieszkań komunalnych... Praga i bez tak wielkich planów to wyzwanie nawet dla wytrawanego polityka, a Hřibowi brakuje doświadczenia. – Może się okazać, że nowy nieznany człowiek świetnie sobie poradzi. Kto wie? Okazji do popełnienia błędów brakować jednak nie będzie – mówi Radomir Sztwiertnia.

Politycy i inni

Obsadzenie stanowiska burmistrza stolicy jest ważne również dla przyszłości całej pirackiej partii. Dotąd Piraci byli w opozycji i głosili, że władzy trzeba patrzeć na ręce. Teraz sami stają się władzą. Co prawda tylko w ratuszu, jednak to najważniejszy ratusz w kraju. Chodzi więc nie tylko o umiejętności zarządzania wielkim miastem, ale także o wiarygodność całej partii.

To również ciekawy test dla pirackiego ugrupowania w szerszym kontekście. Czechy nie są jedynym państwem, w którym powstają nowe formacje oparte na kontrze wobec pogrążonych w kryzysie tradycyjnych partii. Czasem to inicjatywy ekstremistów i populistów (jak obecna w czeskim parlamencie SPD Tomio Okamury), czasem marzycieli i nonkonformistów, jakimi wydają się Piraci. Często są to partie jednej kadencji. Piraci istnieją jednak już niemal 10 lat, systematycznie pną się w górę i cały czas się uczą. Co ważne, razem z nimi dorastają ich wyborcy, bo w grupie wiekowej 18–29 lat to oni są liderem.

Na razie jednak ważna jest Praga: jeśli Piraci sobie tu poradzą, ich pozycja się wzmocni. A jeśli Hřib poniesie porażkę, będzie to cios dla całej partii. Ryzyko jest spore, tym bardziej że choć rządzić w ratuszu będzie koalicja, to główna odpowiedzialność spada na Piratów. ©℗

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

PATRYCJA BUKALSKA będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 7 listopada o godz. 15.00.

O kobietach roku 1918 czytaj na stronie 71.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

DEBATY KLUBÓW TYGODNIKA POWSZECHNEGO

CYKL „WARTOŚCI CHRZEŚCIJAŃSKIE W SPOŁECZEŃSTWIE OBYWATELSKIM"

DEBATA
CZY NARÓD JEST DO ZBAWIENIA KONIECZNIE POTRZEBNY

Goście debaty:
prof. Tadeusz Gadacz
prof. Aleksander Bobko

Wtorek
13 listopada, godz. 19.00
Rzeszów
Antykwariat klasztoru
oo. Dominikanów
ul. Dominikańska 15

KLUB TYGODNIKA POWSZECHNEGO TP
KlubTygodnika.pl

TYGODNIK POWSZECHNY
Konrad Adenauer Stiftung
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Epitafium dla Otylii

TEKST I ZDJĘCIA WOJCIECH PIĘCIAK Z UKRAINY

Stare cmentarze są jak zwierciadło: odbija się w nich obraz świata, którego już nie ma. Tak jest również z cmentarzem chrześcijańskim w Drohobyczu.

Trudno ustalić, kto został tu pochowany jako pierwszy. W każdym razie jednym z najstarszych z około tysiąca zachowanych kamiennych nagrobków jest ten, pod którym spoczął Anton Till, „*KK Huttenmeister in Drohobycz*" – zmarły w 1808 r. ck hutman, czyli cesarski nadzorca żup solnych. Austriackie władze zaborcze szybko położyły rękę na surowcu, który od średniowiecza dawał bogactwo temu miastu. Bo w dawnej Rzeczypospolitej były dwa ośrodki produkcji soli: zagłębie wielicko-bocheńskie i właśnie Drohobycz (inaczej niż tam, tu sól pozyskiwano nie z kopalń, lecz z podziemnych jezior, przez odparowanie solanki).

Wiadomo, że powstał w 1790 r., gdy władze austriackie zakazały chowania zmarłych przy kościołach i cerkwiach w miastach. Jest więc o cztery lata młodszy od cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie i starszy o 13 lat od krakowskich Rakowic (i jest rówieśnikiem Powązek). Założono go na podmiejskich wtedy gruntach, kilometr na południe od rynku, przy drodze na pobliski Truskawiec (zanim jeszcze ta podgórska wioska stała się w XIX w. uzdrowiskiem); stąd obecna nazwa ulicy: Truskawiecka. Najstarszy zachowany cmentarz Drohobycza jest też jednym z najstarszych cmentarzy chrześcijańskich w Galicji Wschodniej. Oraz być może (bo to rzecz gustu) najpiękniejszych.

Czas zatrzymał się tu w połowie lat 70. XX w., gdy zakazano dalszych pochówków (wyjąwszy grobowce rodzinne). Wcześniej przyjmował wszystkich chrześcijan: Polaków, Ukraińców i Austriaków, katolików rzymskich i greckich (stąd mylne jest określenie „polski cmentarz", czasem spotykane). A także niechrześcijan: po 1944 r. na tym nobliwym przecież miejscu kazały chować się lokalne sowieckie elity (czasem, by zyskać miejsce, niszcząc stare nagrobki).

Zanim podczas II wojny światowej i w wyniku jej skutków zniknął tamten świat, osobne cmentarze mieli tu Żydzi, którzy w 1918 r. stanowili 44 proc. populacji w 26-tysięcznym Drohobyczu; Polaków była wtedy jedna trzecia, Ukraińców jedna czwarta. Dziś w 70-tysięcznym mieście Polaków jest jeszcze paruset, Żydów może około setki.

W tamtym świecie, którego już nie ma, było to jedno z najzamożniejszych miast Galicji (Wschodniej i Zachodniej). Wtedy już mniej dzięki soli, a przede wszystkim dzięki ropie naftowej: od II połowy XIX w. rejon Drohobycza i Borysławia stał się (obok Gorlic i Krosna) głównym w Austrii miejscem eksploatacji ropy: w 1909 r. wydobyto tu jej 2 mln ton. Podział był taki, że robotnicy zamieszkiwali pobliski Borysław, a mieszczaństwo i kadra techniczna rafinerii – Drohobycz.

Ślady tamtej zamożności widać dziś nie tylko w zabytkowym śródmieściu (gdzie

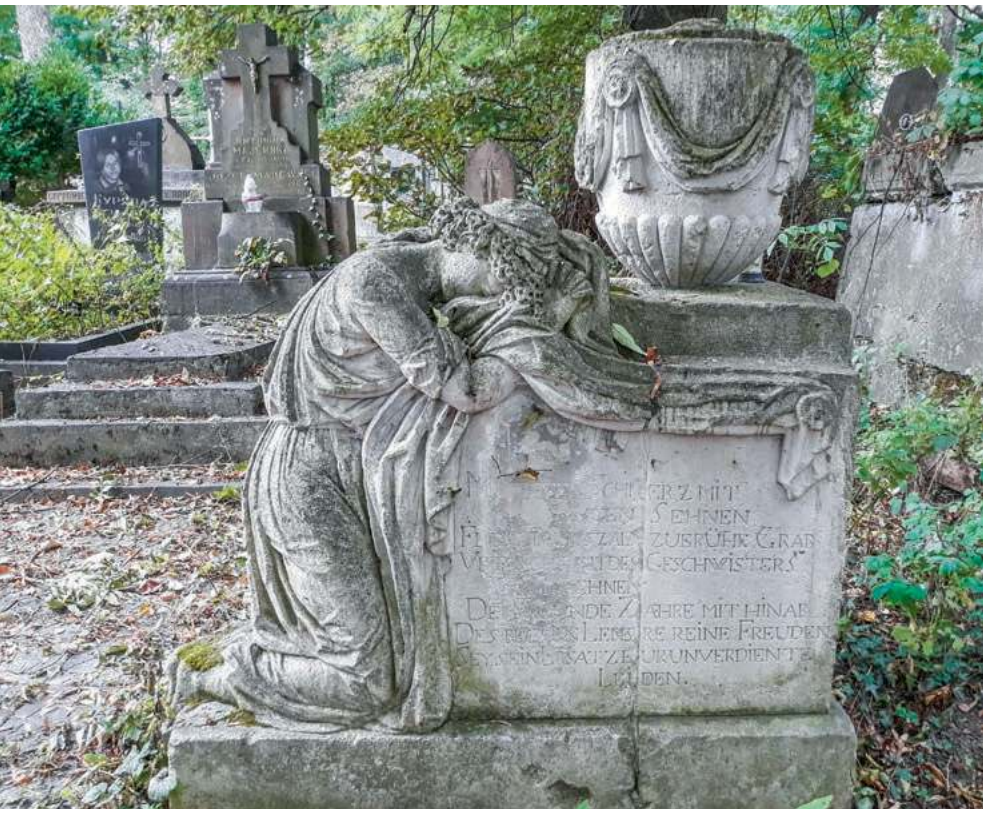

Poniżej: grobowiec, w którym w styczniu 2018 r. spoczęła Otylia Nowosiad. Z lewej: jeden z pierwszych, austriackich jeszcze nagrobków z początku XIX w. Poniżej, w środku: wiele grobów nosi ślady dewastacji, dokonanej podobno kilka lat temu przez grupę miejscowych satanistów. Poniżej, na samym dole: grób austriackiego nadzorcy żup solnych Antona Tilla z 1808 r. Drohobycz, koniec września 2018 r.

dominują wille i kamienice godne Lwowa czy Krakowa, a także stawiane z rozmachem liczne budynki użyteczności publicznej), lecz także na cmentarzu. Określenie „obywatel Drohobycza", widniejące na wielu grobowcach, było najwyraźniej powodem do dumy także po śmierci.

Rafinerie Polminu – w II RP jednego z ważniejszych koncernów państwa – pracowały pełną parą także po 1939 r., za okupacji sowieckiej i potem niemieckiej. Na tyle, że zachodni alianci uznali, iż Drohobycz wart jest nalotu: 25 czerwca 1944 r. Amerykanie zbombardowali zagłębie, zginęło 120 pracowników. Był wśród nich Polak Adam Nowosiad, 53-letni inżynier, który zostawił żonę Franciszkę i 17-letnią córkę Otylię (i spoczął przy Truskawieckiej).

Otylia była, wolno tak chyba sądzić, kobietą pewną siebie, silną i niepokorną. W Drohobyczu spędziła całe życie – wyjąwszy tych kilka lat, gdy trafiła do łagru na Syberii. Młodą dziewczynę sowiecki sąd skazał, bo była pyskata: w kolejce po chleb miała krytykować Stalina. Tak opowiadali ci, którzy zdążyli poznać Otylię, zanim starość i choroba zmąciły jej umysł. Odtąd wspomnienia wracały już tylko pod postacią strzępków, emocji – jak wówczas, gdy nagle zaczęła przywoływać sceny z łagru, chyba z walk między więźniarkami o przetrwanie.

Ale nawet wtedy, gdy choroba odebrała pamięć – zostawiając jednak umiejętność czytania (na koniec najchętniej bajek) – Otylia zachowała figlarny, łobuzerski uśmiech. Witała nim braci bonifratrów, gdy trzy razy dziennie zachodzili do jej domku na przedmieściu, gdzie od lat żyła samotnie (mama i mąż zmarli dawno, dzieci nie miała). Przychodzili codziennie. Rano, by zmienić pampersa, uczesać, podać leki i nakarmić. W południe, by podać obiad i poćwiczyć chodzenie po pokoju (póki ciało pozwalało). Wieczorem, by założyć pampersa, zmówić pacierz i utulić do snu. Dobrzy bracia (*boni fratres*) z tutejszego klasztorku i Stacji Pomocy Socjalnej w ostatnich latach byli jej rodziną.

Otylia zmarła w styczniu tego roku. Spoczęła przy Truskawieckiej, jako ostatnia pochowana tu jak dotąd osoba. Nie w grobowcu rodzinnym (to było technicznie niemożliwe). Ale całkiem blisko mamy, do której – jak w ostatnich latach często powtarzała – tak bardzo chciała wrócić wtedy, z Syberii. ©℗

Autor dziękuje Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej za wsparcie, które umożliwiło podróże na Ukrainę.

MURAT KULA / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Szczyt w Stambule, 27 października 2018 r.

Syryjski węzeł

INGA ROGG ZE STAMBUŁU

Ta wojna może zostać zakończona tylko drogą polityczną. Tymczasem zabiegi dyplomatyczne wokół Syrii są niemal tak skomplikowane jak sam konflikt.

Prób było wiele. Od lat w Genewie spotykają się pod egidą ONZ przedstawiciele reżimu Asada i opozycji oraz krajów Zachodu i Wschodu, które wspierają którąś z walczących od 2011 r. stron. Nie wyniknęło z tego nic. Trzy lata temu Rosjanie, Irańczycy i Turcy zainicjowali tzw. proces astański (rozmawiano w stolicy Kazachstanu, stąd nazwa), nie uwzględniając jednak Amerykanów i Europejczyków. Także on nie doprowadził do pokoju. Wręcz przeciwnie.

Syryjski władca Asad i jego sojusznicy w Moskwie i Teheranie złamali trzy z czterech uzgodnionych rozejmów i odbili obszary centralnej i południowej Syrii, które były pod kontrolą powstańców. Asad panuje dziś nad terenem obejmującym trzy czwarte państwa. Mając tak dogodną pozycję, nie widzi powodu, by choć o krok wychodzić naprzeciw swym wrogom.

Wymuszone uśmiechy

Teraz, w ostatni weekend października, w Stambule spotkali się przywódcy Turcji, Rosji, Francji i Niemiec. To pierwszy szczyt na temat Syrii w takim składzie. Wielkimi nieobecnymi byli Amerykanie i Irańczycy, nie zaproszono też reżimu i opozycji. Jeśli trzeba jeszcze dowodu, że „sprawa syryjska" to dziś domena zagranicznych sił, szczyt w Stambule był tego dowodem.

Choć także z nim nie wiązano nadziei. A fakt, że jego uczestników więcej różni niż łączy, widać było np. na wspólnym zdjęciu – po wymuszonych uśmiechach Merkel, Macrona, Putina i Erdoğana. Czwórka przywódców potwierdziła ponownie to, co wiadomo od dawna: że tej wojny nie da się rozstrzygnąć militarnie, i że może zostać zakończona jedynie przez rozwiązanie polityczne.

Krokiem w tym kierunku ma być komisja, która spotka się w Genewie, by opracować nową konstytucję, „torującą drogę do wolnych i uczciwych wyborów pod nadzorem ONZ" (jak czytamy w komunikacie). Politycy zgodzili się też, że konieczny jest trwały rozejm, zwłaszcza w prowincji Idlib (ostatnim większym obszarze pod kontrolą rebeliantów), i zaapelowali do walczących o zapewnienie dostępu do pomocy humanitarnej.

Wszystko to brzmi znajomo. Wielu obserwatorów uznało stambulski szczyt za kolejny sukces Putina, który chce marginalizować USA i wzmacniać pozycję Rosji. – Putin nie miał większych oczekiwań wobec tego spotkania, ale już sam fakt, że szczyt z udziałem Europejczyków się odbył, ma dla Rosjan duże znaczenie – ocenia Timur Achmetow z Russian International Affairs Council w Ankarze.

Kuszenie Europy

Już latem tego roku Putin przedstawił USA i Europie ofertę, by wspólnie przeprowadzić repatriację uchodźców z Turcji, Libanu i Europy. Usiłował też przekonać Europę, zwłaszcza Niemców, by sfinansowali odbudowę zniszczonych miast. – Rosja oferuje Europie rozwiązanie problemu uchodźców, który Niemcom i Francji sprawia najwięcej kłopotów – mówi Achmetow.

Ale Merkel i Macron pozostali nieugięci. Jak długo nie będzie wiarygodnego procesu politycznego, tak długo nie będzie „faktycznego i trwałego powrotu" uchodźców, mówił w Stambule Macron. Merkel podkreślała, że konieczne są gwarancje, iż wracający nie będą prześladowani; muszą być też stworzone przesłanki humanitarne.

Wygląda na to, że Europejczycy po raz pierwszy mają wspólną strategię: nie będzie pieniędzy ani innych ustępstw, jak długo Asad nie okaże się gotowy do koncesji. Kluczowym punktem jest tu Idlib. Wspólnie z Amerykanami Europejczycy ostrzegają Asada i Putina przed ofensywą na tę prowincję, wspierając tym Erdoğana, który naciska na negocjacje w sprawie Idlibu. We wrześniu on i Putin zgodzili się na utworzenie tam strefy buforowej, z której rebelianci usuną ciężką broń, i którą opuszczą „wszystkie radykalne grupy terrorystyczne" (chodzi głównie o Hayat Tahrir al-Sham). Umowę tę Turcy, mający w Idlibie „swoje" grupy zbrojne, zrealizowali częściowo. Putin nie robił z tego problemu, choć powtórzył groźbę, że Rosja zastrzega sobie prawo do wsparcia Asada, by „wyeliminować wylęgarnię terroru".

Ale taktyka Putina, który potrzebuje Europy i jej pieniędzy na odbudowę Syrii, może być skuteczna tylko wtedy, gdy uda mu się skłonić Asada do ustępstw. Macron nie owijał w bawełnę: reżim zawdzięcza Rosji swe przetrwanie, jest więc rzeczą Rosji, by wywrzeć presję na Asada. Ten jak dotąd nie zgadza się na reformy konstytucyjne, twierdząc, że to wewnętrzna sprawa Syrii.

Achmetow zwraca uwagę, że wszystkie strony są świadome, iż uchodźcy wrócą tylko wtedy, jeśli w Syrii na powrót zapanuje stabilność, a to oznacza polityczne reformy. ©

Autorka jest reporterką szwajcarskiego dziennika „NZZ", specjalizuje się w tematyce Bliskiego Wschodu.

WOJCIECH

Bonowicz: *Odurzeni*

Inni się dziwią, a ja nie. Jak ktoś wewnętrznie podległy, przepełniony lękiem, bojący się każdej samodzielnej myśli, która mogłaby zrodzić się w jego głowie, może przygotowywać obchody Święta Niepodległości? Wiadomo, że wyjdzie coś wręcz przeciwnego: wielka manifestacja podległości właśnie. Jak wielka? To zależy. Nikt, jak na razie, nie zaproponował gigantycznej historycznej rekonstrukcji, takiej na skalę ogólnopolską, co tam – ogólnoeuropejską. Jakby tak ładnie zrekonstruować wszystko, co się działo, powiedzmy, od bitwy gorlickiej po traktat ryski, to nie ma siły, świat musiałby to dzieło zauważyć! Miliony statystów, przepędzanie ludzi z jednego miejsca na drugie, setki tysięcy płonących chałup i kilometry bandaży zabarwionych na czerwono... Nikt nie zaproponował, ale ponieważ w sprawie świętowania wszystko robi się na ostatnią chwilę, niewykluczone, że znajdzie się ktoś, komu taki pomysł przyjdzie do głowy.

Żeby była jasność – podległość niejedno ma imię. Może się objawiać rozmaicie, także w formie farsowej, kiedy koniecznie trzeba zrobić coś do góry nogami, byleby nie „po bożemu". Człowieka, który pięć lat temu na Dzień Flagi podsunął prezydentowi Komorowskiemu pomysł z czekoladowym orłem, powinno się skazać na pławienie w basenie wypełnionym żelkami. Lub przynajmniej tortury tortem. To także podległość, tylko strojąca się w pióra dezynwoltury. Jak śpiewał zespół Świetliki: „Słoń zrobił kupę w cyrku". A skutki są opłakane, bo teraz ta kupa leży i zagradza drogę temu, co mogłoby być rzeczywiście niepodległe i wspólnototwórcze. Mogłoby – ale nie będzie. Zamiast tego zagraża nam powszechna niemożność.

Często odnoszę wrażenie, że w Polsce pewne pomysły publiczne (polityczne, ale nie tylko) rodzą się w ten sposób, że ktoś komuś mimochodem coś doradził. Załóż krawat, zdejmij krawat, podwiń rękawy, wbij łopatę, nie szkodzi, że jeszcze nie ma planów, kop ten kanał albo siądź przed półką z książkami, nikt nie zauważy, że nie twoje książki. „Dobrze by było, żebyś tam poszedł", szepnie ktoś prezydentowi i prezydent idzie. Idzie, mówi, nie przygotował się, ale mówi, bo przecież nie idzie, żeby milczeć. Do wystąpień już mało kto się przygotowuje, w cenie jest „autentyzm", czyli żeby „lecieć z głowy". A wiadomo, nie każda głowa taka sama, z pustego nawet Salomon nie naleje, lepiej byłoby wcześniej napełnić. Efekt jest taki, że zamiast przemówienia mamy wykrzyczenie. Za krzyk przynajmniej do sądu nie podadzą, a nawet jak podadzą, to sąd powie, że w emocjach był i nie należy tego, co wykrzyczał, traktować poważnie.

Czytałem niedawno z młodzieżą „Przedwiośnie", sławną scenę rozmowy ojca i syna w wagonie, gdzie powietrze było „tak zepsute i ciężkie, iż Seweryn był niby owa wieszczka grecka, której trójnóg znajdował się nad szczeliną wydzielającą gazy odurzające". W pełnej zmyśleń opowieści starego Baryki jest jeden moment często przegapiany. Młody mówi: „Łotra w człowieku trzeba siłą wydusić, a gdy się nie poddaje – zabić". „Nie zabijaj", odpowiada stary, „jedyne, co z zabijania wynika, to zbrodnia zabójstwa. Zabijanie jest zgoła niepotrzebne. Szkoda na to czasu i zdrowia duszy ludzkiej. Wystarcza najzupełniej budowanie życia nowego". Słowa te są kluczem do wszystkiego, co Cezary Baryka usłyszał od ojca wcześniej. Wizja szklanych domów – szalona, rozpaczliwa, a przecież jakoś w swej konkluzji prawdziwa – to przede wszystkim wizja społeczeństwa, które wzniosło się ponad nienawiść. Które odchodzi od etosu walki, żeby tworzyć nowy etos.

To mogłoby być treścią nadchodzącego święta. A czy będzie? ©

REKLAMA

NAJPEŁNIEJSZA BIOGRAFIA TADEUSZA KANTORA

HISTORYKA ŻYCIE TOWARZYSKIE I POLITYCZNE

PASJONUJĄCA ROZMOWA Z JEDNYM Z NAJŚWIETNIEJSZYCH POLSKICH HUMANISTÓW

JAK ZAPOMNIELIŚMY, ŻE POLACY ZABIJALI ŻYDÓW

„Tygodnik” + książka

UDANE POŁĄCZENIE!

Książka ks. Adama Bonieckiego „Połączenie odebrane”▪ W PREZENCIE – dla każdego, kto wykupi do 30 listopada 2018 DOWOLNĄ▪▪ prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”!

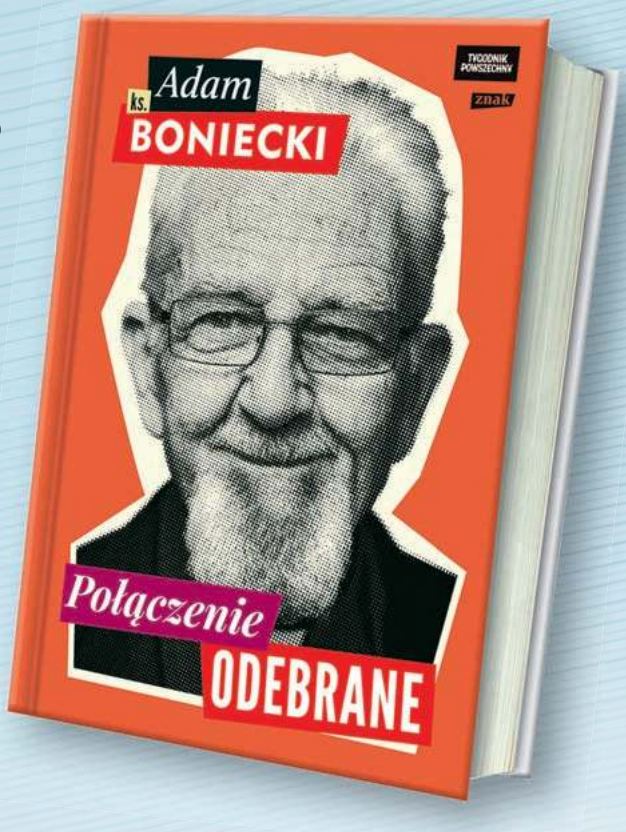

▪ „Połączenie odebrane”, rok wydania: 2018, cena katalogowa – 39,90 pln, stron 224. Wysyłka książki będzie realizowana w styczniu 2019 bez dodatkowych opłat.

▪▪ Aby skorzystać z oferty, należy do 30 listopada 2018 opłacić (wykupić nową lub przedłużyć na kolejny okres) dowolną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”. Cennik i zasady zakupu prenumeraty opisane są poniżej.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia	300 zł ▪	

▪ Oferta POKOLENIA 300 zł na rok

Niższa cena za roczną prenumeratę ekonomiczną dla osób, które w dniu zakupu są w wieku poniżej 25 albo powyżej 65 lat.

(Uwaga! zastrzegamy sobie prawo do weryfikacji prawa do ulgi.)

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

znak

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 46/2018

1918 wielkie powstanie listopadowe

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Uczniowie Filologicznego Gimnazjum Męskiego w Częstochowie – i zarazem członkowie podziemnej Polskiej Organizacji Wojskowej – wzięli udział w wyzwalaniu miasta. Podczas rozbrajania Niemców doszło do starć, były ofiary. 11 listopada 1918 r.

Stulecie niepodległości

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Rzeczpospolita nie odrodziła się z dnia na dzień, lecz za sprawą długiego ciągu faktów dokonanych. A wśród nich decydującego: zbrojnego powstania.

Od 1937 r. rocznicę odzyskania niepodległości obchodzimy 11 listopada. Już samo to, że datę tę ustalono tak późno, wskazuje na jej symboliczny charakter.

Tamtego dnia, 11 listopada 1918 r., zdarzyło się w Polsce wiele. Ale czy rzeczywiście była to data przełomowa? Można dyskutować. Choć też nie ma sensu zmieniać tej daty, utrwalonej już w świadomości Polaków.

Moment powstania niepodległego państwa łatwo bowiem ustalić, gdy dochodzi do niego wyłącznie na podstawie aktu prawnego: np. traktatu pokojowego, umowy dekolonizacyjnej czy rozwiązania państwa federalnego. Gdy dochodzi doń przez fakty dokonane, trudno wskazać konkretną, przełomową datę. A odrodzona Rzeczpospolita powstała właśnie przez szereg faktów dokonanych, które dopiero później zyskały uznanie w nowym porządku prawnomiędzynarodowym.

Warto przypomnieć tu sekwencję wydarzeń, które doprowadziły do Listopada 1918 r., uczyniły go możliwym.

Sprawa polska wraca na wokandę

Na przełomie lipca i sierpnia 1914 r. w Europie wybucha wojna, która po raz pierwszy od stu lat (od zakończenia wojen napoleońskich) ma charakter kontynentalny. Potem nazwano ją Wielką Wojną oraz I wojną światową. Mocarstwa zaborcze stają do niej po przeciwnych stronach.

Fakt ten sprawił, że sprawa polska ponownie znalazła się na wokandzie europejskiej polityki. Od III rozbioru, likwidacji suwerennego państwa w rażącej sprzeczności z ówczesnym prawem narodów, a także kongresu wiedeńskiego (1815 r.), który przywrócił państwo polskie w kadłubowej formie Królestwa Polskiego (w unii personalnej z Imperium Rosyjskim), kwestia polska była zagadnieniem międzynarodowym, a nie wewnętrznym któregokolwiek z zaborców (jak np. sprawa czeska). Przez prawie sto lat cementowała ona pokój między Rosją a Prusami (później Niemcami) i Austrią.

Gdy stał się nie do utrzymania, sprawa polska musiała wrócić.

To nie była „wojna powszechna za wolność ludów", o którą modlił się Mickiewicz. Ale choć zaczęła się jako spór monarchów (z państw, które przystąpiły do niej w 1914 r., tylko Francja była republiką), tak właśnie się skończyła: jako rewolucyjny kryzys, który dał wolność wielu narodom.

W 1914 r. nikt nie oczekiwał takiego rezultatu. Nikt też nie przewidywał, że wojna może trwać aż cztery lata. Polscy poddani trzech cesarzy bez oporu szli do szeregów ich armii. Tylko garstka niepodległościowych socjalistów była gotowa wystąpić pod polskim sztandarem.

Początek drogi

Już w sierpniu 1914 r. polskie formacje paramilitarne z Galicji podjęły próbę wzniecenia powstania w Królestwie Polskim (Kongresowym). Wątpię, by Piłsudski miał nadzieję na sukces wojskowy, ale rozumiał, że czyn zbrojny potrzebny jest już w tym momencie. Powstanie nie powiodło się, ale Legiony zostały. Zahartowana kadra, gotowa walczyć w polu i w konspiracji, znosić dotkliwe porażki, czekać na właściwy moment.

Marsz Pierwszej Kompanii Kadrowej na Kielce w sierpniu 1914 r. był początkiem drogi do Listopada 1918 r. Na długo, zanim koleje wojny uprzytomniły wszystkim, że są szanse zdobycia niepodległości. Zanim niemiecki zaborca poczuł się zmuszony do przywrócenia „sprawy polskiej" na wokandę polityczną, zanim demokratyczna rewolucja rosyjska w lutym 1917 r. postawiła na porządku dziennym prawa narodów Imperium, a prezydent USA dał się przekonać, że państwo polskie jest potrzebne.

Rok później, wiosną 1915 r., wojska niemieckie i austro-węgierskie wyparły Rosjan z większości terytoriów przyszłej odrodzonej Rzeczypospolitej. Dla centralnej Polski skończyły się działania wojenne, a ówczesna okupacja niemiecko-austriacka była dość łagodna i praworządna, sprzyjała odbudowie życia narodowego.

W listopadzie 1916 r. Cesarstwo Niemieckie deklaruje przywrócenie Królestwa Polskiego. Nie utworzenie, ale właśnie przywrócenie – to dziecię traktatu wiedeńskiego nigdy nie zostało formalnie zniesione, choć od kilkudziesięciu lat było, aby użyć współczesnego określenia, bytem wirtualnym. I nieważne, jakie były intencje Niemców: ważne, że poczuli się zmuszeni do tego kroku, a później – do podjęcia realnego odtwarzania Królestwa, którego pierwszym krokiem było wprowadzenie 3 grudnia 1916 r. jego pieniądza (marki polskiej), a trzy dni później – powołanie Tymczasowej Rady Stanu (czyli państwa, zgodnie z ówczesną terminologią).

Przywrócenia państwa polskiego, choć wciąż niesuwerennego, nie dało się już cofnąć.

Koniec epoki monarchów

Abdykacja cara Mikołaja II w marcu 1917 r. zerwała związek dynastyczny Królestwa Polskiego z Imperium Rosyjskim. Dlatego możliwe stało się – choć dopiero jesienią 1917 r. – powołanie Rady Regencyjnej (tj. organu działającego podczas bezkrólewia). Z dzisiejszej perspektywy wydaje się to mało ważne – ale wtedy, w 1917 r., powszechnie uważano monarchię za naturalną formę organizacji państwa, a traktaty sprzed stu lat za wiążące.

W listopadzie 1917 r. bolszewicy obalają rząd Republiki Rosyjskiej, a wkrótce potem zrywają sojusz z mocarstwami zachodnimi, zawierając z Berlinem i Wiedniem odrębny pokój.

Krok ten miał wielkie znaczenie dla sprawy polskiej – nie dlatego, że bolszewicy deklarowali prawo Polski do niepodległości (była to taktyczna deklaracja bez znaczenia), ale dlatego, że zerwanie przez Rosję zobowiązań sojuszniczych rozwiązywało ręce Francji i Wielkiej Brytanii wobec „sprawy polskiej": uznanie przez nie państwa polskiego, powołanego na ziemiach byłego Imperium Rosyjskiego, stało się możliwe.

Wcześniej, 10 kwietnia 1917 r., rozpoczęto formowanie sił zbrojnych Królestwa Polskiego: Polskiej Siły Zbrojnej (Polnische Wehrmacht). Formacji nielicznej, ale posiadającej zalążki wszystkich rodzajów wojsk i służb, jakie musi mieć regularna armia, w tym może najważniejszej: kwatermistrzostwa. Na jej użytek tłumaczono na polski regulaminy armii niemieckiej. Gdy przyszedł czas formowania armii niepodległej już Rzeczypospolitej, były one gotowe.

A potem wszystko zmieniło ogłoszenie (8 stycznia 1918 r.) przez prezydenta USA Woodrowa Wilsona preliminariów pokoju. Nie tylko dlatego, że przewidywały one powołanie niepodległego państwa polskiego. Bardziej dlatego, że wprowadzały zasadę samostanowienia narodów (wspólnot etnicznych), ich prawo do konstytuowania własnych państw, bez względu na historyczne traktaty czy prawa dynastyczne.

Akceptacja „punktów Wilsona" jako podstawy rokowań pokojowych przez rząd Niemiec (5 października 1918 r.) ostatecznie potwierdziła, że nie ma powrotu do ładu sprzed Wielkiej Wojny.

Geopolityczna pustka

Dwa dni później Rada Regencyjna ogłosiła niepodległość Królestwa Polskiego, a 13 października Polska Siła Zbrojna zaprzysięgła wierność nowemu państwu oraz Radzie.

Od tego dnia znów istnieje – formalnie i faktycznie – Wojsko Polskie.

Tymczasem wojna zmierzała ku końcowi i wszyscy to rozumieli. Austro-Węgry były w rozkładzie, ich armia była niezdolna do działania. Potwierdził to cesarz Karol I swym manifestem z 16 października 1918 r., formalnie proklamującym przebudowę monarchii na zasadach federacyjnych, a faktycznie – zachęcającym swoje „wierne ludy" do emancypacji.

Na froncie zachodnim latem 1918 r. Niemcy ostatecznie utraciły inicjatywę strategiczną, a ich klęska została przypieczętowana w sierpniu tego roku. Cesarstwo Wilhelma II wciąż było jednak zdolne do walki i mogło liczyć na honorowy pokój. Ale wewnątrz kraju narastało wrzenie rewolucyjne, ukoronowane obaleniem monarchii 9-10 listopada 1918 r. Następnego dnia Niemcy zgodziły się na zawieszenie broni, które zakończyło wojnę.

W ten sposób na początku listopada 1918 r. spełnił się warunek, o którym wiosną 1914 r. nikt jeszcze nie marzył (choć Piłsudski prawdopodobnie przewidywał taki tok wydarzeń): runęły wszystkie trzy mocarstwa zaborcze, w Europie Środkowej powstała pustka geopolityczna.

Polacy (a także Czesi i w znacznie mniejszej mierze Ukraińcy z Galicji) byli gotowi do jej zagospodarowania, do wzięcia we własne ręce odpowiedzialności za swój kraj. Licząc się z głosem zwycięskich mocarstw Ententy, ale nie czekając na ich decyzje. Tworząc fakty dokonane, z którymi wszyscy będą musieli się liczyć.

Co się stało 11 listopada?

Dzień podpisania rozejmu w Compiègne, kończącego wojnę Ententy z Niemcami, był jednym z kolejnych dni odbudowy państwa polskiego. Jeśli 11 listopada był ↦

datą przełomową, to tylko pod jednym względem: tego dnia Rada Regencyjna przekazała Józefowi Piłsudskiemu władzę „dictatora".

Celowo użyłem tu łacińskiej, starożytnej formy. Przejmując władzę nad wojskiem, a cztery dni później także zwierzchnią władzę państwową, Piłsudski nie stawał się samowładcą (dyktatorem we współczesnym rozumieniu), ale właśnie „dictatorem": urzędnikiem, któremu państwo w sytuacji śmiertelnego zagrożenia powierza na określony czas nadzwyczajną władzę. Tu terminu nie określono, ale w akcie Rady Regencyjnej z 11 listopada zawarte było zobowiązanie Piłsudskiego do złożenia władzy „po utworzeniu Rządu Narodowego".

Tego samego dnia dowództwo Polskiej Organizacji Wojskowej (POW, trójzaborowej armii podziemnej stworzonej przez Piłsudskiego) rozwiązało ją i włączyło jej kadry w skład Wojska Polskiego. Było to pierwsze wielkie scalenie polskich sił zbrojnych.

Także 11 listopada podał się do dymisji tymczasowy rząd, powołany 7 listopada przez socjalistów w Lublinie. To też miało wielkie znaczenie: rodząca się Polska potrzebowała rządu bardziej umiarkowanego, otwartego także na środowiska zachowawcze. Parafrazując Piłsudskiego: czerwony tramwaj dotarł do przystanku „niepodległość" i ci, którzy na pierwszym miejscu stawiali budowę państwa, a nie przebudowę społeczeństwa, musieli go opuścić.

Wreszcie: 11 listopada, w wolnej już (od końca października) Małopolsce, zgrupowanie bojowe – sklecone naprędce z kadr POW oraz byłych żołnierzy armii austriackiej, i mające wesprzeć polskie powstanie we Lwowie – wyparło oddziały ukraińskie z Przemyśla, zdobywając nieuszkodzone mosty na Sanie, w tym kolejowe. Ponieważ kolej była wówczas głównym środkiem przerzutu wojsk, sukces ten otwierał drogę do odsieczy Lwowa.

Wielkie Powstanie Listopadowe

Sposób, w jaki Polska odzyskała niepodległość jesienią 1918 r., wypada nazwać powstaniem narodowym.

Było to bowiem zbrojne wystąpienie mające na celu przejęcie władzy, stawiające sobie cele narodowowyzwoleńcze. Znakomicie przygotowane, w znacznej mierze bezkrwawe – ale czy powstanie musi być krwawe, a zwłaszcza – nieprzygotowane? Jeśli jego cele daje się zrealizować samą groźbą użycia siły, skłonić przeciwnika do ustępstw bez starcia – to przecież sukces (także czysto wojskowy) jest większy niż pokonanie go w boju, z krwawymi stratami.

Tak na marginesie: wszystkie nasze powstania narodowe były poprzedzone starannymi przygotowaniami, planowaniem działań i gromadzeniem sił. Chyba tylko powstanie listopadowe 1830 r. było puczem podniesionym bez przygotowania, a zwłaszcza – bez refleksji, co dalej. Gdy jednak pucz się powiódł – stanęła za nim siła i autorytet Królestwa Polskiego, jednego z najsprawniejszych państw, jakie mieliśmy w dziejach (choć niesuwerennego).

Wracając do listopada 1918 r.: unikając tu terminu „powstanie", tracimy z oczu całość. Czymś osobnym stają się wtedy działania Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Małopolsce, listopadowa akcja Polskiej Organizacji Wojskowej w Królestwie, walka o Lwów, wyzwolenie Wielkopolski, później walka dyplomatyczna i zbrojna o granice. I otrzymujemy obraz, w którym „ni z tego, ni z owego / była Polska na jedenastego" (nieco trawestuję tu ironiczny bon mot Piłsudskiego).

A to przecież nieprawda. Wydarzenia te – i inne jeszcze – stanowiły całość. I nic nie stało się ot tak, nic nie przyszło samo z siebie. Ani z łaski Ententy czy prezydenta Wilsona. Gdyby nie fakty dokonane nad Wisłą i Wartą, a potem także nad Dniestrem i Niemnem, waga polskich argumentów na konferencji pokojowej w Wersalu byłaby dużo mniejsza.

Dzielnica po dzielnicy

Powstanie rozpoczęło się cokolwiek niezauważenie: proklamacją niepodległości przez Radę Regencyjną 7 października 1918 r. i przejęciem przez nią kontroli nad siłami zbrojnymi.

Od tego dnia odrodzone państwo polskie istnieje faktycznie, ma władze centralne (choć jeszcze bez demokratycznej legitymacji), pieniądz i siły zbrojne. Ale brak mu dwóch elementów kluczowych: władztwa terytorialnego i uznania międzynarodowego.

Aby uzyskać to pierwsze, konieczne były działania zbrojne – powstańcze właśnie.

Pierwsza faza Wielkiego Powstania Listopadowego (myślę, że można zgodzić się na taką nazwę) była bezkrwawa: naj-

DOMENA PUBLICZNA / POLONA

MATERIAŁ PROMOCYJNY

NIĆ. SPLOTY WOLNOŚCI

O polskiej niepodległości opowiadamy, przywołując przejmujące małe historie ludzi i rodzin, często bezimiennych, oraz wielkie symbole, z których tkamy naszą narodową tożsamość – zapraszamy do Europejskiego Centrum Solidarności na wystawę NIĆ. SPLOTY WOLNOŚCI, przygotowaną z okazji obchodów 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości.

Drogę do wolności rozpinamy w ECS na długiej osi – od 1918 roku, kiedy mimo zakończonej I wojny światowej na kontynencie nadal brakowało

GRZEGORZ MEHRING / / ARCHIWUM ECS

trwałego pokoju, po kulminację długiej drogi Polaków do drugiej niepodległości, kiedy Solidarność pokojowymi środkami i w duchu dialogu wywalczyła ponowną niepodległość Polski.

Eksponaty, które udało nam się zgromadzić dzięki życzliwości placówek muzealnych i osób prywatnych z całej Polski, za co jesteśmy niezmiernie wdzięczni, wzajemnie podejmują ze sobą dialog. Jak suknia żałobna z powstania styczniowego i suknia ślubna z materiału sitodrukowego dla podziemnej drukarni, bluzka z alianckiego spadochronu z czasów powstania warszawskiego i kufajka robotnika z Grudnia '70 z przestrzeliną po kuli na ramieniu, kartka pocztowa ze świątecznymi życzeniami wielkanocnymi z 1920 roku, z ręcznie wyszywanym godłem Polski i flagami biało-czerwonymi, oraz patriotyczna makatka, ręcznie wykonana przez więźnia stanu wojennego...

Vis-à-vis wystawy NIĆ, na pierwszej i drugiej kondygnacji, znajduje się wystawa stała ECS, opowiadająca o rewolucji Solidarności i zmianach, jakie pod jej wpływem zaszły w całej Europie Środkowej i Wschodniej. Przyjedźcie Państwo do Gdańska na weekend – obejrzyjcie w ECS obie wystawy, wybierzcie się na spacer po Stoczni Gdańskiej. „Najkrótsza droga do przyszłości wiedzie przez zgłębianie przeszłości" – powiedział pochodzący z Martyniki poeta Aimé Césaire.

Basil Kerski,
dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności

ECS europejskie centrum solidarności

Manifestacja patriotyczna w Rzeszowie, jesień 1918 r.

słabszy z zaborców, Austria, istniał tylko siłą inercji.

Już 19 października powstała polska Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego, a dziewięć dni później – Polska Komisja Likwidacyjna (nazwa wskazywała, że chodzi o przejęcie struktur upadłego państwa tak, jak przejmuje się mienie bankrutującej firmy). 30-31 października Polacy przejęli władzę w Galicji Zachodniej (Małopolsce), następnego dnia w Księstwie Cieszyńskim. Tego samego 1 listopada ukraińskie powstanie w Galicji Wschodniej i polskie przeciwpowstanie zapoczątkowały wojnę polsko-ukraińską [patrz „TP" 42/2018 oraz 45/2018 – red.].

Następna w kolejce była południowo-wschodnia część Królestwa, od 1915 r. okupowana przez Austriaków. Lublin został wyzwolony przez POW 3 listopada, reszta Lubelszczyzny – do 8 listopada, także praktycznie bez oporu. Tu 7 listopada socjaliści powołali Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej (Republiki, nie Rzeczypospolitej) z Ignacym Daszyńskim jako premierem, jawnie sprzeciwiając się Radzie Regencyjnej.

Program tego rządu był rewolucyjny. Z jednej strony hamował więc oddziaływanie na ziemie polskie propagandy bolszewickiej, ale z drugiej – stawiał władze odradzającego się państwa w konflikcie ze środowiskami umiarkowanymi i zachowawczymi. To dlatego Piłsudski kilka dni później zażądał dymisji rządu Daszyńskiego, powołując nowy gabinet Jędrzeja Moraczewskiego – także lewicowy, ale nie tak radykalny.

Niemiecka władza okupacyjna była (na razie) silniejsza. Wspierała Radę Regencyjną, tolerowała działalność POW, ale nie rezygnowała z kontroli nad Królestwem. Stał za nią argument siły: wciąż sprawna, spoista armia niemiecka.

Jednak rewolucja w Niemczech wkrótce podważyła morale tych oddziałów.

Depesza do świata

10 listopada przybywa do Warszawy Piłsudski, zwolniony przez Niemców (ale nie przez rewolucjonistów) z internowania w Magdeburgu.

Niezwłocznie przejmuje komendę nad POW, wymusza dymisję rządu lubelskiego, 11 listopada przejmuje z rąk Rady Regencyjnej komendę nad wojskiem, a 14 listopada władzę w państwie. Także 11-12 listopada negocjuje z niemieckim garnizonem Warszawy warunki kapitulacji: w efekcie do 13 listopada wojska niemieckie składają broń w stolicy.

16 listopada Piłsudski wysyła depesze do rządów państw świata, oficjalnie notyfikując powstanie suwerennego państwa polskiego.

Następnego dnia powołuje, jak już wspomnieliśmy, nowy rząd Moraczewskiego. Wreszcie 29 listopada wydaje dekret o organizacji władz państwowych, przyznając sobie tytuł Tymczasowego Naczelnika Państwa (więc znów „dictatora"). Wzorowany na tytule Kościuszki, choć ten był tylko Najwyższym Naczelnikiem Siły Zbrojnej Narodowej.

Piłsudski działał energicznie. Rozumiał, że niezbędny jest pośpiech. Porozumienie ze zrewoltowaną armią niemiecką było majstersztykiem: Niemcy oddawali broń, ale do czasu ewakuacji do Niemiec pozostawali w Królestwie nie jako jeńcy, lecz jako wojsko rządzące się własnymi regulaminami.

Mimo to na prowincji nie wszystko poszło gładko. Dochodziło do starć z Niemcami, zginęło w nich kilkudziesięciu Polaków: to byli pierwsi – po obrońcach Lwowa – polegli w tym powstaniu. ↦

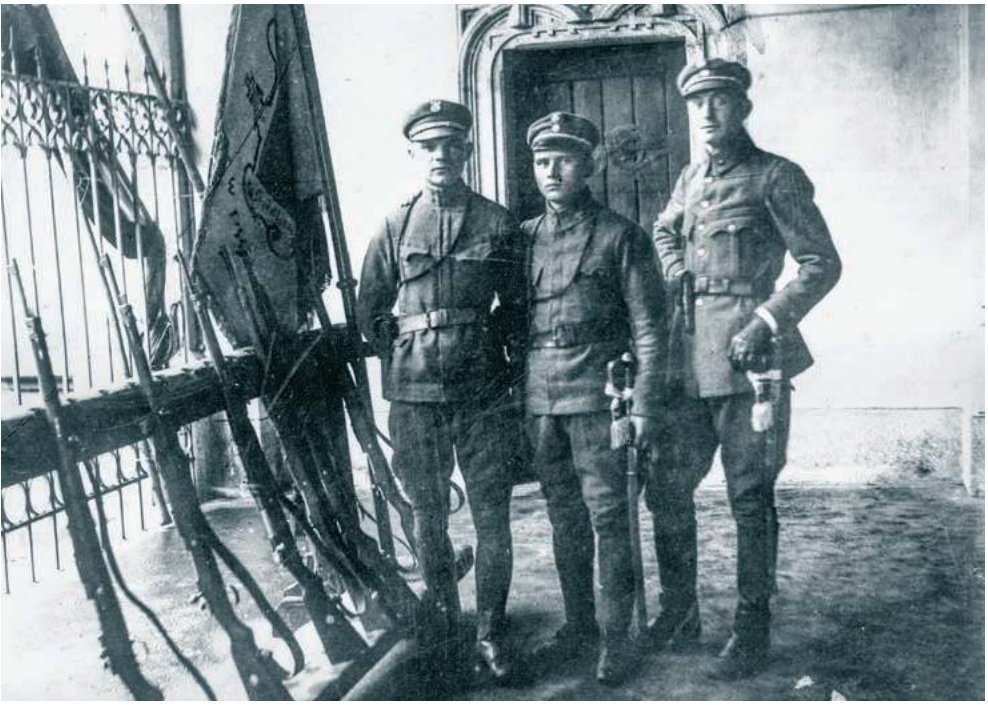

NAC

Pierwsza warta polska na odwachu, głównym posterunku wartowniczym Twierdzy Kraków. Od lewej: Czesław Zajączkowski (trębacz), Wilhelm Stec i por. Jan Gawron, 31 października 1918 r.

↦ W tamtych dniach nastąpiła jeszcze jedna ważna zmiana: 13 listopada rząd bolszewickiej Rosji unieważnił traktat brzeski z marca 1918 r. – w którym zrzekł się m.in. centralnej Polski – i zapowiedział „oczyszczenie" okupowanych (jak teraz to widział) prowincji Rosji. Łącznie z Królestwem Polskim.

To, że wojna polsko-bolszewicka nie mogła się rozpocząć już w tamtym momencie, zawdzięczamy kilkusettysięcznemu zgrupowaniu wojsk niemieckich, które wciąż okupowały kraje bałtyckie, Białoruś i północną część Ukrainy.

16 lutego 1919 r.

Ale to zgrupowanie było też zagrożeniem: było dość silne, by dosłownie zadeptać rodzącą się Rzeczpospolitą, której siły zbrojne w listopadzie 1918 r. liczyły dopiero kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Dlatego tak ważne było porozumienie – wynegocjowane przez Warszawę, ale już z poparciem Ententy – gwarantujące, że Niemcy będą ewakuować się linią kolejową Brześć–Grajewo–Gdańsk, a nie znacznie krótszą drogą przez Warszawę i Poznań. Porozumienie zawarto 5 lutego 1919 r., a ewakuacja wojsk niemieckich ze wschodu trwała do lipca tego roku.

Jako ostatnia do powstania przyłączyła się Wielkopolska. Najlepiej przygotowana, dysponująca znakomitą kadrą wojskową – weteranami armii pruskiej, jednej z najlepszych w ówczesnej Europie. Ale też mająca najsilniejszego przeciwnika: dla każdego było jasne, że tych ziem Niemcy będą zdecydowanie bronić.

W Poznaniu powstanie wybuchło 27 grudnia [patrz „TP" 43/2018 – red.]. Zaczęło się nieco przedwcześnie, ale było tak przygotowane, że sukces był właściwie pewny. Większość Wielkopolski wyzwolono w ciągu kilku dni. Potem Wielkopolanom przyszła w sukurs Ententa, narzucając Niemcom zawieszenie broni.

To właśnie datę tego rozejmu – 16 lutego 1919 r. – można uznać za datę końcową Wielkiego Powstania Listopadowego. Dalsza walka toczyła się już o granice, ale nie o byt niepodległej Polski. Ten stał się faktem i był zabezpieczony. Jak się miało okazać, na 20 lat.

Owszem, były także później epizody powstańcze, jak powstanie sejneńskie latem 1919 r. (starcie z Litwą, związane z zajmowaniem terenów opuszczanych przez armię niemiecką) czy trzy powstania śląskie, stanowiące (zwłaszcza trzecie, z 1921 r.) formę „hybrydowej", jak dziś mówimy, wojny polsko-niemieckiej. Jednak one należą już do dziejów wojny o ugruntowanie niepodległości.

Święta zgoda

W popularnej narracji odrodzenie Rzeczypospolitej nastąpiło „z powszechnej woli narodu". To jednak właśnie narracja – mająca budować i utrwalać tę wspólną wolę, wspólną świadomość.

Tymczasem odrodzona Polska powstała z woli nielicznych, z pragnienia wielu oraz z mniej lub bardziej obojętnego przyzwolenia pozostałych. Niewielu mocno pragnęło powstania państwa polskiego, ale też właściwie nikt się mu zdecydowanie nie przeciwstawił. Agitacja bolszewicka chybiła celu, polscy radykalni socjaliści chcieli budować Polskę Ludową, a nie „światową republikę pracy". A środowiska bolszewickie Królestwa i Kresów ostatecznie weszły w tych dniach na drogę zdrady narodowej – i pozostały marginesem życia politycznego.

Tamte dni były rzadkim w naszych dziejach okresem „świętej zgody", powszechnego przekonania, że spór o to, jaka ma być Polska, trzeba odłożyć do czasu, gdy byt państwa zostanie zabezpieczony. Wszystkie stronnictwa działały – każde po swojemu – dla wspólnego celu, wszystkie grupy społeczne przyczyniały się doń wedle swych możliwości. Oczywiście nie bez tego, by sklepikarze pasożytowali na powszechnej nędzy, a liczni mężczyźni uchylali się od służby wojskowej.

Jednak generalnie każdy robił swoje, a wszystko to dopełniało się, sumowało, wzmacniało wzajemnie. Wysiłek żołnierzy i polityków, robotników i włościan, kupców i rzemieślników, ziemian, kapłanów i lekarzy. Socjalistów, narodowców i konserwatystów. Potrzebny był i radykalizm socjalistów, i powściągliwość endeków, i zgoda stronnictw ludowych na odłożenie reformy rolnej.

Nawet pucz Mariana Januszajtisa (4-5 stycznia 1919 r.), stłumiony w zarodku bez użycia siły, w jakiejś mierze przyczynił się do budowy tej zgody. Bo endecy go nie poparli, Piłsudski wykpił (zamiast posłać inicjatorów pod mur), a potem – spełnił główne żądanie puczystów: zdymisjonował gabinet Moraczewskiego i powierzył tworzenie nowego, centroprawicowego rządu Ignacemu Paderewskiemu. Miesiąc później (10 lutego 1919 r.) mieliśmy już Sejm Ustawodawczy, a z nim – władzę o pełnej demokratycznej legitymacji.

A przecież mogło być inaczej. Gdyby Roman Dmowski wrócił do kraju pod koniec 1918 r., pucz Januszajtisa mógł zamienić się w wojnę domową, ta zaś musiałaby skończyć się katastrofą. Tak jak dla Ukrainy, która zafundowała sobie wojnę domową przed odparciem rosyjskiej agresji – i musiała czekać na niepodległość jeszcze 70 lat.

Decyzja Dmowskiego o pozostaniu w Paryżu była – śmiem twierdzić – opatrznościowa. Jego nieobecność w kraju łagodziła spór polityczny, a jego obecność na konferencji pokojowej w Paryżu pomogła Polsce uzyskać lepsze warunki, niż mogliby wynegocjować piłsudczycy. Dmowski w pełni zasługuje na miejsce jednego z dwóch głównych architektów niepodległości, obok Piłsudskiego.

Inna rzecz, że świętej zgody nie starczyło nam na długo. Już podczas rokowań pokojowych z Rosją bolszewicką dominujący w Warszawie narodowcy działali wbrew celom Naczelnego Wodza. Potem zaś wzięliśmy się za łby. Ale to też było niezbędne: spór o kształt państwa, artykułowany ostro, nieraz brutalnie. Demokracja nie polega na jednomyślności, lecz na przedstawianiu sprzecznych interesów i wykluczających się poglądów – i poszukiwaniu kompromisów.

Państwo i naród

Na przełomie 1918 i 1919 r. niepodległa Polska stała się faktem. Złożona z trzech obszarów zaborowych (później dojdzie jeszcze czwarty, bo tzw. Kraj Zabrany – jak nazywano ziemie zaboru rosyjskiego, które w 1815 r. nie weszły w skład Królestwa Kongresowego/Polskiego – bardzo różnił się od Kongresówki), rządząca się różnymi systemami prawnymi (także w życiu gospodarczym i prywatnym; bardzo różne były nawet austriackie, niemieckie i rosyjskie prawa małżeńskie i rodzinne), z dominacją różnych orientacji politycznych, z różnymi strukturami społecznymi.

Był to kraj zacofany gospodarczo, z dominacją rolnictwa i rzemiosła, prawie bez przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego (Górny Śląsk i drohobyckie zagłębie naftowe przejęliśmy dopiero później).

Był to także kraj wyniszczony czteroletnią Wielką Wojną. Tak stratami bezpośrednimi (te ominęły Wielkopolskę i zachodni skraj Małopolski), jak i wysiłkiem wojennym: poborem, rekwizycjami, niedostatkiem, epidemiami. Amerykanie oceniali, że jesienią 1918 r. całość ziem polskich, a także Litwa i Łotwa, Czechosłowacja i północna Rosja były dotknięte klęską głodu (Niemiec i Austrii nie uwzględnili jako przeciwników wojennych – ale tam też głodowano).

W tym czasie na ziemie polskie dotarła też druga fala pandemicznej grypy, tzw. hiszpanki. Nie wiemy, ile pochłonęła ofiar – polskie służby statystyczne jeszcze nie istniały, zaborcze były w rozkładzie. Zapewne kilkadziesiąt, może sto tysięcy (skoro jej ofiary w Niemczech szacuje się na pół miliona). A była też epidemia tyfusu, pochłaniająca rocznie kilkadziesiąt tysięcy ofiar śmiertelnych, gruźlica i inne choroby, groźne dla głodnego, wycieńczonego społeczeństwa.

Ale polska wspólnota narodowa, właśnie przeobrażająca się, nabierająca nowoczesnego kształtu, sprostała tym wyzwaniom. A także temu największemu: nieuchronnie nadciągającej konfrontacji z bolszewicką Rosją.

Przetrwała, zwyciężyła, a potem budowała państwo: jak mogła i jak umiała. I zbudowała państwo sprawne (choć nie idealne) oraz naród, który był w stanie przetrwać katastrofę lat 40. XX wieku, a potem dziesięciolecia komunizmu i podporządkowania sowieckiej Rosji.

© TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

AUTOR jest emerytowanym ekspertem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie. Autor książek i opracowań na temat dziejów Ukrainy i Europy Środkowej w XX w.

REKLAMA

KONCERT „POLSKO-UKRAIŃSKIE INSPIRACJE” — hołd dla dziedzictwa kulturowego dwóch narodów

Kultury Polski i Ukrainy przenikają się na wielu płaszczyznach. Wynika to z setek lat wspólnej historii, zapoczątkowanej w czasach Kazimierza Wielkiego, od przejęcia przez króla Polski Lwowa i księstwa halickiego po śmierci Bolesława Trojdenowicza. To wspólne dziedzictwo ukazane zostanie podczas koncertu „Polsko-ukraińskie inspiracje” — jednego z wydarzeń nowego festiwalu EUFONIE. Wzajemne inspiracje muzyczne i współpraca artystyczna czynią ten koncert niezwykłym.

Koncert Polsko-ukraińskie inspiracje w ramach I Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Europy Środkowo-Wschodniej EUFONIE dowodzi ścisłego powiązania kultur Polski i Ukrainy. Orkiestra Filharmonii Lwowskiej wystąpi w programie nasyconym tradycją polsko-ukraińską. Poemat ukraińskiego kompozytora i dyrygenta, Borysa Latoszyńskiego, oparty jest na Grażynie Mickiewicza, polskiego wieszcza narodowego. Lekko folklorystyczny Koncert karpacki Myrosława Skoryka uzupełnią Cztery tańce polskie urodzonego nieopodal Kijowa Karola Szymanowskiego. Podwójny koncert Hanny Kulenty ukaże odrodzoną energię najnowszej muzyki polskiej we wspólnej interpretacji ukraińskiej orkiestry oraz polskich wiolonczelistów. To wyjątkowe wydarzenie na pewno sprosta oczekiwaniom nie tylko miłośników wysmakowanych doznań artystycznych. Pokaże również, że bardzo wiele nas łączy – zaczynając od podobnego języka, przez cechy narodowe, kończąc na kulturze, w tym muzyce.

Koncert „Polsko-ukraińskie inspiracje” odbędzie się 27 listopada (wtorek) o godzinie 19:30 w Sali Koncertowej Filharmonii Narodowej w Warszawie.

Międzynarodowy Festiwal EUFONIE to pierwsze wydarzenie na rynku muzycznym, którego głównym celem jest ukazanie unikatowego dorobku kulturowego Europy Środkowo-Wschodniej. Obszar ten stanowi niezwykły tygiel ścierających się wpływów Wschodu i Zachodu, kipiący energią kulturową, która nieraz określała tożsamość narodów bez własnych państw. EUFONIE to nie tylko Polska i Ukraina – to 11 koncertów symfonicznych, folkowych i elektronicznych w 5 największych salach koncertowych w Warszawie. W trakcie festiwalu zaprezentowane zostaną utwory współczesnych i XX-wiecznych kompozytorów z 10 krajów naszej części Europy, w wykonaniu najlepszych orkiestr i uznanych solistów. To nowe, ważne wydarzenie kulturalne, w którym muzyka stanowi punkt odniesienia do refleksji na temat międzynarodowych relacji w Europie Środkowo-Wschodniej. To na jej cześć powstał festiwal EUFONIE, który udowadnia, że unikatowy charakter twórczości narodzonej w naszej części Europy wynika z zawiłej historii kilkunastu narodów, ich często burzliwych i wielowarstwowych relacji.

I edycja festiwalu EUFONIE odbędzie się w dniach 23 listopada – 1 grudnia 2018 w Warszawie.

Mecenasem wydarzenia jest PKN Orlen.

Bilety dostępne są na stronach **bilety24.pl** oraz **eufonie.pl.**

eufonie

I Międzynarodowy — Festiwal Muzyki — Europy Środkowo — Wschodniej

Festiwal EUFONIE organizowany jest przez Narodowe Centrum Kultury dzięki dofinansowaniu ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Żołnierze roku 1918

KRZYSZTOF PIĘCIAK

Powstające wojsko polskie tworzyli zarówno nastoletni ochotnicy, jak weterani z armii zaborczych i różnych polskich formacji. Tak było również w 20. Pułku, formowanym w Krakowie.

Ulotka nosi datę 2 listopada 1918 r. Dwa dni wcześniej Kraków stał się pierwszym dużym polskim miastem, które zrzuciło zaborcze rządy [patrz „TP" 42/2018 – red.]. Zabiegi polskich polityków z Galicji, idących drogą legalizmu, wsparło – jako czynnik rozstrzygający – zbrojne wystąpienie małej grupy oficerów i żołnierzy, Polaków z armii austriackiej.

W tamtych dniach było to zjawisko typowe nie tylko dla Krakowa. Późniejsza legenda przesłoni fakt, że w pierwszych dniach po broń sięgali – nawet we Lwowie – nieliczni: polscy żołnierze z armii zaborczych, członkowie podziemnej Polskiej Organizacji Wojskowej, cywile, w tym często studenci i uczniowie. W klimacie chaosu i rozpadu, wymęczenia po Wielkiej Wojnie i niepewności wobec tego, co miało nadejść – w takiej chwili decydująca okazywała się często determinacja jednostek. Przynajmniej na początku.

W młodzieży nadzieja

Dlatego ton ulotki, wydrukowanej w Krakowie sto lat temu, jest dramatyczny. Nieprzypadkowo też adresatem jest młodzież. Czytamy w niej (pisownia oryginalna): „MŁODZIEŻY OBYWATELE! Po ciężkich tragicznych przejściach, po bezmiarze krwi przelanej i wielkich ofiarach (...), odzyskaliśmy wreszcie po wiekowem uścisku i niedoli zjednoczoną i wolną Polskę! Młodzieży! Ojczyzna woła, że nadeszła godzina w której CZYNEM udowodnić macie, żeście dzielnymi synami naszych wielkich Ojców. Pułki polskie zdezorganizowanej byłej armii austriackiej na razie nie są w stanie sprostać tym wielkim zadaniom, jakie dziś piętrzą się przed wojskiem polskim. Dlatego zwracamy się z gorącym apelem do Was Młodzieży, abyście tłumnie w imię miłości Ojczyzny zgłaszali się ochotniczo do kadr wojska polskiego. Pamiętajcie że Ojczyzna na was liczy! Polska Młodzież zawieść jej nie może i nie powinna! Młodzieży niżej lat 17-tu do wojska się nie przyjmuje". I jeszcze informacja praktyczna: „Zaciąg odbywa się codziennie w koszarach przy ulicy Rajskiej".

Jeszcze parę dni wcześniej w kompleksie koszar przy ul. Rajskiej, blisko Starego Miasta (dziś to biblioteka publiczna), stacjonowało wojsko austriackie. Ale choć złożone często głównie z Polaków, z chwilą upadku monarchii Habsburgów galicyjskie pułki nie przekształcają się w polskie jednostki: widząc upadek monarchii, której przysięgali wierność, większość żołnierzy rozchodzi się do domów. Przywódców (polskich, ukraińskich), którzy liczyli, że pułki „polskie" czy „ukraińskie" będą podstawą ich nowych armii, czeka rozczarowanie. Można zrozumieć tych żołnierzy: przeszli tyle, że mają dość wojowania, nawet w najbardziej słusznej sprawie.

Dziewczyna z Ochotniczej Legii Kobiet na warcie pod koszarami w Krakowie, rok 1918 lub 1919.

FOT. Z KSIĄŻKI JACEK ALBRECHT „20 WALECZNY ZIEMI KRAKOWSKIEJ" (WYD. KRAKÓW 1999)

Stąd nadzieja autorów ulotki, że do szeregów zgłosi się młodzież: studenci i uczniowie, młodzi robotnicy i rzemieślnicy.

Fakty dokonane

Największy nawet entuzjazm krakowskich „kindrów i chacharów" – tj. „dzieciaków i łobuzów", jak mawia się w tutejszej gwarze (podobnie jak we Lwowie, i tu wielu ochotników pochodzi ze społecznych nizin) – nie zastąpi jednak szkolenia. A także mundurów, karabinów, służb sanitarnych czy choćby kuchni polowych. Armia z prawdziwego zdarzenia potrzebuje w końcu nie tylko chętnego „materiału ludzkiego" (by użyć języka ówczesnych sztabowców). Na szczęście w rozpadającym się austriackim wojsku są ludzie – znów: pojedynczy, ale świadomi i energiczni – dzięki którym w Krakowie nowej armii nie trzeba tworzyć „na surowym korzeniu".

1 listopada Ignacy Pick, Polak i pułkownik austriackiej armii, postanawia wziąć sprawy w swoje ręce. Pick dowodzi batalionem zapasowym 16. Pułku Strzelców (dawnej Landwehry, Obrony Krajowej), który stacjonuje w czeskiej Opawie. Kilka dni wcześniej proklamowano powstanie Czechosłowacji i Pick uznaje, że trzeba działać. Jego batalion składa się głównie z Polaków, a macierzystym garnizonem jest Kraków. Polacy spod Krakowa i Chrzanowa stanowią zresztą większość w całym 16. Pułku, który w tych dniach przebywa jeszcze na Ukrainie, w składzie austriackich i niemieckich wojsk okupacyjnych. „Polskim" pułkiem dowodzi Ukrainiec: pułkownik Miron Tarnawskij (Tarnawski).

1 listopada Pick wydziela więc ze swego batalionu oficerów i żołnierzy polskiej narodowości i tworzy z nich oddział, który nazywa „batalionem uzupełniającym byłego austriackiego 16. Pułku". A potem tworzy dalsze fakty dokonane: zajmuje pociąg i po kilku dniach, 5 listopada dociera

IMPERIAL WAR MUSEUM ORAZ INSTYTUT POLSKI I MUZEUM IM. GEN. WŁADYSŁAWA SIKORSKIEGO

Żołnierze z Pierwszego Batalionu Strzelców Krakowskich, utworzonego pod koniec 1918 r., od razu zostali posłani do walki o Lwów. Na zdjęciu widoczna różnorodność ich sprzętu: niemieckie płaszcze, czapki austriackie i maciejówki, karabiny austriackie i rosyjskie. Bartatów pod Lwowem, luty 1919 r.

do Krakowa. Tu reorganizuje jednostkę, która liczy 16 oficerów i 144 szeregowych (nazwa „batalion" jest więc na wyrost, w istocie to tylko kompania). Pick stara się utrzymać wśród żołnierzy dyscyplinę.

Wkrótce, w drugiej połowie listopada, do Krakowa wraca z Ukrainy reszta pułku. Docierają tu przez Łuck i Kowel – Lwów jest zablokowany, trwają już walki polsko-ukraińskie. Jako Ukrainiec, płk Tarnawski zostaje osadzony w obozie jenieckim. Wkrótce jednak zwolniony, jako patriota swego narodu okrężną drogą (przez Wiedeń) dotrze na tereny pod kontrolą ukraińską, aby w 1919 r. zostać dowódcą Ukraińskiej Armii Galicyjskiej – siły zbrojnej zachodnioukraińskiego państwa, walczącej tam z Wojskiem Polskim.

Gwarancja przetrwania

Wróćmy do krakowskich koszar. Tu sytuacja jest kiepska: z całego 16. Pułku w nowej polskiej armii decyduje się zostać wraz z Pickiem tylko paruset żołnierzy; reszta idzie do domów.

Wtedy, w listopadzie i grudniu 1918 r., w Krakowie formuje się kilkanaście jednostek. To konieczność chwili: trwa już wojna z Ukraińcami o Lwów i Galicję Wschodnią, a Galicja Zachodnia to w tym momencie najważniejsze miejsce, z którego może tam pójść jakieś wsparcie.

Za chwilę, w styczniu, trzeba będzie walczyć także o południową granicę (o Śląsk Cieszyński, z Czechosłowacją). Potem także o zachodnią (o Wielkopolskę i Śląsk), a zwłaszcza na wschodzie – z bolszewikami. Armia to gwarancja przetrwania państwa.

Tymczasem choć sztabowcy szacują, że aby myśleć o jego obronie, wojsko powinno liczyć co najmniej pół miliona żołnierzy, początkowo jego liczebność jest dramatycznie mała.

Jak oblicza historyk Piotr Stawecki, w pierwszych dniach listopada 1918 r. ma ono – w skali kraju – tylko 30 tys. żołnierzy. W połowie stycznia 1919 r. to już 100 tys., a pod koniec lutego 160 tys. (nie licząc Armii Wielkopolskiej), ale to nadal za mało. Dopiero gdy w marcu 1919 r. Sejm uchwali pobór roczników 1896-1901, planowane pułki i dywizje zaczną przybierać realne kształty.

Bardzo brakuje broni: jedyna, po którą można sięgnąć, to ta z przejętych magazynów austriackich i niemieckich (to magazyny tyłowe, nierzadko jest to więc broń gorszej jakości). Brakuje mundurów, nawet butów. Często oddziały frontowe walczą w cywilnych jeszcze ubraniach. Brakuje też oficerów i podoficerów.

W praktyce tylko część oddziałów może więc iść na front – w tej chwili głównie galicyjski. Często są to jednostki organizowane *ad hoc*, które wyruszają zaraz po utworzeniu.

Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego w Warszawie łata ten front, czym się da – austriackim jeszcze wzorem tworzy kombinowane grupy bojowe, w których pod jednym dowództwem walczą często pojedyncze bataliony, szwadrony i baterie, pozbierane z różnych garnizonów. ↦

IMPERIAL WAR MUSEUM ORAZ INSTYTUT POLSKI I MUZEUM IM. GEN. WŁADYSŁAWA SIKORSKIEGO

Żołnierze Pierwszego Batalionu Strzelców Krakowskich podczas walk w Galicji Wschodniej w lutym 1919 r., w miejscowości Bartatów koło Lwowa. Wiosną 1919 r. batalion ten został włączony w skład powstającego 20. Pułku Piechoty Ziemi Krakowskiej.

↦ Przejściowo „batalion byłego 16. pułku" zostaje więc najpierw wcielony do 4. Pułku Piechoty Legionów (zlikwidowany w 1916 r. po rozwiązaniu Legionów, odtwarza się teraz w Krakowie). Legioniści przejmują zapasy wyposażenia pozostałe po 16. Pułku Strzelców. Ale w lutym 1919 r. oddziały legionowe opuszczają Kraków; część rusza na odsiecz Lwowa.

Pułk dwudziesty

Natomiast w Krakowie zaczyna się – niemal od początku – formowanie nowego pułku. Na przełomie marca i kwietnia otrzymuje oficjalną nazwę: 20. Pułk Piechoty Ziemi Krakowskiej.

Jest też nowy dowódca: komendę obejmuje płk Emanuel Hohenauer – oficer austriacki, który podczas Wielkiej Wojny jako dowódca 16. Pułku Strzelców zorganizował za linią frontu teatr polowy, w którym żołnierze wystawiali amatorskie sztuki z krakowskich teatrów i patriotyczne przedstawienia o Kościuszce. Teraz jego żołnierze mają już czapki maciejówki z orzełkiem, ale mundury i broń – austriacką. Także tu, z braku wojskowych płaszczy, wielu nosi cywilne okrycia.

Na początku marca gotowy już jeden batalion z 20. Pułku dostaje pierwsze zadanie: ma nadzorować linię rozejmową między Polską i Czechosłowacją (wcześniej, w styczniu, trwały tam krwawe walki), a później polsko-niemiecką w Zagłębiu Dąbrowskim. Reszta żołnierzy się szkoli.

Są też pierwsze straty: epidemie – głównie tyfusu i grypy hiszpanki – nie omijają koszar. Wielu żołnierzy choruje, niektórzy umierają. Ochotników, którzy zgłaszają się do koszar, wita tym razem ulotka wzywającą do tępienia wszy i zachowania higieny.

W maju następuje nowa reorganizacja. Do 20. Pułku zostają włączone samodzielne wcześniej jednostki: 1. Batalion Strzelców (sformowany pod koniec 1918 r. w Czyżynach – dziś to część Krakowa – i mający już za sobą udział w walkach o Lwów) oraz 2. Batalion Strzelców (utworzony w Bielsku, przebywał na froncie polsko-czeskim). Dowództwo całości znów obejmuje stary znajomy: Ignacy Pick.

Na dwóch wojnach

Ochotnicy, którzy dołączają w maju, przechodzą tylko dwutygodniowe szkolenie. W czerwcu pułk dostaje rozkaz wymarszu. Ukraińska Armia Galicyjska zaczęła ofensywę, przełamała front i idzie znów na Lwów. Obsługę nowych karabinów, dostarczonych z Francji, żołnierze poznają już w wagonach kolejowych.

Tak zaczyna się wojenna historia „Dwudziestki".

W ciągu kolejnego półtora roku 20. Pułk – w czerwcu 1919 r. liczący 2300 żołnierzy – przejdzie drogę typową dla większości nowych jednostek: najpierw na froncie ukraińskim w Galicji [patrz „TP" 45/2018 – red.], a potem na wojnie polsko-bolszewickiej. Zmieniać będą się jego dowódcy (jeden zginie), zmieniać będzie się też skład osobowy: narastające straty będą uzupełniane kompaniami marszowymi (rezerwami z zaplecza).

Pierwsza wojna „Dwudziestki", z Ukraińcami, nie jest jeszcze dla pułku szczególnie krwawa. „Kindry i chachary" walczą pod Brzeżanami, potem przez Rohatyn i Buczacz dochodzą nad brzeg Zbrucza. Uczestniczą w walkach tylko przez miesiąc – w lipcu polska ofensywa wypiera armię Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej z Galicji Wschodniej za Zbrucz, na teren drugiego ukraińskiego państwa, Ukraińskiej Republiki Ludowej (ono walczy o przetrwanie z bolszewikami i „białymi"). W ciągu tych paru tygodni pułk traci 250 ludzi: poległych, zmarłych z chorób i zaginionych (część z tych ostatnich wróci potem z niewoli).

Potem 20. Pułk trafia na Śląsk, gdzie przez dwa miesiące pilnuje granicy. W listopadzie znów zostaje przerzucony – tym razem na Litwę, gdzie strzeże okolic Wilna.

Wyczerpani walką

W maju 1920 r. w rejonie Mińska 20. Pułk wchodzi do walki z bolszewikami. Straty, jakie poniesie w następnych miesiącach, są ogromne. Po walkach pod Brodami, na początku sierpnia, zostaje w nim niespełna 700 ludzi. Gdy miesiąc później pułk zostaje skierowany do obrony Lwowa, ma już tylko 250 żołnierzy zdolnych do walki, a więc jedną dziesiątą stanu wyjściowego. W czasie walk odwrotowych z Armią Czerwoną bywa i tak, że lżej ranni muszą sobie radzić sami, a ciężko rannych trzeba zostawić na polu walki lub oddać pod opiekę miejscowej ludności.

Prócz zabitych, rannych i zaginionych (większość nie wróci, bolszewicy często zabijają jeńców) z szeregów ubywają żołnierze, którzy – jak notuje historia pułkowa – przebywają w „rozrośniętych ponad miarę" taborach, w pewnym momencie liczących aż setkę wozów. Pojęcie nerwicy frontowej nie jest jeszcze w powszechnym użyciu (tym bardziej „stresu pourazowego"). Częściej mówi się o „przemęczeniu" żołnierzy lub „wyczerpaniu walką".

Potem liczebność pułku znów wzrasta: z Krakowa płyną rezerwy. „Każdego tygodnia odchodziła jedna kompania ochotnicza na front bolszewicki. Szli starsi żołnierze, niektórzy z poważnymi brzuszkami, i młodzi osiemnastoletni" – wspominał Józef Mądry z Dzikowca, który zgłosił się do pułku latem 1920 r.

W październiku Polska i Rosja bolszewicka podpisują rozejm. 31 grudnia ostatni żołnierze 20. Pułku wracają transportami kolejowymi do Krakowa. Zaczyna się pokój.

Niespełna 20 lat później, w kampanii wrześniowej, „krakowskie kindry" znów przejdą – w walce i odwrocie – na piechotę kilkaset kilometrów: od Pszczyny po Cieszanów, cały czas zachowując zdolność jednostki do walki. Ale to już inna historia.

Polnische Wehrmacht

Powstanie „Dwudziestki" i jej droga w latach 1918-20 są, gdy idzie o mechanizmy, typowe dla tworzącego się sto lat temu wojska. Parafrazując Piłsudskiego, tamta armia nie wzięła się z niczego ani nie powstała z dnia na dzień. Miała na czym się oprzeć: na ludziach i strukturach.

Przede wszystkim – na Polnische Wehrmacht. Mało kto dziś pamięta, że pierwsze oddziały de facto polskiej armii powstały na długo przed listopadem 1918 r. [patrz też tekst Tadeusza A. Olszańskiego w tym dodatku – red.]. Po akcie z 5 listopada 1916 r., odtwarzającym Królestwo Polskie, utworzono też Polską Siłę Zbrojną (Polnische Wehrmacht). W zamierzeniu Berlina i Wiednia miała to być armia sojusznicza, wykorzystująca polskie „rezerwy ludzkie" (by znów użyć języka sztabowców) z dawnego zaboru rosyjskiego – w myśl prawa międzynarodowego Niemcy i Austriacy nie mogli prowadzić tam poboru. I choć dowódcą był niemiecki generał, to żołnierze i oficerowie byli Polakami, polska była komenda i mundury, a także orły na czapkach.

Młody ochotnik na warcie przed koszarami w Krakowie, rok 1918 lub 1919.

FOT. Z KSIĄŻKI JACEK ALBRECHT „20 WALECZNY ZIEMI KRAKOWSKIEJ" (WYD. KRAKÓW 1999).

Polska Siła Zbrojna nie cieszyła się popularnością, zwłaszcza po kryzysie przysięgowym w 1917 r. (gdy część żołnierzy odmówiła przysięgi na wierność obu cesarzom i została internowana), a potem po zawarciu przez Niemcy i Austrię na początku 1918 r. pokoju z Rosją i Ukrainą (niekorzystnego terytorialnie dla Polaków). Liczebność Polskiej Siły Zbrojnej wzrosła dopiero w połowie 1918 r., gdy zaczęli zgłaszać się dawni legioniści i członkowie konspiracyjnej POW.

Skierował ich tam rozkaz Edwarda Rydza-Śmigłego, który po uwięzieniu Piłsudskiego przez Niemców objął dowództwo POW: intencja była taka, by wstępować do realnie istniejącego już wojska. W październiku 1918 r. oficjalnie podporządkowano je Radzie Regencyjnej: odtąd ochotnicy ślubowali wierność „Państwu Polskiemu i Radzie Regencyjnej, jako tymczasowej zastępczyni przyszłej władzy zwierzchniej Państwa Polskiego", a szeregi PSZ w ciągu miesiąca niemal się podwoiły. Choć nadal nieliczna – w październiku niespełna 10 tys. ludzi – PSZ była zapleczem kadrowym. Odegrała też ważną rolę w listopadzie, gdy trzeba było neutralizować niemieckie garnizony w Kongresówce.

Ale dziedzictwo PSZ to nie tylko przeszkoleni oficerowie i podoficerowie. To też zaplecze, którego potrzebuje każda armia: szkoły oficerskie i podoficerskie, regulaminy i instrukcje po polsku, polskie wzory mundurów czy podstawy aparatu administracyjnego, służącego poborowi i szkoleniu.

Weterani i rekruci

Powstająca armia sięgnęła też po ludzi z polskich formacji ochotniczych, które powstały w czasie I wojny światowej.

Przez najsłynniejszą z nich, Legiony Polskie, przewinęło się 40 tys. ludzi. Kolejnych 68 tys. żołnierzy liczyła Armia Polska sformowana we Francji, zwana od koloru mundurów „błękitną" (dowodzona przez gen. Józefa Hallera, przybyła do kraju wiosną 1919 r.). Na terenie Polski znaleźli się też żołnierze trzech Korpusów Polskich, sformowanych w Rosji.

W 1919 r. dołączyła Armia Wielkopolska, powstała z tamtejszych formacji powstańczych [o powstaniu wielkopolskim ↦

↦ patrz „TP" 43/2018 – red.]. „Rogatymi diabłami" zwali ich wrogowie, rozpoznający Wielkopolan po charakterystycznych rogatywkach. Zyskali opinię dobrze wyszkolonych i zdyscyplinowanych.

Gdy w maju 1919 r. Armię Wielkopolską zaczęto scalać z Wojskiem Polskim, liczyła ponad 100 tys. ludzi. W tym wielu weteranów z frontu zachodniego, których Stanisław Kopański (wtedy dowódca plutonu, potem generał) tak wspominał: „Dzielni starzy żołnierze, niejednokrotnie »spod Verdun«, strzelali nieraz w ruchu, stojąc lub z kolana, uważając tego rodzaju wojnę [polsko-ukraińską] za zabawkę w porównaniu z walkami wielkiej wojny na Zachodzie" (dla porządku dodajmy, że owa „zabawka" kosztowała jednak życie 25 tys. Polaków i Ukraińców).

Prócz nich w nowym wojsku znaleźli się też żołnierze wywodzący się z armii carskiej i austriackiej. Znaczącym zastrzykiem byli zwłaszcza wyżsi oficerowie, wykształceni w akademiach wojskowych (obsadzali sztaby). A także specjaliści z artylerii, łączności, lotnictwa, służb technicznych.

I byli wreszcie nastoletni ochotnicy i rekruci, którzy do armii trafili, bo chcieli albo musieli (gdy ruszył system przymusowego poboru). Jedni i drudzy wymagali szkolenia. A czasem też edukacji, nie tylko obywatelskiej – wielu rekrutów, zwłaszcza z zaboru rosyjskiego, było analfabetami.

Wprawdzie, jak zauważał historyk Andrzej Chwalba, oddziały z różnych części kraju „różniły się praktycznie we wszystkich swoich składnikach, poczynając od mentalności oficerów, regulaminów wojskowych, umundurowania i wyposażenia" [„TP" 43/2018 – red.], ale, koniec końców, w latach 1918-21 ta armia spełniła swą rolę: obroniła państwo.

„Dwudziestka": bilans

Wróćmy jeszcze do 20. Pułku.

Za bohaterstwo wykazane na polu walki w latach 1919-20 dziesięciu jego oficerów odznaczono Virtuti Militari. 24 oficerów i 120 szeregowych otrzymało Krzyż Walecznych. Znane są nazwiska 11 oficerów i 162 szeregowych poległych w walce, 104 zmarłych z chorób, 39 zmarłych z ran oraz 12 zmarłych w innych okolicznościach (np. wypadki). Prócz tego w 1920 r. poległo lub zaginęło 10 oficerów i ok. 600 szeregowych, których dalszy los nie jest znany (po wojnie z sowieckiej niewoli wróciło tylko kilkudziesięciu szeregowych i jeden oficer). Łącznie tzw. straty nieodwracalne (czyli nie wliczając rannych, których zwykle było dwa-trzy razy więcej niż poległych) wyniosły zatem prawie 950 ludzi – ponad 40 proc. stanu pułku w momencie, gdy wchodził on do walki.

Parafrazując ulotkę z 2 listopada 1918 r., od której zaczęliśmy tę opowieść: „kindry i chachary" udowodniły, że były „dzielnymi synami wielkich ojców". Choć cena była wysoka: małe jest prawdopodobieństwo, aby młody ochotnik, który w listopadzie 1918 r. posłuchał apelu i zgłosił się do przyszłego 20. Pułku, doczekał bez uszczerbku czasów pokoju.

© KRZYSZTOF PIĘCIAK

AUTOR jest historykiem, opracowuje dzieje 20. Pułku Piechoty. Współautor (z Andrzejem Gładyszem) książki „6. Dywizja Piechoty". Pracuje w Biurze Poszukiwań i Identyfikacji Oddziału IPN w Krakowie.

MAREK MUNZ / POLONA

REKLAMA

Wolność to dopiero początek
23.10.–25.11.2018
wystawa

Pochwała wolności — Kazania

23.10. g. 19
prof. Piotr Śliwiński

6.11. g. 19
Danuta Przywara
/Helsińska Fundacja Praw Człowieka/

20.11. g. 19
prof. Agata Bielik-Robson

www.ckzamek.pl
Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu
POZnań
CENTRUM KULTURY ZAMEK
Pochwała Wolności

Żołnierki z Ochotniczej Legii Kobiet we Lwowie. Zdjęcie datowane na okres 1918–1920.

Kobiety roku 1918

PATRYCJA BUKALSKA

Olga Stawecka i Stanisława Paleolog poszły walczyć: o Polskę, ale też o siebie. Gdy skończyła się wojna, Olga wstąpiła do zakonu, a Stanisława do Policji Kobiecej.

Jesień roku 1918 była czasem przełomu i nadziei, porażek i triumfu. Wtedy to we Lwowie – podczas walk polsko-ukraińskich o miasto, które dla Polaków było jednym z głównych ośrodków polityczno-kulturalnych, a dla galicyjskich Ukraińców stolicą ich państwa – spotkały się dwie kobiety: sanitariuszka i łączniczka Stanisława Paleolog oraz Olga Stawecka, energiczna legionistka. Odważne, zdeterminowane, pełne pasji.

Nazajutrz była wojna

Wieczorem 31 października 1918 r. Stanisława Paleolog z siostrą wracały do domu z teatru lwowskimi ulicami. Stanisława pracowała jako urzędniczka. Wspominała potem, że było już późno, około północy. Szły ulicą Teatyńską, gdy usłyszały jęk. Potem miały się dowiedzieć, że były mimowolnymi świadkami pierwszych starć z Ukraińcami, którzy tamtej nocy postanowili przejąć władzę w mieście oraz Galicji Wschodniej.

Gdy następnego ranka Stanisława dotarła do swojego urzędu, ukraiński strażnik nie wpuścił jej już do budynku. Tego dnia, 1 listopada, zaczęła się wojna. Byli pierwsi zabici i ranni. Stanisława zgłosiła się jako sanitariuszka. Ale, jak wspominała, była nią tylko jeden dzień, bo „sanitarjuszek było bardzo wiele, żołnierzy zaś walczących z bronią w ręku – bardzo mało".

Już wtedy, 1 listopada, w Komitecie Obywatelskim Polek Stanisława poznaje Aleksandrę Zagórską, która organizuje oddział kobiet-kurierek. W warunkach chaotycznych walk ulicznych, gdy początkowo nie było linii frontu, lecz wiele izolowanych polskich punktów oporu, rola łączniczek była kluczowa (do łączności wykorzystywano też miejskie kanały).

Stanisława nie musiała się zastanawiać. W kolejnych dniach kursowała z raportami i rozkazami. W czasie jednej z wypraw została ranna w ramię. Ale, opatrzona, nie przerwała służby. Jako kurierka służyła też jej siostra Helena.

Po przejęciu kontroli nad miastem przez polskie wojsko kurierki nie były już potrzebne. Ale nie chciały wracać do domów. Wtedy Zagórska zorganizowała Ochotniczą Legię Kobiet, a Paleolog została jej adiutantką.

W tym czasie Olga Stawecka (właściwie na imię miała Leopoldyna, ale bliscy nazywali ją Olgą i z czasem przyjęła to imię) mieszkała w Bochni i Krakowie. Miała ↦

↦ już za sobą doświadczenia wojskowe: jeszcze przed I wojną światową była członkinią Związku Strzeleckiego w rodzinnej Bochni. Gdy wybuchła wojna, w męskim przebraniu miała wstąpić do Legionów Piłsudskiego.

Gdy teraz dotarły do niej wieści o walkach we Lwowie, wyruszyła tam z grupą koleżanek – jak ona zdeterminowanych, by walczyć z bronią w ręku. W Ochotniczej Legii Kobiet została szybko komendantką oddziału wartowniczego – najpierw w Stanisławowie, dokąd została wysłana po opanowaniu miasta przez Wojsko Polskie w maju 1919 r. Potem, gdy Zagórską wezwano do Warszawy, Olga objęła dowództwo kobiecej Legii we Lwowie. Następnym etapem było Wilno, gdzie dowodziła legionistkami w czasie wojny polsko-bolszewickiej.

Doceniana, awansowana na porucznika, otrzymała Krzyż Walecznych i odznakę „Orlęta".

ZDJĘCIE Z KSIĄŻKI „ZARYS HISTORJI WOJENNEJ O.L.K."

Stanisława Paleolog w mundurze oficerskim, zdjęcie z okresu międzywojennego.

„Śmiali się z nas"

Oddziały Ochotniczej Legii Kobiet – regularnej formacji wojskowej dla dziewcząt i kobiet, które chciały służyć z bronią w ręku – działały nie tylko we Lwowie. Bataliony OLK istniały też w innych częściach kraju. W marcu 1919 r. statut Legii podpisał osobiście Józef Piłsudski.

Kobiety z Legii były kurierkami, przenosiły przez linię frontu meldunki i broń, pełniły też funkcje pomocnicze w administracji. Ważna była ich służba wartownicza: od tego zależało, aby maruderzy wojskowi i cywilni nie rozkradali cennej amunicji i żywności dla żołnierzy, aby pociągi przejeżdżały przez Lwów z nienaruszonym ładunkiem, aby w obiektach wojskowych panował porządek. Gdy trzeba było, trafiały również na pierwszą linię walk, aby odciążyć mężczyzn. Zdarzało się, że obsługiwały działa.

Kobiece formacje były cenione przez przełożonych za niezwykłą dyscyplinę i poświęcenie. Jednak równie często spotykały się z niewybrednymi komentarzami ze strony cywilów czy kolegów.

Weronika Ruzgis, ochotniczka Legii w Wilnie, tak pisała o pierwszym okresie swojej służby: „Z początku było nas bardzo niewiele. Chodziłyśmy na ćwiczenia i było nam bardzo trudno żyć, bo nie miałyśmy jeszcze umundurowania ani prowiantów. A ludzie patrzyli na nas jak na jakieś dziwolągi i wyśmiewali się z nas, kiedy maszerowałyśmy ulicą i nam było tak bardzo przykro, bo myśmy przecież za nich wszystkich poszły do wojska".

Czasem legionistki miały dość pokornego znoszenia obraźliwych uwag. Stanisław M. Jankowski przytacza w swej książce „Dziewczęta w maciejówkach" historię, jak oddział kobiet pod dowództwem Olgi Staweckiej błyskawicznie rozbroił złośliwych kolegów. Stawecka zażądała ukarania zaczepiających je żołnierzy dwutygodniowym aresztem. Dostali tylko po trzy dni, bo „sam fakt przyprowadzenia przez legionistki i wstyd, jakiego się najedli, to dobra nauczka dla innych".

W szeregach Legii służyło w sumie kilka tysięcy kobiet. Wiele z nich miało odegrać istotną rolę także później – jak Wanda Gertz (później żołnierka Kedywu AK) czy Maria Wittek (pierwsza polska generał).

W poszukiwaniu ideału

Zanim powstała Legia, kobiety, które chciały walczyć z bronią w ręku, nie miały wielu możliwości.

Jedną z nich było zaciągnięcie do Legionów, ale w męskim przebraniu. Co wcale nie było rzadkością. Tak zrobiła wspomniana Wanda Gertz (przedstawiając się jako „Kazimierz Żuchowicz") i podobno również Olga Stawecka (zastrzeżenie jest konieczne, bo są na ten temat różne relacje).

W ich wspomnieniach widać olbrzymie pragnienie zrobienia czegoś więcej, poza np. szykowaniem paczek dla żołnierzy. Wolę działania czy też – nawet jeśli zabrzmi to patetycznie – poświęcenia się dla ojczyzny.

Taką energiczną idealistką była Olga, która urodziła się w Bochni w 1896 r., w wielodzietnej i pod wieloma względami typowej małopolskiej rodzinie. Na jej dorastanie rzucała cień trudna sytuacja domowa: ojciec był alkoholikiem.

– O wychowanie dzieci bardzo dbała jednak matka. Olga skończyła szkołę powszechną i jeden rok seminarium nauczycielskiego. Matka chciała, by córka mogła się dalej kształcić, ale nie było to możliwe – opowiada Felicja Wieczorek, członkini redakcji „Wiadomości Bocheńskich". – Olga bardzo kochała przyrodę. Mieszkała z rodzicami na Podedworzu. Jej dom rodzinny mieścił się w pobliżu istniejącej do dziś kapliczki. W czasach jej dzieciństwa były tam łąki, lasy, kwitły wrzosy, wypasały się owce. Zachowało się jej zdjęcie z tamtego czasu – jest taka szczęśliwa...

Olga wyrasta na idealistkę, szukająca czystego i wspaniałego celu, któremu mogłaby się poświęcić.

Gdy zaczęła się I wojna światowa, miała niespełna 18 lat. Nie chciała być bezczynna. Według jednych relacji włożyła męski mundur strzelecki i dołączyła do Legionów, w których walczył już jej brat Edward. Według innych relacji była sanitariuszką. Z frontu wróciła na prośbę matki, by pomóc jej w opiece nad chorującym ojcem. Za wszelką cenę chciała służyć dalej – pracowała więc w szpitalach wojskowych w Przemyślu, Krakowie i Bochni.

Z jej pamiętnika wyłania się kobieta zdeterminowana, twarda, oddana służbie. W wielu sprawach była bezkompromisowa, nie widziała usprawiedliwienia dla słabości. Bywała krytyczna i surowa wobec podkomendnych, ale jednocześnie starała się być sprawiedliwa i spojrzeć głębiej niż tylko na pozory.

W książce „Dziewczęta w maciejówkach" czytamy o żołnierce, której zarzucono bliskie kontakty z oficerem. Olga odmówiła usunięcia jej i ukarania. Była wściekła – na oficera. W liście do przyjaciółki z wojska tak pisała o podwładnej: „upadła nie przez własną winę, tylko tego bydlęcia podporucznika (...). Ten upił ją i na nieprzytomnej powyższego dokonał, a potem gdy nie chciała być jego kochanką, pod pozorem, że mu ukradła pieniądze, odesłał do Ciebie".

O wolność kraju i swoją

Rok 1918 i pierwsze lata niepodległości były dla Olgi, Stanisławy i innych kobiet z Legii czasem wielkich emocji, spełnienia marzeń i chyba również szczęścia. Służyły w ciężkich warunkach, zakwaterowane w wilgotnych barakach, znosząc kąśliwe uwagi. Czuły się silne i wolne – robiły to, co uważały za słuszne.

Paradoksalnie, może właśnie dlatego niektóre z nich nie mogły odnaleźć się później już w wolnej Polsce. Kobietom, które nieraz decydowały o życiu i śmierci, które były pewne siebie i niezależne, trudno było nagle znaleźć się w sytuacji, gdy ich aktywność miałaby ograniczyć się do obowiązków domowych. Stanisława i Olga nie były tu wyjątkami.

W 1922 r., już po rozwiązaniu Ochotniczej Legii Kobiet, 30-letnia Stanisława zostaje zwolniona z wojska. Ma już stopień porucznika i wiele odznaczeń, m.in. Krzyż Walecznych, Krzyż Niepodległości, Krzyż Obrony Lwowa z Mieczami.

Nagle zostaje cywilem. O tym, jak trudne było to doświadczenie, tak pisała Maria Wittek: „Zwalnianie z wojska legionistek było najcięższym dla nich zawodem życiowym. Niektóre z nich zostały bez środków do życia i w miesiącach zimowych bez dachu nad głową. Odchodziły z poczuciem wielkiej krzywdy, którą, jak uważały, czyniło im wojsko, któremu oddane były bez reszty...".

W 1923 r. Stanisława zaczyna pracę jako urzędniczka w klinice uniwersyteckiej w Krakowie. Doświadczenie związane z zarządzaniem może się jej wkrótce przydać. Ale na razie nie jest to praca, o jakiej marzyła.

„Prawem męża"

W tym czasie historia Olgi Staweckiej staje się bardziej dramatyczna. Wyraźniej też na jej przykładzie widać problemy ze społecznym i prawnym położeniem kobiet, które wtedy wyprzedziły swój czas.

Atrakcyjna, energiczna i wesoła, Olga podobała się mężczyznom, jednak sama rzadko zwracała na nich uwagę. Bardziej niż męża szukała chyba przyjaciela i towarzysza w służbie Polsce.

Kogoś takiego dostrzegła w osobie przystojnego, o kilkanaście lat starszego kapitana Józefa Popkowskiego. Ujął ją, jak pisała, „swą szlachetną duszą, pełną ideałów oraz zdrowymi zasadami". Wyszła za niego za mąż i... szybko się rozczarowała.

ZBIORY DOMU GENERALNEGO ZGROMADZENIA CÓREK MATKI BOŻEJ BOLESNEJ W KRAKOWIE

Olga Stawecka w mundurze oficerskim, zdjęcie wykonane w kwietniu 1919 r. we Lwowie.

Na tyle mocno, że z zachowanego zdjęcia ślubnego pan kapitan został wycięty.

„W trzy dni po ślubie już złożyć w grób marzenia, zostać gospodynią dbającą, by mąż miał dobrą kawę, ulubioną pieczeń na obiad i w ogóle wegetować – na to ja się zgodzić nie mogłam. Że kiedyś to nastąpi – no to dobrze; kiedyś na to ja się decyduję, ale zaraz po ślubie – gdy mąż mój służy Ojczyźnie, a ja miałam pole wolne do pracy, chciałam to wykorzystać i mieć zadowolenie moralne" – pisała do przyjaciółki Heleny Mniszkówny.

Przede wszystkim zraniło ją to, że mąż starał się zmusić ją do porzucenia wojska i napisał w tej sprawie do dowództwa, żądając zwolnienia jej ze służby na froncie „prawem męża". A ponieważ w razie gdyby jego żądanie nie zostało spełnione, zagroził Legii sądem, Olga została wycofana z walk w rejonie Wilna.

To była dla niej hańba, której nie mogła wybaczyć. Jej idealizm i bezkompromisowość razem z impulsywnością spowodowały, że zostawiła męża. Czuła, że jej wiara w człowieka została złamana.

Na wieść o trzecim powstaniu śląskim, w czerwcu 1921 r. rusza znów tam, gdzie toczy się walka. Znów szuka wspólnoty, oddania w służbie dla idealnej ojczyzny. „Miejsce moje tam wśród szczęku zbroi, huku dział, a nie tutaj. Tutaj niech na etapie [tj. na tyłach – red.] pracują ci, co nie zdolni broni nosić" – zapisała.

Na Śląsku jest kierowniczką tzw. czołówki sanitarno-aprowizacyjnej, jeździ na zwiady. Ale także Śląsk ją rozczaruje. Narzeka na interesowność ludzi, upadek obyczajów, na brak dyscypliny żołnierzy.

– Myślę, że na jej krytyczny stosunek do tego, co zastała na Śląsku, miał wpływ fakt, że była to już faza wygaszania powstania, walki partyzanckie. Brała też udział w blokadzie Gliwic. To była inna walka i inne wojsko niż to, czego doświadczyła w Legii – mówi ks. dr Mariusz Trąba, wykładowca Uniwersytetu Papieskiego w Krakowie, który analizował zapiski Olgi.

Tam, na Śląsku, nawet propozycja wypłacenia jej żołdu uraziła ją do żywego (co chyba najlepiej pokazuje, jak idealistycznie pojmowała swoją służbę).

Wojsko okazało się miejscem już nie dla niej. Także swoje małżeństwo uważała za zakończone.

Siostra Eligia

W niepodległej już Polsce zasłużeni żołnierze mogli ubiegać się o kawałek ziemi w województwach wschodnich. Olga postanowiła skorzystać z tej szansy – nie chciała tego jednak tylko dla siebie. Jej plan był inny. Chciała stworzyć „małe, postępowe, legionowe gospodarstwo", na którym pracowałaby razem z innymi kobietami z dawnej Legii.

Nie udało się. Z tego marzenia widać jednak, że służba – podobnie jak bywa to zresztą w męskich szeregach – dała podstawy silnej więzi między legionistkami. Po zrzuceniu mundurów wiele z nich miało poczucie, że tylko one, z bagażem takich samych trudnych doświadczeń, mogą się nawzajem zrozumieć.

Po serii bolesnych rozczarowań Olga postanowiła wystąpić o unieważnienie małżeństwa – i wstąpić do zakonu.

Wybrała felicjanki, a potem – już po uzyskaniu dyspensy papieskiej w 1924 r. – wstąpiła do zakonu serafitek w Oświęcimiu. Została siostrą Eligią.

– Stawecka była bezkompromisowa, miała wizję całkowitego oddania się sprawie ideału, którego poszukiwała. Była zarazem głęboko wierząca, religijne odniesienia pojawiają się w sposobie jej pisania, mówienia o ojczyźnie. Jednak myśl o życiu zakonnym pojawiła się dopiero na pewnym etapie jej życia, być może w wyniku kryzysu duchowego – mówi ks. Trąba.

↦

Czy odnalazła się w zakonie? Ks. Trąba: – Do pewnego stopnia. Gorliwie zajmowała się dziećmi z domu dziecka, bo takie zajęcie jej przydzielono. Ale inne siostry nie mogły jej zrozumieć, niektóre podchodziły do niej z dystansem. Była dla nich osobą, która z impetem wkroczyła do zakonu ze świata zewnętrznego, z doświadczeniami życia żołnierskiego i małżeńskiego.

– W zakonie bardzo się starała. To był chyba dla niej trudny czas, ale pracowała nad sobą.

Czuła się serafitką i chciała być, jak to określała, „wierną zakonnicą z granitowego czynu" – mówi Felicja Wieczorek.

Pani komendant

Natomiast Stanisława Paleolog dostała szansę na powrót do munduru. Choć nie wojskowego: w 1925 r. powołano ją do tworzenia Policji Kobiecej w Polsce.

Została komendantką, ale ponieważ brakowało etatów oficerskich, zaczęła służbę w stopniu podoficerskim (starszego przodownika). Pierwszy policyjny stopień oficerski dostała dopiero dwa lata później. Choć – przypomnijmy – wojsko opuściła jako oficer.

I znów widać tu brak osobistych ambicji, a jedynie potrzebę służby krajowi.

Jak mówi „Tygodnikowi" prof. Bolesław Sprengel z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, samo powołanie Policji Kobiecej nie było w tamtym czasie czymś nadzwyczajnym, podobne istniały też w innych krajach europejskich. – Niezwykłość polskiej Policji Kobiecej polegała na zadaniach, które nie ograniczały się do prewencji czy opieki nad opuszczonymi dziećmi – wyjaśnia prof. Sprengel. – Polskie policjantki prowadziły też czynności śledcze. Poza tym przechodziły przez to samo szkolenie co ich koledzy, w którym nie zabrakło ju-jitsu i strzelectwa. I nosiły broń.

Polskie policjantki, co warto też podkreślić, otrzymywały już wówczas takie same pobory jak ich koledzy. Musiały mieć średnie wykształcenie – choć nie wymagano tego od mężczyzn policjantów. Poza tym do Policji Państwowej nie przyjmowano

NAC

Brytyjskie policjantki z wizytą w Krakowie, trzecia od prawej Stanisława Paleolog, 1935 r.

mężatek, a jeśli policjantka chciała wyjść za mąż, musiała odejść ze służby.

Wśród obowiązków Stanisławy i jej podkomendnych była nie tylko walka z przestępczością kobiet, ale też z przestępczością wobec kobiet i wobec dzieci. Chodziło tu zwłaszcza o zwalczanie handlu kobietami, które z Polski wysyłano do domów publicznych m.in. w Ameryce Południowej, ale także o przemoc wobec kobiet.

Z czasem nawet prostytutki zaczęły obdarzać policjantki zaufaniem. W 1928 r. Stanisława podkreślała, że „z chwilą wejścia kobiet do policji znacznie więcej wpływa zameldowań i skarg na przestępstwa natury seksualnej i obyczajowej. (...) Jest to zrozumiałe, jeśli się zważy, że kobieta skłonniejsza jest powierzyć drugiej kobiecie tajemnice swoich nieszczęść i krzywd seksualnych niż mężczyźnie, choćby dlatego, że łatwiej ją ta zrozumie i odczuje".

Handel kobietami Stanisława uważała za „objaw odwiecznego zła", który widziała w szerszym kontekście przestępstw takich jak stręczycielstwo, czerpanie korzyści z nierządu, handel narkotykami itd. Jej policjantki patrolowały nocą ulice, dyżurowały na dworcach, śledziły stręczycieli i handlarzy. Prawdopodobnie pracowały też czasem „pod przykrywką", starając się infiltrować środowisko przestępcze.

– Stanisława była niezwykle aktywna, energiczna i odważna. W pewnym momencie grupy przestępcze wydały na nią wyrok, ale nie powstrzymało jej to od dalszego działania – mówi prof. Sprengel. – To trzeba podkreślić: i ona, i inne policjantki pełniły służbę z narażeniem życia.

Proporczyk na trumnie

We wrześniu 1939 r. Stanisława Paleolog wraz ze sztabem Komendy Głównej Policji została ewakuowana na Wołyń. Jej policjantki wcielono do zgrupowania gen. Kleeberga, które walkę z Wehrmachtem i Armią Czerwoną prowadziło aż do początku października. Stanisława była kurierką generała Kleeberga.

Już pod koniec 1939 r. zaczęła działać w konspiracji, jak wiele kobiet z dawnej Legii. Służyła w wywiadzie ZWZ-AK, potem w Komendzie Głównej AK, brała udział w powstaniu warszawskim. Z wojny wyszła bardzo chora: zakażenie krwi, zapalenie opłucnej, złamany obojczyk, uszkodzone kolano. Ale dalej starała się być aktywna. Po wojnie szukał jej komunistyczny Urząd Bezpieczeństwa, ukrywała się więc, zmieniła nazwisko. Represje UB dotknęły jej bliskich.

W 1946 r. uciekła z pojałtańskiej Polski do Wielkiej Brytanii. W latach 50., mając już stopień podpułkownika, została ministrem w rządzie RP na uchodźstwie. Wydała po angielsku książkę o międzywojennych polskich policjantkach „The Women Police of Poland 1925–1939". W 1957 r. wylew krwi do mózgu spowodował paraliż – ostatnich 11 lat życia spędziła w szpitalach. Zmarła w 1968 r., w wieku 76 lat.

Olga Stawecka nie doczekała kolejnej wojny, nie musiała znów ruszać do walki. Przeżyła tylko 36 lat: zmarła w 1933 r. na gruźlicę, z którą walczyła przez lata (początki choroby datowały się jeszcze z czasu jej służby wojskowej). Spoczęła w kwaterze zakonnej na cmentarzu w Oświęcimiu.

Podczas pogrzebu na trumnie siostry Eligii – niesionej przez żołnierzy – położono czapkę wojskową, szablę i proporczyk Ochotniczej Legii Kobiet.

© PATRYCJA BUKALSKA

▪ Korzystałam z materiałów Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej, publikacji ks. dr. Mariusza Trąby i książki Stanisława M. Jankowskiego „Dziewczęta w maciejówkach".

TYGODNIK POWSZECHNY
Dodatek do „Tygodnika Powszechnego" 46/2018
Redakcja: Wojciech Pięciak, skład: Marta Bogucka, fotoedycja: Grażyna Makara, Edward Augustyn, korekta: Sylwia Frołow, Grzegorz Bogdał, Maciej Szklarczyk
Na okładce: Józef Piłsudski jako komendant Legionów, zdjęcie wykonano w 1914 r. FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO / EAST NEWS
Partnerzy dodatku:
Kraków
ECS europejskie centrum solidarności
POLIN

REKLAMA

ECS europejskie centrum solidarności

NIĆ. SPLOTY WOLNOŚCI

WYSTAWA NA 100-LECIE ODZYSKANIA PRZEZ POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI

7/11/2018 – 3/02/2019

WSTĘP WOLNY

Co łączy żałobną suknię na krynolinie
po powstańcu styczniowym
i sukienkę ślubną uszytą 120 lat później
z tkaniny sitodrukowej,
żeby przemycić ją z Berlina
dla podziemnej drukarni?

ecs.gda.pl

Sfinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017–2022

Europejskie Centrum Solidarności
Gdańsk, pl. Solidarności 1

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Z lewej: elektrownia miejska „Persenkówka" we Lwowie po walkach 1918–1919. Pośrodku: ulica 3. Maja w Gorlicach po przejściu frontu w maju 1915 r.

Bilans otwarcia

WOJCIECH MORAWSKI

Kondycja ekonomiczna II RP u progu jej istnienia była zła. Skutkom wojen towarzyszyła kiepska koniunktura światowa.

Dwudziestolecie niepodległości przypadło – z punktu widzenia światowej koniunktury gospodarczej – na trudny czas. I wojna światowa pozostawiła po sobie ogromne nierównowagi finansowe w skali całego świata, z kolei w latach 30. przyszedł wielki kryzys – największy w dziejach gospodarki rynkowej.

W sumie na dwie dekady tamtej polskiej niepodległości przypadło najwyżej kilka lat dobrej koniunktury, w okresach 1926-29 i 1936-39. Tymczasem stan wyjściowy gospodarki II Rzeczypospolitej u progu jej istnienia był fatalny, na co składało się kilka czynników. Uporządkujmy je – z punktu widzenia ich przyczyn oraz późniejszych konsekwencji.

I Zniszczenia bezpośrednie

Ziemie polskie były terenem działań wojennych zarówno w latach 1914-18, jak i podczas wojny polsko-bolszewickiej 1919-20. W ciągu pierwszego roku wojny światowej, kiedy to przez ziemie przyszłej II RP przetaczał się front wschodni, ludność narażona była na bezpośrednie skutki walk. Na samym początku wojny ofiarą zemsty za rzekomy atak cywilów na wkraczające wojsko niemieckie padło miasto Kalisz. W strefach, gdzie w latach 1914-15 front zatrzymywał się na dłużej i gdzie doszło do walk pozycyjnych (w Karpatach czy w rejonie Bolimowa i Puszczy Mariańskiej), pozostały po nich ciężkie zniszczenia, typowe dla strefy przyfrontowej.

Z kolei latem 1915 r. cofająca się armia carska gruntownie ewakuowała Królestwo Polskie, wywożąc w głąb Rosji całe zakłady przemysłowe wraz z personelem i maszynami. Wobec późniejszej rewolucji w Rosji maszyny te nigdy do Polski nie powróciły. Kiedy porównuje się zniszczenia przemysłu polskiego po obu wojnach światowych, widać charakterystyczną różnicę. Po II wojnie światowej o wiele większe były zniszczenia budynków – wynikało to z większej intensywności walk i nowych możliwości technicznych (np. masowych nalotów bombowych, których podczas poprzedniej wojny jeszcze nie było). Ale straty w maszynach były znacznie mniejsze. Maszyny te z reguły pracowały do ostatniej chwili na potrzeby gospodarki niemieckiej, a potem front przetoczył się tak szybko, że Niemcy nie zdążyli ich zniszczyć. Tymczasem po I wojnie światowej z reguły było odwrotnie: pozostały nienaruszone budynki, ale bez maszyn. W Królestwie Polskim był to rezultat owej ewakuacji rosyjskiej z 1915 r. Natomiast Galicja poniosła poważne straty na skutek trwającej kilka miesięcy okupacji rosyjskiej.

Później, po 1915 r., działania wojenne nie były już bezpośrednio dotkliwe dla ludności. Coraz większym problemem stawały się za to ograniczenia wynikające z gospodarki wojennej. Państwa centralne (a Królestwo Polskie zostało włączone w ich system gospodarczy) były objęte blokadą morską. Pojawił się problem braku tego, co wówczas nazywano towarami kolonialnymi – czyli wszystkiego, co dowożono spoza Europy.

Ponadto I wojna światowa była konfliktem, w którym mobilizacji podlegali i mężczyźni, i konie. W gospodarstwach rolnych zabrakło nie tylko gospodarza, ale również siły pociągowej. Efektem takiej sytuacji był ostry kryzys aprowizacyjny.

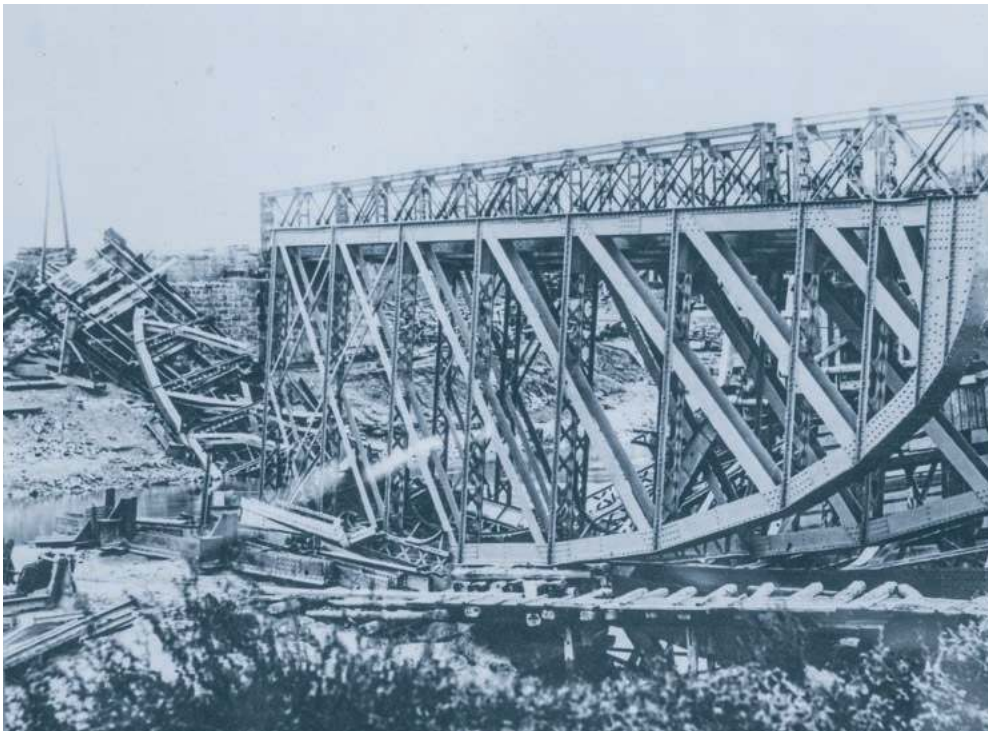

Most na rzece Wiar, na linii Przemyśl–Lwów, zniszczony podczas I wojny światowej w 1915 r.

DOMENA PUBLICZNA / POLONA // NAC X2

Z tego punktu widzenia pierwsza wojna światowa była znacznie cięższa niż druga. Skutkiem było wyczerpanie i zmniejszenie odporności społeczeństw. Dlatego epidemia grypy hiszpanki, która spadła na Europę wkrótce po zakończeniu wojny, zebrała tak tragiczne żniwo.

Podczas wojny polsko-bolszewickiej front przez długi czas przebiegał daleko na wschodzie, poza późniejszą linią graniczną. Wprawdzie w trakcie kampanii 1920 r. przemieszczał się, ale na tyle szybko, że nie zdążyły powstać poważne szkody typowe dla strefy przyfrontowej. Manewrujące armie niszczyły głównie infrastrukturę komunikacyjną, choć częste były też przypadki palenia całych wsi przez Armię Czerwoną.

Konwencja haska z 1907 r. mówiła, że na terenach okupowanych państwo okupacyjne nie może przeprowadzać poboru do wojska. Regulacja ta miała korzystne dla Polaków konsekwencje. Rosjanie tak szybko ewakuowali Królestwo Polskie, że nie zdążyli przeprowadzić mobilizacji wszystkich roczników. Państwa centralne nie miały zaś prawa tego zrobić; mogły co najwyżej liczyć na ochotników. To pozwoliło na zachowanie dużych „zapasów" rekruta.

Ziemie polskie zostały zatem wykorzystane przez władze okupacyjne dla ich własnych celów wojennych. Z drugiej jednak strony Polska wyszła z wojny światowej bez długów i z zachowanymi sporymi „zasobami" ludzkimi. Oba te czynniki okazały się istotne podczas wojny polsko-bolszewickiej.

II Koszty wojny

Dużym wyzwaniem było finansowanie wojny. Podczas I wojny światowej państwa walczące musiały zawiesić wymienialność swoich walut na złoto. Potem zwiększały emisję własnej waluty. Narastały więc przesłanki wielkich inflacji, które w pełni ujawniły się po zakończeniu działań wojennych.

Do dynamiki tego procesu jeszcze wrócimy – wcześniej musimy uwzględnić odrębny problem, dotyczący Królestwa Polskiego, które w 1915 r. znalazło się pod okupacją Niemiec i Austro-Węgier. Chodzi o emisję pieniądza na terenach okupowanych. Wspomniana już konwencja haska zobowiązywała państwo okupujące do zachowania na terenach okupowanych w miarę możliwości dotychczasowego systemu pieniężnego.

W praktyce okazało się to nie takie proste. Po przesunięciu frontu w 1915 r. ziemie polskie zaboru rosyjskiego, gdzie używano rubli, zostały odcięte od Rosji i od rosyjskich instytucji emisyjnych. Niemcy musieli jakoś rozwiązać problem dalszego zaopatrywania tych ziem w pieniądz. Początkowo wprowadzili zatem na okupowanych terenach tzw. ostruble, emitowane przez Darlehnskasse Ost – Ostbank für Handel und Gewerbe (z siedzibą w Poznaniu). Potem, w 1917 r., powstała Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa, która zaczęła emitować marki polskie.

Marka polska równa była marce niemieckiej. Gwarantem emisji było Cesarstwo Niemieckie, które zobowiązało się wymienić w przyszłości marki polskie na niemieckie „po cenie nominalnej". Emisja była zatem formą pożyczki, jaką ludność Królestwa Polskiego udzielała Berlinowi. W ten sposób emisja służyła wspieraniu wysiłku wojennego Niemiec. Zobowiązanie to zostało po wojnie dotrzymane, ale stało się to już w okresie wysokiej inflacji w Niemczech. W tej sytuacji formuła „po cenie nominalnej" oznaczała, że finansowe skutki operacji były znikome.

Wróćmy do dynamiki procesów inflacyjnych.

Doraźnie inflacji zapobiegła blokada cen i płac. W takiej sytuacji mieliśmy do czynienia z tzw. inflacją utajoną. Objawiała się ona nie tyle wzrostem cen, co pustymi półkami sklepowymi. Jeśli ludność mimo to miała mieć jakąś możliwość zaopatrzenia w podstawowe artykuły spożywcze, należało wprowadzić system kartkowy. Żeby kupić np. chleb, nie wystarczało mieć pieniądze, trzeba było jeszcze mieć kartki.

Od systemu kartkowego, który starsi czytelnicy pamiętają z lat 80. XX w., ten z czasów I wojny światowej różnił się ↦

tym, że był organizowany nie przez władze państwowe, lecz przez władze większych miast na użytek mieszkańców tych miast. Dlatego system ten objął zaledwie ok. 25 proc. ludności Królestwa Polskiego. Ci, którzy mieszkali na wsi, znaleźli się poza jego zasięgiem. Pamiętajmy, że mówimy tu o kraju, w którym mieszkańcy dużych miast byli mniejszością. Ludność wsi miała możliwość zaopatrywania się we własnych gospodarstwach.

Taki mechanizm pozwalał na „utajnienie" rozmiarów inflacji. Dlatego pełne inflacyjne skutki wojny stały się widoczne dopiero po jej zakończeniu i po uwolnieniu cen. W Polsce stało się to latem 1921 r., a walka z inflacją trwała jeszcze trzy lata. Odzyskanie równowagi makroekonomicznej stało się możliwe dopiero dzięki reformie rządu Grabskiego w 1924 r.

Większość państw europejskich przeżyła u progu lat 20. wysokie inflacje, będące skutkiem wojny. Nieliczne, w tym Polska, doszły do fazy hiperinflacji (ekonomiści lokują granicę tego zjawiska w okolicy 50-procentowej inflacji miesięcznie). W skład grupy krajów z hiperinflacją wchodziły państwa, które przegrały wojnę: Niemcy, Austria i Węgry. O przynależności Polski do tego grona zadecydowały koszty wojny polsko-bolszewickiej.

III Wielkie wyzwanie: unifikacja

Także scalenie kraju – po ponad stuletnich zaborach – przyniosło wiele problemów. Niektóre były proste, np. w Galicji obowiązywał lewostronny ruch pojazdów, a w pozostałych zaborach prawostronny. Tego typu różnice były łatwe do usunięcia, choć wymagały przeróbek infrastruktury.

Bardziej skomplikowanym wyzwaniem była unifikacja walutowa. W obiegu znajdowały się bowiem waluty dawnych państw zaborczych, a także marki polskie, ostruble, ukraińskie hrywny i karbowańce oraz liczne „waluty" emitowane przez władze lokalne. Wszystkie podlegały procesom inflacyjnym, a ich kursy były płynne, co jeszcze bardziej pogłębiało chaos.

Spośród walut będących w obiegu tylko marka polska nie była używana w żadnym innym państwie. W grudniu 1918 r. właśnie to markę polską uczyniono tymczasową polską walutą i stopniowo, do 1922 r., wycofano z obiegu inne środki płatnicze.

Unifikacja waluty była przedsięwzięciem delikatnym pod względem politycznym. Przeprowadzenie jej w sposób dyskryminujący którąś z dzielnic mogło podsycić i tak silne separatyzmy. Dodatkowo przedsięwzięcie utrudniał fakt, że wprowadzano pieniądz z założenia tymczasowy, podlegający ponadto szybkiej deprecjacji. Już wiosną 1919 r. postanowiono bowiem, że przyszłą polską walutą – po stabilizacji – będzie złoty. W tej sytuacji szybką i niewywołującą konfliktów unifikację monetarną w II RP należy uznać za sukces.

Znacznie trudniejsze było ujednolicenie zasad prawnych regulujących kwestie gospodarcze i socjalne. Tylko w niektórych dziedzinach proces ten doprowadzono do pomyślnego końca. Np. prawo bankowe ujednolicono dopiero w 1928 r., a i wówczas zachowano odrębne regulacje w województwie śląskim [jako jedyny region, Śląsk posiadał pewną autonomię – red.]. System podatkowy pozostał zróżnicowany do końca dwudziestolecia międzywojennego. Do jego ujednolicenia przygotowywał się minister skarbu Gabriel Czechowicz, ale afera związana z nielegalnym finansowaniem Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem w 1929 r., położyła kres jego karierze – i zakończyła też próby w tej dziedzinie. Potem, podczas kryzysu, już nie wracano do tego tematu.

Co stało na przeszkodzie unifikacji prawnej? Otóż jeśli nie miała ona wywołać w którejś z dzielnic frustracji, to nikt nie powinien stracić posiadanych już uprawnień socjalnych. A to oznaczało, że powinna obowiązywać swoista „klauzula najwyższego uprzywilejowania": wszystkie lokalne rozwiązania, najkorzystniejsze dla społeczeństwa, powinny być rozszerzone na cały kraj. Polski jednak nie było stać na tego typu unifikację. Zwłaszcza upowszechnienie w całym kraju niemieckich standardów w dziedzinie praw socjalnych byłoby posunięciem ponad stan.

Jeszcze trudniejsza była unifikacja gospodarcza. Świetnie rozwinięte rolnictwo zaboru pruskiego zostało odcięte od rynków zbytu i wystawione na konkurencję gorszej jakości, ale znacznie tańszej produkcji z dwóch pozostałych dawnych zaborów. Trzeba było znaleźć też nowe rynki zbytu dla śląskiego węgla i galicyjskiej ropy. Z kolei potężny przemysł włókienniczy zaboru rosyjskiego utracił rynki zbytu na wschodzie. Procesy dostosowawcze w tej sferze za sprawą mechanizmów rynkowych toczyły się swoim trybem, ale były bolesne.

Nie miała jednak racji Róża Luksemburg, twierdząc swego czasu, że ziemie polskie integralnie zrosły się z rynkami zbytu krajów zaborczych i z tego punktu widzenia niepodległość Polski byłaby szkodliwa. Proces utraty rynków wschodnich przez przemysł lekki Królestwa Polskiego zaczął się już w latach 90. XIX w., na skutek industrializacji samej Rosji. Również galicyjski przemysł naftowy najlepsze lata miał już za sobą: szczyt wydobycia ropy przypadł na 1909 r., ostatnie lata przed wojną były już mniej korzystne.

Procesy dostosowawcze musiałyby się zatem odbyć nawet bez zmiany granic.

IV Wielki problem: dekapitalizacja

Najgłębsze i najtrwalsze szkody gospodarka polska poniosła na skutek zniszczenia kapitału krajowego.

W 1914 r. polskie sfery gospodarcze dysponowały dość znaczącymi zasobami kapitału prywatnego. Szczególnie dotyczyło to zaboru rosyjskiego, który przez całe dziesięciolecia był najbardziej uprzemysłowioną częścią Imperium Rosyjskiego. Podczas wojny zasoby te uległy redukcji. Ważną rolę odegrało odcięcie Królestwa Polskiego od Rosji linią frontu w 1915 r. Powojenna inflacja dopełniła dzieła.

W połowie lat 20. Polska była krajem ogołoconym z kapitałów, a polskie firmy prywatne były cieniem swej dawnej świetności. W tej sytuacji najważniejszym zadaniem – po osiągnięciu stabilizacji – stała się odbudowa kapitału krajowego. W drugiej połowie lat 20. rozwiązanie widziano w ściągnięciu kapitałów zagranicznych. Reformy Grabskiego czyniły z Polski kraj otwarty na obcy kapitał, a przy tym solidny i gwarantujący poczucie bezpieczeństwa.

Kilka lat później wielki kryzys ujawnił wady takiego rozwiązania. Kapitał zagraniczny wycofywał się z Polski lub wykorzystywał swoją pozycję tak, że zamykał kontrolowane przez siebie zakłady w Polsce po to, by zmniejszyć konkurencję dla produkcji w krajach macierzystych. Natomiast państwo, ratując zagrożone firmy, stawało się ich właścicielem. W ten sposób wokół Banku Gospodarstwa Krajowego rósł potężny sektor państwowy i rola kapitału państwowego. Druga połowa lat 30. to już okres jego dominacji.

Z takimi okolicznościami przychodziło się mierzyć gospodarce II RP. A entuzjazm, związany z radością z odzyskanej wolności, tylko częściowo łagodził tę sytuację.

© WOJCIECH MORAWSKI

AUTOR jest profesorem, wykładowcą Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie.

REKLAMA

Stulecie odzyskania niepodległości XIII Przystanek Niepodległość

Muzeum Historii Polski zaprasza do udziału w grze rodzinnej

Labirynt Niepodległości

10.11.2018, godz. 10-20

11.11.2018, godz. 11-19

Plac Teatralny 1, Warszawa

www.muzhp.pl

Organizator

MUZEUM HISTORII POLSKI

niepodległa

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Sponsor

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

Patroni medialni

POLSKIE RADIO · pap POLSKA AGENCJA PRASOWA · TVP3 WARSZAWA · DZIEJE.PL PORTAL HISTORYCZNY · Kulturka.pl dziecko i kultura · czasdzieci.pl

Dofinansowano ze środków MKiDN w ramach *Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017–2022*

MIĘDZY RELIGIĄ A MORALNOŚCIĄ

Zdaniem wielu osób religia idzie w parze z moralnością – dlatego nigdy nie wybrałyby one na prezydenta ateisty. Ani nawet nie chciałyby mieć go za sąsiada.

KASPER KALINOWSKI

W 1973 r. dwóch psychologów z Uniwersytetu w Princeton, John Duntley i Daniel Batson, pochyliło się nad biblijną przypowieścią o miłosiernym Samarytaninie. Do tej pory zawiłe relacje między religijnością a skłonnością do pomagania analizowano głównie na polu filozofii czy literatury. Tym razem zastosowano metodę naukową. W eksperymencie wzięli udział klerycy, których poproszono o wygłoszenie odczytu w pobliskim budynku. Część z nich mia-

RICHARD BAKER / GETTY IMAGES

ła opowiedzieć o pracach, do wykonywania których najbardziej nadawaliby się studenci seminarium duchownego. Pozostali mieli przedstawić swoje refleksje na temat przypowieści o miłosiernym Samarytaninie.

W drodze na swój odczyt klerycy mijali siedzącego na chodniku mężczyznę, który wyraźnie potrzebował pomocy. Badaczy interesowało to, czy zdecydują się mu pomóc – a jeśli tak, to w jakich dokładnie okolicznościach. Głównym czynnikiem wpływającym na reakcje osób badanych okazał się pośpiech. Wystarczyło, że eksperymentatorzy ponaglali kleryka słowami: „Powinniśmy tam być już od kilku minut. Pospieszmy się!", aby wskaźnik udzielania pomocy spadł z 63 proc. (przy braku pośpiechu) do 10 proc. (przy najwyższym poziomie pośpiechu). W swojej publikacji autorzy odnotowali, że kilku badanych pędzących na odczyt o Samarytaninie niemal rozdeptało osobę potrzebującą pomocy – co w zasadzie ilustruje główne przesłanie tej przypowieści. Sam eksperyment został później zakwestionowany pod kątem metodologicznym (m.in. za przebadanie zbyt małej grupy), jednak był to niewątpliwie moment zwrotny w badaniu wpływu religii na moralność.

Problemy z definicjami

To niełatwy temat do analizy. Nie chodzi tu tylko o liczbę czynników, które należy uwzględnić – problem polega na tym, że tych zjawisk nie da się rozpatrywać całkowicie osobno. Rację miał prawdopodobnie Frans de Waal, gdy napisał: „Nie można stwierdzić, jak by wyglądała moralność bez religii. Wymagałoby to wizyty w ludzkiej kulturze, która nie jest i nigdy nie była religijna". Takiej kultury jednak nie znamy. Religia wydaje się jednym z ludzkich uniwersaliów, zjawiskiem obecnym niezależnie od kontekstu kulturowego. Jedyny wyjątek, wciąż budzący kontrowersje, mogą stanowić opisani przez Daniela Everetta amazońscy Indianie Pirahã. To niewielka społeczność posługująca się uproszczonym językiem, w którym nieobecne są mity o stworzeniu.

Problemy wynikają też ze względów semantycznych. Uzyskane w różnych eksperymentach dane nierzadko są sprzeczne, co może wynikać z małej precyzji pojęć. Często nie jest jasne, co autorzy badań rozumieją przez religijność czy moralność. Badają to, co przez te pojęcia rozumieją uczestnicy ich eksperymentów, albo odnoszą się tylko do bardzo szczególnych wskaźników tych zjawisk (np. uczestnictwa w rytuałach religijnych albo przekazywania pieniędzy organizacjom charytatywnym).

Dla większości naukowców, jak zauważa psycholog rozwojowy Paul Bloom z Uniwersytetu Yale, „religia jest jak seks dla epoki wiktoriańskiej lub marzenia dla behawiorystów: niewygodnym i zawstydzającym zjawiskiem, o którym lepiej nie mówić". Na szczęście nie wszyscy tak uważają.

Wymarzony sąsiad

Nawet jeśli sami jesteśmy niewierzący, religia na pewno wywrze wpływ na sposób, w jaki postrzegają nas i traktują inni ludzie. W 2007 r. według danych Instytutu Gallupa większość Amerykanów twierdziła, że nie zagłosowałaby na kandydata będącego ateistą (wyżej stawiano mormona, żyda lub homoseksualistę).

Co ciekawe, o moralności ateistów najlepszego zdania nie mają nawet... sami ateiści. Jak wykazali Will Gervais i współpracownicy w artykule opublikowanym w 2017 r. na łamach „Nature Human Behaviour", zarówno osoby religijne, jak i niereligijne intuicyjnie częściej przypisują naruszenia norm moralnych ateistom niż wierzącym.

Stopień religijności może być ważnym czynnikiem również przy wyborze idealnego sąsiada. Religijność na pewno zmniejszy szansę, że nasz sąsiad zostanie sprawcą napadu rabunkowego lub kradzieży. Jak zauważa amerykański socjolog S. Phillip Morgan, ludzie religijni wydają się być po prostu bardziej sympatyczni. Chyba że jesteśmy przedstawicielami mniejszości rasowej lub mamy poglądy liberalne, wtedy możemy być przez osoby wierzące dyskryminowani.

Amerykański ekonomista Arthur Brooks w głośnej książce „Who Really Cares" zauważył, że wierzący są hojniejsi niż niewierzący w wielu obszarach życia. Mając religijnego sąsiada zwiększamy więc szansę, że w razie wypadku odda nam swoją krew, a jeśli wpadniemy w kłopoty finansowe, wesprze nas materialnie – osoby wierzące częściej uczestniczą w akcjach charytatywnych. Efekt będzie działał, nawet jeśli stracimy dom – z analiz Brooksa wynika, że wierzący częściej pomagają bezdomnym.

Religijny sąsiad będzie też miał najprawdopodobniej wyższy niż osoby niewierzące poziom dwóch pozytywnych cech osobowości z popularnego modelu Wielkiej Piątki: ugodowości oraz sumienności.

W przypadku wspólnej gry religijność drugiej strony również może być naszym sojusznikiem. Nina Mažar z Uniwersytetu Bostońskiego wykazała, że religijność mogłaby zmniejszać skłonność naszego sąsiada do oszustwa. Poprosiła badanych o wymienienie dziesięciu książek, które przeczytali w dzieciństwie lub (inną grupę) o spisanie dekalogu. Następnie badani wykonywali zadanie numeryczne, podczas którego pojawiała się okazja do oszukiwania. Jak się okazało, grupa osób, które miały spisać dziesięć przykazań, oszukiwała rzadziej od osób, które miały wymienić tytuły przeczytanych książek.

Inny eksperyment wykazał, że w klasycznym dylemacie ekonomii behawioralnej, znanym jako gra w dyktatora, gdzie dwójce osób proponuje się pulę pieniędzy, a jedna z nich ma decydować, jak podzielić je między uczestników, osoby religijne okazują się hojniejsze.

Pod obserwacją

Religia jest jednak zachowaniem społecznym – trudno sobie wyobrazić religię mającą jednego wyznawcę. W sensie społecznym religia to nic innego jak grupa ludzi, którzy są blisko, mają zbliżony światopogląd i razem uczestniczą w rytuałach. Dlatego w kontekście moralności niełatwo jednoznacznie wydzielić to, co typowe dla religii, od tego, co właściwe wszelkim przejawom życia społecznego.

Tymczasem gdy znajdujemy się w otoczeniu innych, zachowujemy się inaczej niż wtedy, gdy przebywamy w samotności – taki efekt pojawia się także wtedy, gdy jesteśmy obserwowani. Rzadziej oszukujemy, jeśli nadarzy się ku temu okazja, i chętniej współpracujemy. Jak dowiódł zespół Melissy Bateson z Uniwersytetu w Newcastle, samo umieszczenie podobizny oczu nad puszką, do której studenci mieli wrzucać należność za kawę, sprawiło, że liczba opłat wzrosła trzykrotnie. Wystarczy również umieścić podobiznę oczu, aby ludzie (nawet mając świadomość własnej anonimowości) zachowywali się hojniej w dylematach ekonomii behawioralnej, takich jak wspomniana gra w dyktatora. Sama podobizna ludzkich oczu sprawia nawet, że ludzie mniej śmiecą.

Niektórzy twierdzą, że fenomen ten wyjaśnia, dlaczego osoby religijne wypadają ↦

↦ w eksperymentach jako bardziej moralne. Religie często zakładają w końcu istnienie wszechmocnego bóstwa, wierzący działają zatem niejako pod nieustanną obserwacją. Trudno jednak byłoby bronić tezę, że przekonanie o boskim obserwatorze to jedyny powód godnych pochwały zachowań osób wierzących. Nawet jeśli one same nie zdają sobie z tego sprawy, nasze np. altruistyczne tendencje sięgają o wiele głębiej.

Różne religie formułują różne nakazy moralne, choć ich rdzeń w wielu przypadkach jest zbliżony – służą interesowi grupy i zachęcają do niesienia pomocy.

Choć temat wymaga dalszych badań, religia wpływa np. na sposób interpretowania przez nas sytuacji społecznych i innych ludzi. Według ustaleń Adama B. Cohena i Adama Rozina z University of Pennsylvania, religia warunkuje sądy moralne w odniesieniu do innych ludzi. Podczas gdy chrześcijaństwo akcentuje stany umysłowe i intencje, judaizm koncentruje się bardziej na uczynkach. Chrześcijanie i żydzi inaczej oceniają więc osobę, która np. nie lubi ich rodziców, jednak się nimi starannie opiekuje. W przypadku chrześcijan sąd będzie zdecydowanie bardziej negatywny.

Religii nie można jednak zredukować wyłącznie do kwestii społecznych, ponieważ wywiera także wpływ na przekonania jednostek.

Co ciekawe, jak wynika z ustaleń Pew Research Center, można zaobserwować znaczące różnice między regionami świata, jeśli chodzi o rozłączność moralności i religii – aż 85 proc. Czechów jest zdania, że nie trzeba wierzyć w Boga, aby być osobą moralną. Podobnego zdania jest tylko 9 proc. Senegalczyków – i niemal żaden Egipcjanin ani Jordańczyk. Do refleksji zmuszają statystyki kryminalne. Nasi, bardziej świeccy, południowi sąsiedzi statystycznie popełniają mniej przestępstw niż Polacy.

Budzenie demonów

Ale religia wyzwala nie tylko dobre strony ludzkiej natury. Według ustaleń wielu badaczy religia dzieli ludzi. Nasilenie poziomu religijności powoduje wzrost uprzedzeń i podziałów międzygrupowych. Przykładów nie trzeba szukać daleko – częste zamachy w krajach arabskich, zamieszki prowokowane przez buddystów w proteście przeciw muzułmanom w Birmie, krwawy konflikt między protestantami a katolikami w Irlandii Północnej.

> Wystarczy umieścić podobiznę oczu, aby ludzie zachowywali się bardziej hojnie, rzadziej oszukiwali i mniej śmiecili. **„Moralny" znaczy często „obserwowany".**

Religijność powiązana jest również z uprzedzeniami rasowymi. W artykule o dość kontrowersyjnym tytule „Religia i wspieranie zamachów samobójczych", opublikowanym przez zespół Jeremy'ego Gingesa, zaobserwowano, że częstotliwość, którą Palestyńczycy uczęszczali do meczetu (choć nie częstotliwość samych modlitw), pozwalała przewidzieć ich poparcie dla ataków samobójczych. Również uczęszczanie do synagogi przez Izraelczyków pozytywnie wpływało na ocenę potencjalnego ataku samobójczego dokonanego przez Izraelczyka-Żyda. Do refleksji zmusza fakt, że studenci, którzy uczęszczali do meczetu częściej niż raz dziennie, byli niemal trzykrotnie bardziej skłonni uznać, że islam wymaga samobójczych ataków (w porównaniu do ich rówieśników, którzy do meczetu uczęszczali rzadziej).

Pod wpływem kultury

Opublikowano tysiące badań potwierdzających pozytywny wpływ religii na moralność. Nie ulega wątpliwości, że religia w wielu obszarach wpływa pozytywnie na funkcjonowanie jednostek. Jednak zależność ta jest skomplikowana i należy być ostrożnym z formułowaniem ostatecznych wniosków. Wartościowe uwagi krytyczne pod adresem omówionych powyżej badań przedstawił Luke V. Galen, psycholog z Grand Valley State University. Po pierwsze, tylko część badań miała charakter eksperymentalny, tzn. taki, gdzie badacze manipulowali zmiennymi, które chcą zbadać. A tylko takie badania pozwalają na wyciąganie wniosków przyczynowo-skutkowych. Dodatkowo, wnioski wyciągnięte z wielu badań mogą być nieprawdziwe. Autorzy nie zwracali uwagi m.in. na zniekształcenie poznawcze, które polega na ocenianiu osób religijnych jako bardziej pomocnych i nastawionych na współpracę niż osoby niereligijne. Zniekształcenie to wpływa na oceny zachowań nawet wtedy, kiedy osoby wierzące i niewierzące wykonują dokładnie tę samą czynność. Co równie ważne, wiele z tych badań ma charakter samoopisowy – a jakich odpowiedzi możemy się spodziewać po osobach deklarujących się jako religijne, jeśli pytamy je o pomaganie innym, dobroczynność i hojność? Osoby religijne, siłą rzeczy, oceniają same siebie jako pomocne. Jak udowodnił wspomniany już Daniel Batson, jeśli stosujemy metodę nazywaną introspekcją (osoba sama opisuje nam swoje stany wewnętrzne), możemy się spodziewać nadmiernego podkreślania cech związanych z pomaganiem innym – ponieważ tak chcemy być postrzegani.

Problem jest również z zachowaniami prospołecznymi. W wielu badaniach nie odróżniano faktycznych zachowań prospołecznych od powszechnej tendencji do faworyzowania i preferowania grupy własnej. Galen z kolei zauważa, że wiele danych opisujących zwiększony poziom dobroczynności osób religijnych wynika po prostu z faktu, że organizacje religijne są jednocześnie największymi organizacjami charytatywnymi. Niektóre dane (np. raport Boston College's Center on Wealth and Philanthropy) postulują nawet, że wraz ze wzrostem religijności wzrasta poziom dobroczynności, jednak wyłącznie w odniesieniu do kościoła czy synagogi, a nie świeckiej działalności charytatywnej.

Z czysto naukowego punktu widzenia zarówno religia, jak i moralność są wytworami tych samych procesów ewolucyjnych, choć prawdopodobnie pojawiły się w różnym czasie. Tak jak niemal wszystkie ssaki, jesteśmy skłonni do pomagania innym (choćby najbliższym krewnym lub osobom z naszego otoczenia). Jesteśmy również istotami o niesamowitych zdolnościach poznawczych, które – prawdopodobnie jako jedynym istotom na Ziemi – pozwalają nam wierzyć w nadprzyrodzone zjawiska i doszukiwać się sensu w otaczającym nas świecie. Powstanie religii pozwoliło połączyć obie te sfery – tak ściśle, że dziś trudno jest choćby myśleć o moralności poza religią. Wydaje się jednak, że przynajmniej w teorii mogą one funkcjonować osobno – i że nie zawsze idą w parze.

© KASPER KALINOWSKI

Paraliżująca jasność

KATARZYNA TRZECIAK

Cień to fenomen mediacji, która stała się widzialna i rozbija iluzje niewinnej bezpośredniości. Medium rodzi się więc z cienia.

Gdy Nietzscheański Zaratustra patrzył w słońce, widział w nim twórczość niewinną. Pod słonecznym niebem ujawnia się niewinność, która nie potrzebuje języka – tworzy bez zapośredniczeń niosących ryzyko deformacji. Słońce to mit nadziei na świat uobecnionego sensu – doświadczanego wprost, bez zakłóceń. Przeciwieństwem słonecznej niewinności jest cień – zniekształcająca przesłona, która zaburza czyste oko i wypacza mowę. Cień to fenomen mediacji, która sama stała się widzialna i swoją widzialnością rozbija iluzje niewinnej bezpośredniości. Medium rodzi się więc z cienia.

Hasłem tegorocznej edycji festiwalu Ars Cameralis jest „Cień słońca", którym dla Guillaume'a Apollinaire'a, patrona 27. odsłony śląskiego wydarzenia, jest fotografia. Ambiwalencja sztuki fotograficznej polega, zdaniem francuskiego poety, na jej podwójności. Zdjęcie to fragment, wycinek rzeczywistości, ale i narzędzie jej ustanawiania: świat na fotografii jest ograniczony ramą medium – bez niej jednak pozostałby niewidzialny.

Widmowy charakter obrazu fotograficznego, jego zdolność zaburzania czasowego kontinuum (przeszłość nawiedzana przez teraźniejszość) czynią z niego medium na wskroś nowoczesne. Jego paradoksalna istota polega przecież na tym, że proklamując radykalną zmianę, wciąż grzęźnie w starych formach. To właśnie ten aspekt fotografii zwrócił uwagę Apollinaire'a próbującego uchwycić pęd modernizującego się świata, który go tyleż fascynował, co przerażał. Snujący fantazje o postępie i prognozujący nadejście nowych wynalazków, francuski poeta nierzadko uginał się pod własnymi wizjami – wtedy, przerażony, szukał bezpiecznego schronienia w intymności własnej pamięci.

Fotografię i nowoczesność łączy szczególny stosunek do czasu, którego linearny upływ okazuje się wcale nie tak oczywisty. Przeszłość aktualizuje się w teraźniejszości, podszywa ją, przez co sama ulega zniekształceniu. Chodzi o ten rodzaj szoku, którego doświadczamy na widok zdjęcia dawno zmarłej, ale wciąż bliskiej nam osoby.

Podczas tegorocznej edycji Ars Cameralis ta osobliwa natura czasu ujawni się na kilku poziomach. W przestrzeniach Muzeum Zamkowego w Pszczynie troje artystów: Alex Grein, Fabien Marques i Dominik Ritszel będą ingerować w naznaczone przeszłością wnętrza. Artyści dokonają więc wykolejenia czasu, wytrącenia go ze sztywnych kategorii, a ich interwencje ujawnią problematyczny status zamkowej przestrzeni. Zamek jako obiekt materialny i symboliczny przynależy do zamkniętej przeszłości. Jednak tę oczywistość można podważyć poprzez zderzenie różnych mediów – dzięki cieniowi słońca, który zaburza iluzję czystego oka.

> **Apollinaire próbował uchwycić pęd** modernizującego się świata, który go tyleż fascynował, co przerażał.

O czasie, który nie daje się łatwo i bezpiecznie okiełznać, przypomni także koncert Daniela Blumberga, brytyjskiego muzyka, który przywraca teraźniejszości tradycję anglosaskiego songwritingu. Podobne zawirowania wprowadzi rozbudowany blok punkowy, którego częścią będzie spotkanie z Gillian McCain, współautorką książki „Please Kill Me". Towarzyszyć jej będzie Danny Fields, jeden z bohaterów tej opowieści o genezie amerykańskiej kontrkultury. Uzupełnieniem rozmowy o jednym z najważniejszych buntów w dziejach zachodniej kultury będzie koncert Siksy, która w przewrotny sposób reaktywuje i ożywia spetryfikowane tradycje punka. To, co robi, rzuca na pozornie przejrzyste i oczywiste obszary dzisiejszego społeczeństwa tak bardzo potrzebny cień. W ten sposób Siksa rozbija pozorną neutralność opresyjnych sensów – osłabia ich słoneczną jasność, która paraliżuje krytyczny wymiar komunikacji.

Apollinaire'owski cień słońca jako centralny obraz 27. edycji festiwalu Ars Cameralis nie jest więc ciemną plamą w plamie światła. To raczej zakłócenie w procesie niewinnego tworzenia, zawsze już zależnego od medium i uwikłanego w czas. Jeśli bowiem słońce łudzi obietnicą czystego przekazu bez zapośredniczeń, to cień wymusza konieczność mediatyzacji. A gdy pojawia się medium, pojawia się też szansa na rozmowę. Ta ostatnia jest w końcu możliwa tylko wówczas, gdy rzeczywistość przestaje być domeną oczywistości i przejrzystości. Mówiąc inaczej, cień słońca to niezbędny moment krytyki. ©

Zapraszamy na Festiwal Ars Cameralis (w tym roku pod hasłem „Cień słońca") między 8 a 23 listopada. Więcej informacji na stronie **arscameralisfestiwal.pl**

KTO MY TERAZ

JULIUSZ CHRZĄSTOWSKI, AKTOR:

Nasz teatr krytyczny raczej spuszcza powietrze z napompowanego megalomanią balona. Jestem w teatrze, któremu zawsze było bliżej do Gombrowicza niż Sienkiewicza.

ANNA GOC: W Starym Teatrze będzie teraz sezon niepodległościowy?

JULIUSZ CHRZĄSTOWSKI: Trudno, by scena narodowa nie odniosła się do stulecia odzyskania niepodległości. Będziemy stawiali pytania o to, „kto my dziś". Próbowali definiować siebie wtedy i dziś.

Ale zanim Rada Artystyczna – złożona z aktorów Starego, powołana po zmianie dyrekcji w teatrze – przejęła odpowiedzialność za repertuar i dzięki jej staraniom do teatru wrócili najlepsi reżyserzy, obawialiście się tego sezonu.

Tak, bo oczekiwania władzy wobec teatru są często, a ostatnio jeszcze częściej, związane z nieszczęsnym romantycznym paradygmatem polskiego patriotyzmu. Zresztą trudno się dziwić, jeśli minister Wanda Zwinogrodzka mówi, że wymiana dyrekcji w Narodowym Starym Teatrze w Krakowie miała służyć „wzbogaceniu repertuaru o tytuły nacechowane wrażliwością konserwatywną".

A nasz teatr krytyczny raczej spuszcza powietrze z napompowanego megalomanią balona. Jestem w teatrze, któremu zawsze było bliżej do Gombrowicza niż Sienkiewicza.

Przykład?

Niech będzie niekrakowski. Na 11 listopada reżyseruję widowisko teatralne na pięknym rynku w mojej rodzinnej Świdnicy. I tam zderzam się z jednej strony z pragnieniem, by było to wesołe święto, a z drugiej słyszę pytanie: „Ale bez hymnu będzie?". Nie umiemy mówić o niepodległości niesztampowo, bez patosu, cierpiętnictwa, militariów i karaoke, w którym wszyscy muszą zaśpiewać „swój życia los na stos, na stos".

Wróćmy do „wrażliwości konserwatywnej". Jak Pan to rozumie?

Być może chodzi o to, by nasz teatr miał gębę, którą dorobiono Teatrowi Dramatycznemu w Białymstoku transmitując w ubiegłym miesiącu na żywo w Teatrze Telewizji spektakl „Popiełuszko", z wierchuszką działaczy obecnej partii rządzącej na widowni w pierwszym rzędzie, klaszczących do kamery, bo operator w trakcie ukłonów pokazywał ich, a nie aktorów, zakończony relacją ze złożenia wiązanki kwiatów pod pomnikiem przez związkowca Piotra Dudę (bo Solidarność sponsorem przedstawienia), tak jakby to była część spektaklu. By użyć naszego teatru, tak jak politycy partii rządzącej i przewodniczący Duda użyli teatru białostockiego. I nie chodzi o to, że mam coś przeciw tamtemu spektaklowi. Dobrze, że powstał, na tym polega różnorodność. Ale jak można wykorzystywać artystów do własnych, politycznych celów w trakcie kampanii wyborczej? Czy oni na to wyrazili zgodę? A może działacze partyjni, których na naszej widowni nie ma, mają takie wyobrażenie o roli teatru współczesnego?

Kto miałby konserwatywnie wzbogacać repertuar w Starym?

Nie wiem, bo jeśli w Polsce istnieje teatr o jakiejś „wrażliwości konserwatywnej", to jest to teatr na miałkim poziomie artystycznym. I ludzie teatru doskonale o tym wiedzą. Dlaczego Ministerstwu Kultury zdobycie tej wiedzy zajęło rok? Dlaczego dopiero po rocznym eksperymencie minister Zwinogrodzka przyznała, że „potencjał opcji konserwatywnej jest zbyt nikły", czyli że nie ma komu takiego teatru robić? Przecież to był eksperyment na naszym życiu zawodowym!

Byłem bliski odejścia ze Starego Teatru. Wahałem się: składać etat czy nie składać. Wystąpiłem gościnnie w innych teatrach w Bydgoszczy i Warszawie. Obserwowałem, jak działają, nabrałem dystansu. Nie mam wątpliwości, że najważniejsze dla aktora jest bycie w zespole aktorskim, w kolektywie. To daje siłę, rozwój, energię. W całym moim życiu zawodowym było kilka takich dobrych momentów – byłem w zespole.

Czas przeszły?

Poprzedni sezon straciliśmy. Żeby zespół aktorski mógł się rozwijać, musi brać udział w nowych premierach. Kontakt z oryginalnymi reżyserami, z nowoczesnymi modelami teatru – tego w ubiegłym roku u nas nie było. Jako instytucja wypadliśmy z kręgu festiwalowego.

Po tej przerwie trudniej wrócić? ↦

Juliusz Chrząstowski, Kraków, listopad 2018 r.

GRAŻYNA MAKARA

↦ Ze wszystkim jest trudniej. I ze złożeniem repertuaru jest trudniej, i z rozmową w bufecie. Podziały, jak wszędzie, poszły za daleko.

Została widownia, która nigdy nie była zbiorowiskiem.

Widownia Starego to nasz tlen. Ale ci wspaniali widzowie też są zniecierpliwieni. Dostaję na mesendżerze wiadomości: „Panie Julku, ile razy można oglądać »Wroga ludu«?". Albo: „»Wesele« widziałem już trzy razy, a na »Dom Bernardy A.«, przepraszam, nie pójdę. Kiedy coś nowego?".

Ale chyba po powołaniu Rady Artystycznej odetchnęliście.

Tak, szczególnie gdy się okazało, że pomysł Rady na obecny sezon został zaakceptowany na Krakowskim Przedmieściu. Cieszymy się, że po roku przerwy wrócili do nas reżyserzy. Jesteśmy jakoś posklejani na nowo. Ale posklejany materiał nigdy nie będzie miał jakości pierwowzoru. Mamy poczucie – a właściwie powinienem mówić za siebie: ja mam takie poczucie – że skaza została. Skaza, z którą niewiele da się zrobić, a która brzmi: „W wyniku fikcyjnego konkursu usunięto z funkcji dyrektora teatru Jana Klatę". Klatę, który za chwilę, jako trzeci reżyser z Polski – po Krystianie Lupie i Krzysztofie Warlikowskim – będzie odbierał w Petersburgu Europejską Nagrodę Teatralną. Najlepszym przykładem poziomu, który osiągnęliśmy jako zespół, było „Wesele" w jego reżyserii. I nagle to zostało ucięte. Teraz można pytać: czy my się z tym zgodziliśmy? A może głośno mówimy „nie"? Albo przyjmujemy zasadę: „jakoś to będzie".

To którą odpowiedź wybrał zespół Starego?

Nie daliśmy jednoznacznej. Z perspektywy czasu możemy się utwierdzać w przekonaniu, że głośne powiedzenie „nie" doprowadziłoby do samospalenia teatru na stosie. I może nawet byłaby to piękna śmierć. Ale wtedy bylibyśmy drugim Wrocławiem, gdzie w Teatrze Polskim po zmianie dyrekcji scena artystycznie właściwie przestała istnieć. Teraz pozostaje nam robić kolejne przedstawienia na jak najlepszym poziomie artystycznym. Cóż możemy więcej?

Pod koniec listopada zaczynamy nowy sezon „Rokiem z życia codziennego w Europie Środkowo-Wschodniej" Pawła Demirskiego w reżyserii Moniki Strzępki.

Kogo Pan zagra?

Przedstawiciela klasy ludowej pracującej fizycznie. Człowieka, który dzisiaj może więcej.

Dlaczego?

Dzięki możliwościom, które się pojawiły, i własnym aspiracjom.

Co Pan o nim już wie?

Dużo daje mi to, że nie mieszkam w Krakowie, tylko w sołectwie, w którym w ostatnich wyborach było tylko trzech kandydatów. Mam możliwość bycia z dala od wielkomiejskiego Krakowa.

Mój bohater na pewno zamarzył o wakacjach „olinkluziw". Ale na plaży spotyka przedstawicieli innych grup społecznych – stałych bywalców tamtych miejsc. Jego pojawienie się wywołuje ostre reakcje: „Ja nie chcę tu z nim być. On mi spieprzy moje wakacje". Jak tu uwiarygodnić mojego bohatera, co takiego robi, że tak wszyscy na niego reagują? No co, śmierdzi? Jest w kaloszach z gnojowicą? Co się musi stać, żeby reakcja na jego pojawienie się była adekwatna?

Przyzwyczailiśmy się do pokazywania Polaków na plażach: polskich – jako beneficjentów 500 plus, i zagranicznych – gdy żądają polskiej kiełbasy w polskiej strefie w Grecji.

To stereotyp. Publicystyka w teatrze zawsze jest powierzchowna, nudna, jednowymiarowa. Ale pokazując Polaka na wakacjach można przedstawić jego aspiracje, do czego dąży, jak się zachowuje nie będąc u siebie. U Demirskiego nie ma didaskaliów, trzeba kombinować. To jest twórcze. Przez długi czas nie odchodzimy od stolików. Czytamy teksty, gadamy o nich. Szukamy prawdy o naszych bohaterach we własnych doświadczeniach, w tym, co wynieśliśmy z domu.

Demirski inspiruje się powstałym 200 lat temu tekstem Jędrzeja Kitowicza „Opis obyczajów za panowania Augusta III". Czego dowiadujemy się z niego o naszych obyczajach?

Wiele spośród cech, które Kitowicz opisał 200 lat temu, wciąż w nas tkwi. Nasza obyczajność się nie zmieniła. Mój ulubiony fragment z Kitowicza jest „o sławniejszych pijakach". Wymienia ich z imienia i nazwiska, opisuje trwające kilka dni rytuały picia, opakowane w nabożeństwa, przymuszanie do picia, trzeźwienie i szukanie pretekstu, by zacząć od nowa. Czyta się to dzisiaj jak skansenowe anegdotki, ale jednak coś z tamtych Polaków w nas jest i dziś. Gdy bohaterowie „Roku z życia codziennego..." spotykają się przy wigilijnym stole, widzimy, jacy są w rodzinie, jak niewiele zostaje z tradycji, jakim piekłem potrafią być te spotkania.

Jak Pana bohater się w tym odnajduje?

Na razie wiem na pewno, że śmierć dziecka – jedna ze scen będzie jej dotyczyła – jest czymś ekstremalnym. Szukam inspiracji, by odpowiedzieć na pytanie: jak bohater, którego gram, na nią zareaguje? Jakich środków artystycznych użyć, jak to przefiltrować przez siebie? Mało się jeszcze z moim bohaterem zapoznałem. To jest grzebanie w kimś, kim się na co dzień nie jest. Czasami zastanawiam się: co on może myśleć w takiej sytuacji, jaką ma skalę wartości, na jaką sytuację może zareagować złością, a na jaką strachem. To jest takie nieustanne myślenie, jak ja bym się zachował w takich okolicznościach, a potem – jak zachowałby się on w sytuacji krytycznej, ekstremalnej. Oglądam film Wojciecha Marczewskiego „Klucznik", przyglądam się odejściu arystokratycznego świata, za którym drzwi zamyka wielki aktor, Wirgiliusz Gryń. Prosty chłop, który ma w sobie mądrość, szlachetność, a gdy patrzy prosto w oczy – mrok, grozę. Chciałbym być jak Wirgiliusz Gryń.

Ciekawi mnie, jak sobie odpowiadacie na pytanie „kto my dziś?".

Rok temu, z okazji 750-lecia lokacji miasta, przygotowałem przedstawienie w Skale koło Ojcowa. Postanowiłem opowiedzieć o tym miejscu historiami autentycznych postaci – błogosławionej Salomei, matki powstańca styczniowego, czy Dawida Nassana, Żyda, który tam mieszkał i jako jeden z nielicznych przeżył II wojnę światową. Jego historia to przepiękna opowieść o miłości, o tym, jak musiał zostawić żonę i dzieci, które nie przeżyły. Po przedstawieniu wszyscy bili brawo. Potem bankiet, herbatka. I nagle ktoś podchodzi, żeby powiedzieć: „A o tych Żydach, to wie pan, mógł pan jednak nie. Po co to tak wyciągać?".

Zrobiłby Pan jeszcze raz spektakl o Żydach?

Żadna to tajemnica, że dzisiaj w czasie projektomanii wszystkie działania artystyczne są rozpatrywane pod kątem możliwości otrzymania dofinansowania z Ministerstwa Kultury. Oficjalnie możemy powiedzieć sobie, że nie ma cenzury. Ale naciski ekonomiczne istnieją. Na ile w ramach swojej działalności artystycznej możemy być krytyczni? Gdyby dyrektor teatru publicznego aplikował o fundusze na spektakl o relacjach polsko-żydowskich w czasie wojny, pokazując, że wtedy nie tylko pomagaliśmy, czyli wbrew polityce wstawania z kolan, którą obecnie rządzący propagują, to otrzymałby grant czy nie?

I Pan się zastanawia nad sensem bycia aktorem dziś?

Iwan Wyrypajew, dramaturg i reżyser, z którym ostatnio pracowałem, powiedział podczas prób, że z jego rosyjskiej perspektywy bycie artystą niezależnym w Moskwie to niewypowiadanie się wprost na tematy, na które wypowiadać się nie można, przy jednoczesnym szukaniu innych. Pojawia się oczywiście pytanie, na ile to jest postawa koniunkturalna, na ile pragmatyczna, o tyle łatwe, że Moskwa daleko, dlatego nie chcę na nie odpowiadać, ale te słowa cały czas we mnie rezonują.

Jan Englert, dyrektor Teatru Narodowego w Warszawie, odbierał z rąk ministra Piotra Glińskiego wyróżnienie za całokształt twórczości. Przeczytałem w relacjach z uroczystości, o czym wtedy mówił – że wolność pozbawiona granic to anarchia i że ta nagroda pozwala mu wierzyć, że większość jego wyborów była słuszna. Znamienne słowa w kontekście tego, z czyich rąk tę nagrodę odbierał. Oportunizm czy celowe zabezpieczenie instytucji, którą się kieruje, tylko po to, by przejść przez trudne czasy suchą stopą?

Wszyscy, ludzie teatru, patrzyliśmy na wyniki wyborów w dużych miastach pod kątem tego, gdzie nastąpi „dobra zmiana" w teatrach miejskich. Na szczęście na taką w największych polskich miastach się nie zanosi. Gorzej z teatrami prowadzonymi przez sejmiki wojewódzkie. Po tweetach ministra Glińskiego dotyczących odczytu Jana Tomasza Grossa w Teatrze Polskim w Poznaniu nie trzeba być wróżbitą, by przewidzieć, że na takie spotkania nie ma już dzisiaj miejsca w państwowych instytucjach kultury.

GRAŻYNA MAKARA

JULIUSZ CHRZĄSTOWSKI:

Oficjalnie możemy powiedzieć sobie, że nie ma cenzury. Ale naciski ekonomiczne istnieją.

Przez prawie 30 lat w Polsce nie udało się zaszczepić świadomości, że wolność artystyczna jest niezbywalna?

Obecnie właściwie każdą aktywność artystyczną podciąga się pod akcję „Niepodległa". Mnie najbardziej ciekawi dyskusja o podległości czy niepodległości artysty dawniej i dziś. Czy wolność artystyczna, o którą pani pyta, ma swoje granice. Kilka miesięcy temu czytaliśmy wszyscy ze sceny Manifest Kultury Niepodległej, ruchu powołanego przez środowiska twórcze. Do dziś pamiętam ustęp o politykach próbujących naciskiem ekonomicznym i wyznaniowym wykluczyć z publicznego obiegu niezależnie myślących twórców. Czy to się kiedykolwiek zmieni? Nie sądzę.

„Zaczynam się bać, czy nas Pan w tę niepodległość (...) nie wpakował trochę bezsensownie" – mówi do Józefa Piłsudskiego Pana bohater – Władysław Broniewski – w „Bitwie warszawskiej 1920".

„Bitwa warszawska 1920" w reżyserii Moniki Strzępki jest na afiszu od kilku lat. Po premierze w 2013 r. mówiono nam, że gloryfikujemy w tym spektaklu postać Feliksa Dzierżyńskiego, a marszałka Piłsudskiego pozwalamy sobie pokazać jako śpiocha. Teraz okazuje się, że konteksty zmieniły recepcję spektaklu.

Jak?

Graliśmy „Bitwę" w czerwcu, przed wakacjami. Gdy Władek Broniewski wchodzi w interakcję z publicznością i namawia na wspólne wypicie toastu: „To może najpierw za tych skurwysynów, co od ilu lat nami już rządzą, żeby przestali", czuję, jak na widowni spada nagle siekiera. Jedni biją brawo i wznoszą toast. Drudzy są zmrożeni i lekko wystraszeni. Trzeci uświadamiają sobie, że właśnie wypili za koniec rządów obecnej władzy, jeszcze inni patrzą z politowaniem, że tak wprost krytykujemy, a przecież Paweł Demirski napisał ten *passus*, kiedy przy władzy byli zupełni inni.

Doktor Thomas Stockmann, którego gra Pan we „Wrogu ludu", słyszy z widowni w trakcie improwizowanego monologu do widowni: „Nie jest pan sam" – ale też: „Smutne, że pan tak kończy".

Grałem w tym sezonie we „Wrogu ludu" już pięć razy. Za każdym kolejnym mam wrażenie, że mogę powiedzieć coraz mniej o bagnie kłamstwa i oszustwa. Nie brakuje właściwych słów, ale z każdym miesiącem gęstnieją konteksty i dwuznaczności. Reakcje są coraz bardziej wzmożone. Zdanie „największym wrogiem prawdy i wolności jest zwarta większość" pęcznieje i pączkuję z każdym powtórzeniem.

Niekiedy czuję się trochę tak, choć wiem, że to porównanie jest być może przesadzone, jakby na widowni siedział smutny pan z ul. Mysiej w Warszawie parędziesiąt lat temu i zmuszał mnie do szukania innych słów, tworzenia podtekstów, mówienia nie wprost.

Autocenzury jednak nie ma.

Nie ma. Do fragmentu monologu, w którym proszę widzów o butelkę z wodą i gdy ją dostaję, prowokuję pytaniem: „A gdybym był Żydem, czy dostałbym tę butelkę? A uchodźcą? A gejem?" – za każdym razem słyszę od osoby, która podzieliła się ze mną wodą: „Tak". Ostatnio wprowadziłem jeszcze jedno pytanie: „A gdybym był członkiem ONR, czy dostałbym tę butelkę?". ©℗ Rozmawiała ANNA GOC

JULIUSZ CHRZĄSTOWSKI *(ur. 1973) jest aktorem Narodowego Starego Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie (od 2003 r.), instruktorem teatralnym. Wielokrotnie wyróżniany, m.in. Nagrodą im. Stanisława Wyspiańskiego, Nagrodą im. Aleksandra Zelwerowicza, odznaczony Brązowym Medalem Gloria Artis – Zasłużony Kulturze.*

FILIP ĆWIK / NAPO IMAGES

Monika Sznajderman

ADAM TUCHLIŃSKI / NEWSWEEK / FORUM

Paweł Sołtys

Pokolenie po

MONIKA OCHĘDOWSKA

Dorastali wśród opowieści wywodzących się sprzed ich narodzin. Nie mogli ich wtedy zrozumieć ani przetworzyć. Dzisiaj ożywiają je w urywkach, fragmentach, mikroopowieściach. Na serio.

W polskiej literaturze dokonuje się właśnie zwrot. Zmęczeni opresyjnymi rządami ironii pozwoliliśmy wreszcie, by ktoś opowiedział o naszym pochodzeniu, przeszłości i rodzinach – bez strachu, że zostanie mu wytknięta pretensjonalność, czułostkowość i egzaltacja. Uprzytomniła nam to dopiero lawina literackich nagród i nominacji dla „Fałszerzy pieprzu" Moniki Sznajderman, „Mikrotyków" Pawła Sołtysa, „Rejwachu" Mikołaja Grynberga, „Rzeczy, których nie wyrzuciłem" Marcina Wichy.

Nie dość, że wygrywają gatunki w Polsce dotąd niepopularne, to jeszcze całkiem poważnie traktujące zmilczane przez ironistów doświadczenie utraty czy żałobę. Literatura coraz częściej poddaje się afektom, nie tracąc jednocześnie z pola widzenia momentu, w którym emocje stały się transakcją, a wybory życiowe – rachunkiem zysków i strat.

Anegdoty i genealogie

Nigdy nie będzie wiadomo, jak powinno się o tym opowiadać, w pierwszej czy drugiej osobie liczby pojedynczej, może trzeciej liczby mnogiej. Albo stwarzając w miarę potrzeby jakieś nowe formy. Przejawem takiej formalnej niepewności w opisie Holokaustu jest „Rejwach" Mikołaja Grynberga (finał Nike), zbiór ponad 30 monologów, z których dwa dotyczą prawdopodobnie samego autora, a reszta jest zmyśleniem. Opowiadania łączy doświadczenie Zagłady, ale jest to głównie doświadczenie drugiego i trzeciego pokolenia ocalonych: dziewczynek, które podczas wakacji bawią się w ukrywanie w piwnicy Żydówek; dziecka, które czuje, że mama nigdy nie była kochana przez tatę; chłopca, którego na koloniach, o ironio, nazywają „Niemcem" z powodu obco brzmiącego nazwiska. Jest jeszcze inny chłopiec, którego matka nienawidzi za to, że powłóczy nogą. Później dowie się, że nogą powłóczyła również jego babka. Gdyby była zdrowa, pozwoliliby jej żyć. Nie poszłaby do gazu.

„Rejwach" rozprawia o tym, czego jako dzieci i wnuki nie wiedzieliśmy, bo wiedzieć nie mogliśmy, ale co zawsze było wokół nas obecne. Najczęściej w niedopowiedzeniu, milczeniu. Albo dokuczliwych, niezbywalnych zasadach, w domowym ustawodawstwie. „Ojciec mówił

TOMASZ PACZOS / FOTONOVA

Mikołaj Grynberg

PAWEŁ KRZYWICKI / NEWSWEEK POLSKA / FORUM

Marcin Wicha

niewiele – pisze Monika Sznajderman we wstępie do opowiedzianej w „Fałszerzach pieprzu" (Nagroda im. Jerzego Turowicza 2017) historii swojej rodziny – w zasadzie milczał". Z jakiegoś powodu jedyna lekcja wychowawcza, jakiej udzielał dorastającej córce, dotyczyła jedzenia. Mówił wtedy: „Gdy ja byłem dzieckiem i nie chciałem czegoś zjeść na śniadanie, dostawałem to na obiad, a kiedy na obiad nie zjadłem, to na kolację". Po tej przemowie zawsze wychodził z kuchni, dodaje Sznajderman. „Zapamiętałam te słowa, bo już jako małe dziecko wyczuwałam niezrozumiały dysonans pomiędzy ich – jak mi się wtedy wydawało – bezwzględnością a codzienną nadzwyczajną łagodnością ojca". Wiele lat później okaże się, że te zasady pomogły ojcu przetrwać głód w kolejnych obozach. Później, czyli wtedy, gdy Sznajderman niespodziewanie uda się odsłonić to, co było dotąd przed nią zakryte: twarze, zdarzenia i miejsca.

Dopiero z czasem Marcin Wicha zrozumie, że rodzinne sformułowanie „podczas wojny, kiedy nas przenoszono", zdawkowy wstęp do historyjki o zabijaniu głodu lekturą „Kucharza doskonałego", oznaczał warszawskie getto. W przeciwieństwie do Sznajderman – on nigdy nie pozna dat, nazwisk i następstwa wydarzeń. Zamiast tego rok w rok, podczas rodzinnych świąt, słuchać będzie nieczytelnych dla dziecka anegdot o ogłoszeniach w żydowskiej gazecie czy pijanych krowach na Syberii. W pierwszych zdaniach „Rzeczy, których nie wyrzuciłem" (podwójny laur Nagrody Nike) Wicha przyznaje, że jego matka zaciekle broniła stanowiska, iż „nie wszystko w życiu da się zamienić na śmieszne historyjki". Starsze pokolenie czasem tego próbowało. Dlatego wspomnienia, które po sobie zostawiło, są niespójne i pełne aluzji – rzadko przyjmują postać uporządkowanej opowieści. To raczej zbiór punktów, przez które nie sposób przeprowadzić jednej linii bez zagryzmolenia obrazka. Tak wygląda archipelag naszej pamięci.

Wicha napisze, że taki samotny punkt, pojedyncza anegdota, stanowi przeciwieństwo genealogii – i to zdanie jest kluczem nie tylko do „Rzeczy", ale większości małych próz, które czytaliśmy w tym roku: „Rejwachu" Grynberga właśnie, ale też „Drugiego spotkania" Macieja Miłkowskiego czy „Mikrotyków" Pawła Sołtysa.

„Pokolenie po", które w swojej książce sportretowali Grynberg i Wicha, częściowo Miłkowski, a wcześniej także Sznajderman, dorastało wśród opowieści wywodzących się sprzed ich narodzin. Nie sposób było je zrozumieć ani przetworzyć. Jeśli mimo wszystko czujemy się zobowiązani coś zrobić, pozostaje przytoczyć je właśnie w formie, w jakiej się je odziedziczyło – punkt po punkcie, we fragmentach, mikroopowieściach.

Prawda, ale wymyślona

Dlaczego Grynberg z tych fragmentów układa historie fikcyjne, czemu zmyśla świadectwa? Ten zastosowany przez autora „Rejwachu" zabieg ujawnia zasadę dotychczasowego funkcjonowania odpominanych historii – obrazy przekazywane przez rodziców i dziadków, nawet jeśli nie pochodziły z bezpośrednich doświadczeń czy osobistych przeżyć, są tak silne, że potraktowane zostały przez kolejne pokolenia równie realnie jak samodzielnie zdobywane wspomnienia, więcej – czasem nieświadomie zostają przetworzone i przeżyte na nowo, jak w scenie niewinnej zabawy trzech dziewczynek w piwnicy zakopiańskiej chałupy.

„Poród był bardzo ciężki, bo musiałam być cicho. Pecha miałyśmy, bo akurat za ścianę powrócili Niemcy. Gdyby się o nas dowiedzieli, to koniec, pozabijają wszystkich, łącznie z dzieckiem. Trzymałam się za buzię, by nie wydać jednego dźwięku. Strasznie się bałyśmy, że dziecko po urodzeniu zacznie piszczeć. Urodziłam zdrową lalkę baby born, która na szczęście potrafiła być cicho. Nasze życie nabrało rumieńców".

Jak bardzo doświadczenie opisane przez Grynberga w opowiadaniu „Po aryjskiej stronie" organizuje naszą wyobraźnię, będąc jednocześnie źródłem największego lęku i popularnej rozrywki, najlepiej świadczy obecny w tym roku na ekranach naszych kin film z pogranicza horroru i *science ficton* „Ciche miejsce" (reż. John Krasinski), w którym pięcioosobowa rodzina, w tym ciężarna kobieta, stara się przetrwać w świecie pełnym potworów, które zwabia każdy, najmniejszy nawet hałas. Życie ukrywającej się w piwnicy rodziny Abbottów koncentruje się więc na ↦

↦ tym, by nie wydawać i nie generować żadnych dźwięków.

Grynberg zwykł powtarzać, że „Rejwach" to prawda, którą wymyślił. Może zmyślenie konieczne jest również dlatego, jak podpowiada Maciej Miłkowski w jednym z opowiadań „Drugiego spotkania", że ze względu na charakter obecnych świadectw w strefie faktu niewiele da się zrobić. Bohater „Nie-fikcji" Miłkowskiego, miłośnik Maurice'a Maeterlincka, kupuje w jednym z łódzkich antykwariatów egzemplarz „Mądrości i przeznaczenia" z 1925 r. „Cena: siedem złotych. Stan: bardzo dobry z minusem. W książce znajdują się liczne podkreślenia i kilkanaście komentarzy na marginesach, ponadto opatrzono ją dwoma stemplami (tusz mocno wyblakły, ale czytelny). Pierwszy ogranicza się do inicjału i nazwiska: »M. Perlmann«. Drugi rozwija imię i zawiera również adres: »Mose Perlmann, Kraków, Dąbrowskiego 4/13«".

Bohater Miłkowskiego z rozszyfrowanych komentarzy oraz stempla wnioskuje, że właściciel książki mógł być jednym z robotników fabryki Oskara Schindlera, któremu udało się przeżyć wojnę – ostatnie zapiski dotyczą lektury Marka Hłaski. Wnioski? Perlmann był człowiekiem nieszczęśliwym i samotnym. Było też w jego życiu jakieś „Ty", do którego zwracał się wprost na marginesach „Mądrości i przeznaczenia". Wszystko, co w opowiadaniu następuje dalej, jest fikcją. I nie może być inaczej, bo przecież w chwilach takiego zmartwychwstania intelekt staje się bezradny. Szczęśliwie, zdaje się mówić Miłkowski, jesteśmy obdarzeni także afektem oraz intuicją – i to ona, dyktując narratorowi możliwy rozwój zdarzeń, Perlmanna ostatecznie ocala. Wygląda to trochę tak, jakby Miłkowski opisał metodę zastosowaną w „Rejwachu", czyniąc swoim bohaterem kogoś, kim mógłby być sam Grynberg, łączący inspirowane intuicją zmyślenie z elementami biografii spisanej z wytartych marginesów, domysłów, wspomnień. „Jesteś dzieckiem ocalonych, psychologiem, fotografem – zwraca się do Grynberga w książce jeden z bohaterów – chcę, byś mi zrobił portret, ale taki, który pozwoli mi się połączyć z dziadkiem".

Grynberg i Wicha, ale także Paweł Sołtys w „Mikrotykach" (Nagroda Literacka Gdynia), budują swoje książki z rodzinnych opowieści o zranieniu. „Yhm" – puentują „zacni współobywatele" z eseju Wichy.

„Yhm" – puentują „zacni współobywatele" z eseju Wichy. **Yhm, pochodzenie.** Powinien istnieć specjalny znak interpunkcyjny, odpowiednik skurczu krtani.

Yhm, pochodzenie. Powinien istnieć na to specjalny znak interpunkcyjny, podsumowuje Wicha, graficzny odpowiednik skurczu krtani. Przydałby się on także wujkowi Wariatowi z „Mikrotyków" Sołtysa – całemu złożonemu „z utajeń, zresztą nie tylko swoich, z pomilkiwania rodziny, ze zdań urwanych po, niewidzialny w mowie, z dziur w albumach".

To może lepiej byłoby, gdyby tę historię mogła opisać maszyna? Fotografowanie jest ponoć jednym z najlepszych sposobów zwalczania nicości. „Rejwach" zawiera kilkanaście małych fotografii Grynberga: nieczynne tory tramwajowe, okno przesłonięte firanką, puste krzesła, korzenie starego drzewa, cień. Martwe natury. Wszystkie zdjęcia są zgaszone, matowe, jakby autor chciał dzięki nim przywrócić opowiadanym historiom ich nieprzejrzystość, uwikłanie w skonfliktowane ze sobą narracje. Te fotografie to wizualne znaki traumy. Dowody na nieistnienie.

Co więcej – one także „mówią" w sposób przerywany, fragmentaryczny. Nie odsyłają ani do konkretnych tekstów zbioru, ani do zdarzeń. Ilustrują przywołane wyżej zdanie Wichy o genealogiach, bo przecież także tutaj szczegół musi zastąpić nieodzyskiwalną całość. Fotografia to w końcu mortyfikacja i wiwifikacja, wymazywanie i ratowanie.

Krótka piłka

Fotografie rozdzielające kolejne opowieści ujawniają czytelnikowi, że ma do czynienia z kreacją, zmyśleniem. Tym samym stają się świadectwem pokoleniowej gry, toczącej się pomiędzy niepewnością zobaczenia a pewnością przeżycia. Gry, która odbywa się przede wszystkim w naszych ciałach.

„Tyle co cztery piwa kosztowało, żeby się upocić, poczuć galaretę w mięśniach. I to naprawdę cieszy, ten squash, to wyprucie, bo się wtedy człowiek zaczyna składać z bólu, zmęczenia i nadwyrężonych ścięgien, płyciutki jest jak rozlewiska wyschłe latem w Kamieńczyku" – zaczyna jedno z ważniejszych w zbiorze opowiadań Sołtys. Człowiek się trudzi i poci, bo chciałby być płytszy, „sięgnąć w siebie i żeby zaraz był opór – materia, życie, dno. A on sięga, sięga po coś i niespodziewanie zapada mu się ręka, ramię, i już jest cały w sobie, w ciemności, i się okazuje, że to już gdzie indziej, i mało widać, tylko się nasłuchuje, jak własna przeszłość i cudze coś tam szepczą, z czegoś chichoczą, nad czymś popłakują".

U Sołtysa ta ciemność cały czas zresztą „puka w ramię" bohaterów – np. na weselu albo kiedy rodzi się dziecko. Pijemy wódkę, jemy kotlety, zupy, ciasta i kiedy syci wychodzimy na papierosa – mówi autor „Mikrotyków" – podczas gorącego czerwcowego wieczoru spotykamy człowieka, który podaje nam kartkę, na której ktoś eleganckim, staroświeckim charakterem pisma wykaligrafował: Ukrywający się, przerażeni ludzie.

„Mężczyzna poczęstował mnie francuskim papierosem, zapaliliśmy znowu.

– Wie pan, noszę parę takich przy sobie. W chwilach wielkiej radości, szczęścia, czy jak tam pan chce, wyjmuję jedną i czytam.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Tak trzeba".

W ten sposób u Sołtysa dokonuje się cielesny proces przepracowywania wspomnień. O przeszłości przypominają konkretne przedmioty, a raczej – fizyczny kontakt z nimi. Miętoszone w spoconych, żółtych od nikotyny palcach karteczki, wypalane papierosy, gra w squasha, poręcz fryzjerskiego fotela. To dlatego w „Mikrotykach" wszystko, co fizyczne, jest „niemal przezroczyste, przewiewne, można wsadzić palec nie tylko w oko nożyczek, ale i w ciało fryzjera, w lustro, w niby-drewnianą poręcz fotela, zawsze na wylot". Tylko wspomnienia są odpowiednio gęste, „mazoliste, przedziera się przez nie człowiek jak przez błoto, przez ciężkie brązy i lepkie szarości". Gdyby także Sołtys do swojego zbioru dołączył zdjęcia, musiałyby być w sepii.

Rzeczy, które kupujemy

Szara książeczka z tytułem, który ucieka poza okładkę. Niefoliowany wierzch łatwo się brudzi, zbiera odciski palców. „Widać, że życie zostawia na niej ślad" – mówi o niej autor i to zdanie jest doskonałą ilu-

stracją tego, co znajdujemy zaglądając do środka. Bo „Rzeczy, których nie wyrzuciłem” to nie tylko prywatna opowieść Wichy o pożegnaniu z matką. To świadectwo tego, jak na styku z rzeczami ujawnia się dziś cała intensywność afektów, oraz tego jak emocje, a także nasze relacje i życie rodzinne, na wzór rzeczy, stały się przedmiotem transakcji i wymiany.

Bo o czym opowiada zawarta w eseju scena, w której narrator rozpaczliwie próbuje sprzedać pieczołowicie przez lata budowaną bibliotekę rodziców? Rynek kolonizuje to, co skrajnie prywatne. „Rzeczy” to także opowieść o rodzicach konsumentach („matka uwielbiała zakupy”), których powoli, choć skutecznie podgryza i wchłania kapitalizm („ojciec dostał zawału w jakimś centrum handlowym po wypróbowaniu zielonego frugo”). A także historia tego, jak zmieniało się nasze podejście do przedmiotów.

Najwymowniejszym symbolem tych przemian są u Wichy – nie tylko pisarza, także projektanta i grafika – okładki książek. W latach 40. były duże, w kolorach ziemi. Głównie klasyka: Dickens, Zola, Turgieniew, Puszkin. Drukarnie Czytelnika pracowały pełną parą, jak pisze Wicha, bo ludzie potrzebowali dających poczucie bezpieczeństwa papierowych ścian. A potem cegły zostały wyparte niewielkimi tomami Iskier, nadszedł czas serii Nike. Kolorowe wydania kieszonkowe pasowały do małych mieszkań, małej stabilizacji. W latach 70. głównym grafikiem wydawnictwa Czytelnik został Andrzej Heidrich, projektant polskich pieniędzy – niczego nie sprzedawał, puentuje Wicha, ustalał hierarchie. A potem przyszedł krach, trudności z papierem, książki zebry, każdą składkę drukowano na innym rodzaju papieru. Dopiero w epoce transformacji wszystko rozbłysło, okładki zrobiły się jaskrawe, a blurby obiecywały treści „błyskotliwe i zaskakujące”.

A dziś to wszystko już makulatura, kłopotliwa masa spadkowa. Co z tym zrobić?

„Czwarta próba. Przez chwilę świta nadzieja.

– Musimy się pozbyć książek.

– A masz coś o Żydach, ale żeby nie było o Holokauście?”.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

MNW / MATERIAŁY PRASOWE

Jan Rembowski, Uchodźcy, 1915, olej, płótno

Niepodległej niepamiętanie

PIOTR KOSIEWSKI

Twórcom wystawy „Krzycząc: Polska!” w warszawskim Muzeum Narodowym udało się pokazać nieoczywisty, odbiegający od stereotypowych wyobrażeń obraz pierwszych dekad XX wieku.

W zbiorowej pamięci Polaków obraz dramatycznych wydarzeń, w wyniku których Polska odzyskała niepodległość, jest niewyraźny, zatarty, w najlepszym razie zbudowany z wyobrażeń powstałych w kręgu sztuki legionowej, wokół postaci »ojców niepodległości« – Józefa Piłsudskiego, Ignacego Jana Paderewskiego i Romana Dmowskiego – oraz ze starych fotografii i kronik filmowych” – podkreśla Piotr Rypson, kurator wystawy. Okazuje się – czego przykładem jest warszawska ekspozycja – że można inaczej opowiedzieć o tamtym czasie. Poprzez sztukę z pierwszych dekad XX w., prace świadków tamtych czasów, zarówno wybitnych i powszechnie znanych twórców, jak i dziś zapomnianych. Oddać ówczesne emocje, nadzieje i zwątpienia. Wystarczało stworzyć okazję, by obrazy „przemówiły”.

Wystawa powstała na stulecie odzyskania niepodległości. Pokazuje wydarzenia od 1905 r. po śmierć Józefa Piłsudskiego w 1935 r. i upamiętnianie jego osoby. Nieustannie pojawiają się w niej odwołania do wcześniejszych losów Polski, bo to one były stałym punktem odniesienia dla ówcześnie żyjących.

Wystawę otwiera słynny obraz Jacka Malczewskiego „Hamlet polski” (1903). W jego centrum jest młody mężczyzna. To ↦

PIOTR LIGIER / MNW / MATERIAŁY PRASOWE

Jerzy Hulewicz, Szarża, 1932–1939

↦ Aleksander Wielopolski, wnuk margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, jednej z najbardziej kontrowersyjnych postaci w polskiej historii. Towarzyszą mu dwie kobiety – Polonie. Jedna starsza, z posiwiałymi włosami i rękami skutymi kajdanami. Druga młoda, wyzywająca, zrywającą okowy. Starość, doświadczenie przeciwstawione sile i nadziei nowego pokolenia. Tylko czy wybór drogi – mając w pamięci doświadczenia dopiero co minionego XIX w. – jest tak oczywisty? Obok wisi portret Józefa Piłsudskiego z 1917 r. Jemu też towarzyszą dwie postaci – Stańczyka i Wernyhory. I znów pojawia się pytanie o wybór. Jest wreszcie „Cyrk wariatów" Witolda Wojtkiewicza z 1906 r. Dorośli bawią się niczym dzieci, rozgrywając za pomocą zabawek swe wojny. Tych kilka obrazów – będących prologiem do wystawy – od razu wrzuca zwiedzających w środek sporów o Polskę wtedy i dziś prowadzonych.

Prześniona rewolucja, prześniona wojna

Właściwym początkiem wystawy jest część poświęcona rewolucji lat 1905-07. Być może dziś jest to najbardziej zapomniany okres polskiej historii XX w. Jak pisał przed laty Jan Zieliński, czasy PRL-u zniekształciły obraz 1905 r. w polskiej świadomości".

„Spośród różnych, czarnych, czerwonych, białych i innych jeszcze sztandarów, jakie powiewały nad głowami strajkujących i demonstrantów, zatriumfował tylko jeden kolor: czerwony. Z szerokiej palety barw wyparł te, które były bardziej od niego na lewo, bardziej radykalne (jak czarny sztandar anarchizmu). I wyparł te, co powiewały na prawo: wśród nich biały sztandar chrześcijańskiej ugodowości i czarny sztandar żydowskiej rozpaczy". Potem zaś wokół lat 1905-07 zapanowało milczenie.

Przez lata do takich dzieł, jak „Strajk" Stanisława Lentza – dziś przypominanych w Muzeum Narodowym – nie wracano. A tymczasem artystom – w bardzo różny sposób – udało się utrwalić wydarzenia, które gruntownie zmieniły sytuację w rosyjskim zaborze i wpłynęły na późniejsze losy Polaków. To dzięki tym wydarzeniom wymuszono na zaborcy zgodę m.in. na tworzenie polskich szkół prywatnych oraz organizacji społecznych (zaczął się rozwijać ruch spółdzielczy), ograniczono cenzurę, język polski dopuszczono w części urzędów. Efektem rewolucji 1905 r. było też pogłębianie rozłamu w polskim ruchu socjalistycznym i wyodrębnienie się dwóch nurtów: niepodległościowego oraz skupionego przede wszystkim na walce o prawa robotników. Nastąpił podział, który znacząco wpłynął na polską politykę w kolejnych dekadach.

Wystawa przypomina też o drugim zapomnianym, a może raczej wypartym wydarzeniu: Wielkiej Wojnie. Dziś o latach 1914-18 mówi się przede wszystkim w kontekście Legionów. Tymczasem te cztery lata przeorały polskie ziemie: walki zbrojne, przymusowe wysiedlenia i ucieczki, przemoc, gwałty i rzezie, głód. Tego wszystkiego doświadczyła cywilna ludność – to przecież na tych terenach przebiegał wschodni front walki. Monumentalni „Uchodźcy" Jana Rembowskiego z 1915 r. pokazują los uciekinierów. Są też liczne przedstawienia przemocy, z jaką mieli do czynienia cywile. Na wystawie pokazano m.in. wcześniej niewystawiany w Polsce cykl grafik Abla Panna poświęcony ludności żydowskiej zamieszkującej zachodnie rubieże Cesarstwa Rosyjskiego: upokorzenia, grabieże, pogromy.

Polski żołnierz

Nie powinna dziwić na wystawie pamięć o Legionach. To ona stała się jednym z mitów założycielskich odrodzonej Polski, a ludzie z nimi związani – nie tylko Józef Piłsudski, ale też wielu innych – odegrali kluczową rolę w II RP. Wymarsz Pierwszej Kadrowej stał się na lata wydarzeniem

symbolicznym, przyćmiewającym inne, nie mniej istotne politycznie i symbolicznie.

Dopełnieniem tego założycielskiego mitu stały się walki o granice Rzeczypospolitej, walki o Lwów i Wilno, wreszcie zwycięska wojna z bolszewicką Rosją. Na wystawie przypominano, że zwłaszcza ta ostatnia była doświadczeniem wyjątkowym, jednoczącym Polaków ponad podziałami politycznymi i ideologicznymi (nadal trzeba pamiętać o opowiadaniu „Na probostwie w Wyszkowie" Stefana Żeromskiego). Ową powszechność doświadczenia pokazuje nawet różnorodność, także stylistyczna, przedstawień walk z bolszewikami, od mocno sztampowych, akademickich wyobrażeń po „Szarżę" Jerzego Hulewicza – to jedno z największych okryć tej wystawy – obraz wręcz brawurowy, odwołujący się do futuryzmu, w którym groty ułańskich lanc – oddane w ruchu – tworzą profil Józefa Piłsudskiego.

„Polska! Polska!"

Tytuł ekspozycji zaczerpnięto z „Przypowieści i epigramatów" Juliusza Słowackiego. W katalogu jej towarzyszącym przywołano tylko dwa wersy:

„Szli krzycząc: Polska! Polska! – wtem jednego razu
Chcąc krzyczeć zapomnieli na ustach wyrazu".

Warto przypomnieć kolejne, równie ważne:

„Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna
Szli dalej krzycząc: Boże! ojczyzna! ojczyzna.
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,
Spojrzał na te krzyczące i zapytał: Jaka?".

Wielkim tematem warszawskiej wystawy są kluczowe, stawiane sobie w tym czasie pytania: jaki naród? Jakie państwo? Jaka sztuka? Na żadne z nich chyba nie udało się znaleźć do końca przekonującej odpowiedzi. Powstaje państwo demokratyczne, gwarantujące dość szerokie prawa indywidualne (w tym wyborcze dla kobiet) i nowoczesne rozwiązania. Państwo tworzone przez ludzi reprezentujących różne opcje polityczne, religie, nacje i status społeczny. W tece litograficznej Stanisława Lentza „Sejm Ustawodawczy Rzeczypospolitej Polskiej" pokazanej na wystawie znalazły się portrety m.in. socjalisty Ignacego Daszyńskiego i związanego z Narodową Demokracją Stanisława Grabskiego, rabina Abrahama Perlmuttera i Józefa Teodorowicza, arcybiskupa lwowskiego obrządku ormiańskiego, księcia Ferdynanda Radziwiłła i działacza ludowego Andrzeja Maja. Ich portretom towarzyszą wizerunki prezydenta Gabriela Narutowicza, którego zabójstwo (a wcześniej nacjonalistyczna nagonka na jego osobę) pokazywało skalę napięć i podziałów w nowym państwie – niedających się już przezwyciężyć.

Szukaniu kształtu dla narodu i dla państwa towarzyszyło poszukiwanie sztuki dla nowej Polski. Twórcy „Krzycząc: Polska!" wyszli poza obowiązujące dziś kanony i hierarchie ważności, przypominając także twórczość dziś już przebrzmiałą, a nawet artystycznie wątpliwą. Powstała fascynująca, wielowątkowa opowieść, w której jest miejsce na próby tworzenia ikonografii oddającej współczesność, w której zaskakująco wiele było wątków religijnych, z symboliką odrodzenia i zmartwychwstania, odwołaniami do historii Jezusa, ale też np. św. Stanisława ze Szczepanowa.

W Muzeum Narodowym można zobaczyć różnorodność ówczesnych poszukiwań. Są tu awangardowe eksperymenty, odwołania do tradycji i próby pogodzenia jej z nowoczesnością, wreszcie usiłowania tworzenia sztuki narodowej. Jest tu twórczość poznańskiego Buntu, mającego związki z ekspresjonizmem, i krakowskich formistów, Stanisława Ignacego Witkiewicza, ale też zwracających się ku tradycji ludowej Władysława Skoczylasa i Zofii Stryjeńskiej. Są wreszcie artyści związani z żydowską, awangardową grupą Jung Idysz oraz z lwowskim malarzem Mychajłem Bojczukiem (tzw. bojczukiści), starającym się ożywić tradycję malarstwa wschodniego. Ten przegląd rozmaitych postaw artystycznych tworzonych przez Polaków, Żydów czy Ukraińców, obywateli II RP, twórczości zajmującej się kwestiami politycznymi czy społecznymi, ale też próbującej uciec – w imię normalności – od nieustannego w polskość zaangażowania, postawy, którą świetnie oddaje wiersz „Herostrates" Jana Lechonia z pamiętną frazą „A wiosną – niechaj wiosnę, nie Polskę, zobaczę", niczym w soczewce skupia ówczesne dylematy.

Artyści wreszcie współtworzyli mit samego Józefa Piłsudskiego. Wystawę kończy sala wypełniona portretami, rzeźbami i rysunkami przedstawiającymi marszałka. Niektóre do dziś przykuwają uwagę, jak rzeźba Zofii Trzcińskiej-Kamińskiej, artystki o niezwykłej biografii – w męskim przebraniu zaciągnęła się Legionów i jako Zygmunt Tarło brała udział w walkach na Wołyniu.

Epilog

W holu muzeum znalazły się prace dwóch współczesnych artystów, będące swoistym komentarzem do wystawy. Jedną z nich wykonał Przemysław Trust Truściński, autor komiksów. Jego dwie wielkoformatowe prace przedstawiają żołnierzy – współczesnych, a jednocześnie dawnych. Wszystko to się miesza. Jeździec okuty w metal dosiada konia, zbroję wykonano ze szczątków rozbitego samolotu. W tle widać wrak okrętu podwodnego. To szczątki przeszłości, z których dziś układana jest nowa, nieznośnie patchworkowa opowieść. Autorem drugiej pracy jest Piotr Uklański. Nad wyjściem z muzeum umieścił on napis „Krzycząc: Polska!". Litery wycięte ze styropianu przytwierdzone są do drewnianych deseczek. Wszystko jest tu tymczasowe, prowizoryczne. Po bokach zaś wiszą, powiększone do ogromnych rozmiarów, zdjęcia z warszawskiego Marszu Niepodległości. Młodzi ludzie o zasłoniętych twarzach odpalają race.

Praca Uklańskiego wprawia w konfuzję. Pewien prominentny opozycyjny polityk zarzucił nawet Muzeum Narodowemu promowanie nacjonalizmu. Trudno o bardziej komiczną pomyłkę. Warto jednak zastanowić się nad tą reakcją. Pokazuje ona skalę dzisiejszych, ostrych politycznych podziałów, ale też łatwość, z jaką można popaść w intelektualne lenistwo. Bo zamiast łatwo odrzucić pracę Piotra Uklańskiego, należałoby spytać, dlaczego wielkie narodowe święto zostało przejęte przez środowiska nacjonalistyczne.

Nadal można przecież, co pokazują twórcy warszawskiej wystawy, odważnie mierzyć się z własnymi słabościami. W interesie wspólnoty właśnie, bo krytyczny namysł nad polskością jest wpisany w nasze kulturowe DNA. Był i jest źródłem siły polskości. © PIOTR KOSIEWSKI

KRZYCZĄC: POLSKA! NIEPODLEGŁA 1918,
Warszawa, Muzeum Narodowe, wystawa czynna do 17 marca 2019, kurator: Piotr Rypson.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [10 – 16 XI]

1. Strażnicy

Dokumentalny, reż. Dror Moreh, Belgia/Francja/Niemcy/ /Izrael 2012, Polsat Doku, 10 XI, 22.00, 12 XI, 15.45

Byli szefowie Szin Betu (izraelskich sił specjalnych) po raz pierwszy wypowiedzieli się publicznie na temat swojej pracy – od wojny sześciodniowej do czasów współczesnych. Łącząc wywiady i archiwalia z animacją komputerową, dokument mówi o wojnie z terroryzmem, w której słowo „moralność" nabiera specjalnego znaczenia.

2. Czas mroku

Biograficzny, reż. Joe Wright, Wielka Brytania/USA 2017, Canal +, 10 XI, 21.50, Canal+ 1, 10 XI, 22.50, Canal+ Film, 12 XI, 20.00

Maj 1940 r., Winston Churchill podejmuje decyzję przełomową dla losów swego kraju. Mistrzowsko ucharakteryzowany i nagrodzony Oscarem Gary Oldman wciela się w postać męża stanu, który nie boi się politycznego ryzyka. Efektem jest film, który zdaniem niektórych komentatorów idealnie wpisał się w brexitowe nastroje.

3. Zama

Dramat, reż. Lucretia Martel. Argentyna/ /Francja/Hiszpania/ /Holandia/USA 2017, Cinemax 2, 11 XI, 20.30, 12 XI, 12.00

Na podstawie powieści Antonia Di Benedetty argentyńska reżyserka („Bagno", „Kobieta bez głowy") stworzyła bardziej wizualno-dźwiękowy poemat niż film. Opowieść o XVIII-wiecznym oficerze hiszpańskiej armii stacjonującym w Ameryce Południowej zamienia się w dekonstrukcję kolonialnej mitologii.

4. Skandal w angielskim stylu

Serial, reż. Stephen Frears, Wielka Brytania 2018, HBO GO

Proces parlamentarzysty Jeremy'ego Thorpe'a w latach 70. wstrząsnął brytyjską opinią publiczną. Lider Partii Liberalnej został oskarżony o zlecenie zabójstwa swojego kochanka. Reżyseruje twórca „Niebezpiecznych związków" i „Królowej", w rolach głównych Hugh Grant i Ben Whishaw.

Czego nie widać

ANITA PIOTROWSKA

Duński film „Winni" to interaktywny eksperyment, pozbawiony spektakularnych fajerwerków. Prawdziwy spektakl, krwawy i psychicznie rozdzierający, ma się rozegrać dopiero pośród naszych fantazji.

W TRAGEDII GRECKIEJ NAJBARDZIEJ DRAmatyczne zdarzenia musiały rozgrywać się poza sceną. Relacjonowali je zdyszani posłańcy, komentował chór starców, karmiąc tym samym wygłodniałą wyobraźnię widza. Gustav Möller, reżyser duńskiego filmu „Winni", nie musi niczego cenzurować, choć nadal wierzy, że najmocniejsze obrazy rodzą się w naszych głowach. Na przekór kinu, które stara się być przekazem totalnym, które bombarduje atrakcjami i zawłaszcza zmysły, nakręcił minimalistyczny film o tym, czego nie widać. I osiągnął efekt chwytający za gardło.

Ktoś powie: słuchowisko, bo przez prawie półtorej godziny tkwimy w zamkniętym pomieszczeniu, w towarzystwie jednego człowieka podpiętego do telefonu. Asger (w tej roli Jakob Cedergren) pracuje w całodobowym centrum alarmowym, gdzie przyjmuje zgłoszenia od ofiar wypadków, przedawkowań i ulicznych napaści. Właśnie kończy się jego dyżur, kiedy zgłasza się roztrzęsiona młoda kobieta – została porwana przez byłego męża, który wywozi ją w nieznanym kierunku. W domu czeka dwójka małych dzieci. Rozpoczyna się akcja, którą chętnie nazwalibyśmy zarządzaniem kryzysowym. Jako że odbywa się ona w czasie rzeczywistym, na naszych oczach znudzony służbista, nie ruszając się zza biurka, zamienia się w zawodowego negocjatora. Co więcej, jesteśmy świadkami, jak z każdą chwilą Asger osobiście angażuje się w pomoc i obdarza poszkodowaną szczerym współczuciem. Wyścig z czasem staje się tym bardziej desperacki, im więcej informacji zdobywa nasz bohater. Na szczęście, przychodzi mu w sukurs współczesna technologia, bo dziś zaledwie kilka kliknięć pozwala zlokalizować i spersonalizować przestępcę. Ale to dopiero początek emocjonującej nocnej jazdy, w której nic nie będzie tym, czym się wydaje.

Nie ulega wątpliwości, że 30-letni debiutant budowania filmowego napięcia uczył się od najlepszych. Słuchając kiedyś podcastu z pogotowia alarmowego, doszedł do wniosku, że wydarzenia umiejscowione poza kadrem potrafią wywołać grozę znacznie większą niż niejedna ekranowa jatka. Byliby jednak „Winni" wyłącznie „telefonicznym thrillerem", gdyby Möller nie znalazł w nim potencjału dla jeszcze innych, nie mniej intrygujących opowie-

RADIO KRAKÓW **Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".**
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

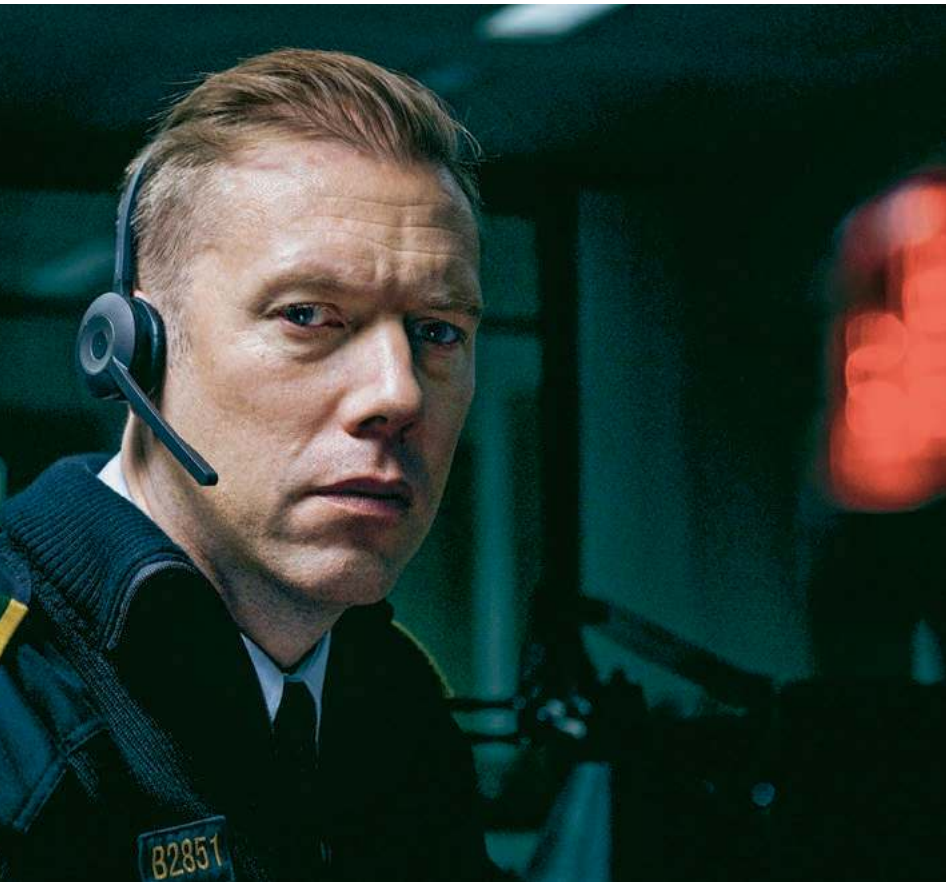

GUTEK FILM

Jakob Cedergren jako Asger Holm w filmie „Winni”

ści. Na przykład o tym, że dzisiejszy infomatyczno-informacyjny panoptykon daje czasem tylko złudzenie kontroli. Łatwo dziś kogoś namierzyć i sprofilować, choć człowiek bywa przecież kimś więcej niż wiązką wymiernych cech. Równie zawodnym narzędziem poznawczym może być empatia. Zaufawszy swoim emocjom, Asger staje się lepszym człowiekiem, lecz coraz gorszym i naiwniejszym reżyserem zdarzeń. Scenarzyści filmu pozwalają nam jednak odzyskać wiarę w siłę empatycznych więzi. Z niedopowiedzeń i luźnych sugestii dopełnia się stopniowo portret głównego bohatera, a tytuł filmu nabiera dodatkowego sensu.

„Winni” to kolejny, po filmie „Locke” Stevena Knighta, scenariusz dla jednego aktora z telefonem, zmierzający w stronę współczesnego moralitetu. Jednakże duński kandydat do Oscara, zrealizowany za czterokrotnie mniejsze pieniądze, rozsądnie wyważa także swe intelektualne ambicje. Równocześnie potrafi wyciągnąć znacznie więcej z budżetowych i formalnych ograniczeń. Kamera, pracująca tu głównie na zbliżeniach i długich ujęciach, reaguje niczym sejsmograf na każde drgnienie rysujące się na twarzy bohatera. Przypomina na każdym kroku, że mimo skrajnie kameralnych warunków, znajdujemy się mimo wszystko w kinie, a nie w radiu czy w teatrze telewizji.

Rozbudowana do maksimum, a zarazem jakże niejednoznaczna „przestrzeń pozakadrowa” pozwala każdemu z widzów wyświetlać sobie trochę inny film. By za chwilę mógł opowiedzieć go sobie jeszcze raz i jeszcze inaczej. W ten sposób „Winni” stają się interaktywnym eksperymentem pozbawionym spektakularnych fajerwerków. Prawdziwy spektakl, krwawy i psychicznie rozdzierający, ma się rozegrać dopiero pośród naszych fantazji, czerpiąc swą pożywkę w dużej mierze z obejrzanych wcześniej filmów. Pewnie dlatego reżyser tak uporczywie nie wyraża zgody na powstanie amerykańskiej wersji „Winnych”. Wszelka dosłowność i jednoznaczność w przypadku tak opowiedzianej historii byłaby narzędziem zaiste śmiercionośnym. ©

WINNI *(Den skyldige) – reż. Gustav Möller. Prod. Dania 2018. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 9 listopada.*

REKLAMA

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

Niepodległa i Nieobywatelska

Gość — Bartłomiej Sienkiewicz

Debatę poprzedzi performans pt. **Taśmy prawdy 1918**

11.11. 2018 16:00

13. SZTUKA MYŚLENIA

Cykl spotkań z czołowymi myślicielami prowadzą **prof. Piotr Augustyniak i Bartosz Szydłowski**

Scena MOS — ul. Rajska 12

Bilety — **20** pln / **5** pln (studenci)

www.teatrwkrakowie.pl

Teatr w Krakowie · Instytucja Kultury Województwa Małopolskiego · Małopolska moja wolność · Kultury

Wykład mistrzowski Arundhati Roy podczas gali Nagrody Conrada w ICE Kraków, 28 października 2018 r.

Literatura o świecie

GRZEGORZ JANKOWICZ

Podczas Wykładu Mistrzowskiego, który uświetnił galę Nagrody Conrada, zamykającą tegoroczną edycję naszego Festiwalu, Arundhati Roy powiedziała, że największą porażką pisarki lub pisarza jest podporządkowanie swej wyobraźni politycznym i rynkowym trendom, własnowolne ograniczenie swobody myślenia i pisania poprzez uległość względem mechanizmów determinujących sferę społeczną. Według Roy taka sytuacja uniemożliwia krytyczny stosunek do rzeczywistości. Nie można mówić o świecie, nie można uchwycić jego problemów, gdy nie ustanowi się dystansu, gdy zlikwiduje się odstęp między wyobraźnią a tym, co wobec nas zewnętrzne. Opowieść musi być niepodległa, bo tylko wtedy będzie dla świata przeciwwagą, tylko wtedy będzie mogła mu przeciwstawić wizję pozwalającą nam lepiej zrozumieć, co jest źródłem kryzysu i jak z nim walczyć.

Podczas festiwalowego spotkania z Roy przytoczona została historia wydania jej ostatniej powieści pt. „Ministerstwo niezrównanego szczęścia", którą opublikowała po wielu latach milczenia (jej debiutancki utwór, „Bóg rzeczy małych", za który otrzymała Nagrodę Bookera, ukazał się w 1997 r.). Autorka rozesłała kopie swej powieści do wielu wydawców i poprosiła ich o napisanie krótkich recenzji. Następnie wybrała tego, którego krytyka najbardziej spodobała się jej bohaterkom i bohaterom. To nie

ROBERT SŁUSZNIAK / CONRADFESTIVAL

ALEKSANDER KARDYŚ / FUNDACJA „TP"

Spotkanie z Olgą Tokarczuk w Centrum Festiwalowym w Pałacu Czeczotka, (prowadzi Szymon Kloska, na język migowy tłumaczą Irena Piecha i Magdalena Sipowicz), 23 października 2018 r.

ROBERT SŁUSZNIAK / CONRADFESTIVAL

Walka o rząd dusz, czyli kto najlepiej poleca książki? – dyskusja praktyków promocji czytelnictwa w Księgarni Pod Globusem w programie towarzyszącym Festiwalowi Conrada, 27 października 2018 r.

pisarz decyduje o tym, jak rozumieć rzeczywistość, lecz sama opowieść, a także postaci, które ją zasiedlają. W tym przypadku literatura jest ważniejsza niż jakakolwiek instancja decydująca o jej istnieniu.

Jest to bardzo bliskie założeniu, które znajduje się u podstaw naszego festiwalowego przedsięwzięcia. Gdy dziesięć lat temu przystępowaliśmy do obmyślania pierwszej edycji, zgodnie uznaliśmy, że literatura jest najlepszym językiem, za pomocą którego możemy myśleć i pisać o otaczającym nas świecie. Postanowiliśmy, że zaproszonych gości – pisarki i pisarzy, reżyserki i artystów, filozofki i aktorów, tłumaczki i krytyków – będziemy pytać o rzeczywistość. Zarówno pytanie, jak i odpowiedź będą formułowane właśnie z perspektywy literatury, za pomocą literackiego dyskursu, przy użyciu narzędzi właściwych opowieści.

W tym roku zjawiskami, które interesowały nas najbardziej, były mechanizmy decydujące o tym, że jednostki postanawiają zawiązać alians i utworzyć mniej lub bardziej trwałą wspólnotę. Festiwalowe hasło – POP – które kojarzy się z muzyką i sztuką popularną, uczyniliśmy figurą takiego właśnie doświadczenia. Zaczerpnęliśmy je z innego słowa, a mianowicie „populizmu", które wywodzi się od łacińskiego rzeczownika *populus* oznaczającego lud, gromadę, plemię, naród, a także państwo. Ciekawa jest etymologia tego wyrazu: protoitalskie *poplos* odnosiło się najprawdopodobniej do armii. Pod wpływem impulsu – w tym wypadku: zewnętrznego zagrożenia – pewna grupa ludzi zaczynała ze sobą współpracować, co było podstawą ich plemiennej więzi. POP odsyła zatem do mechanizmów, które decydują o takim zjednoczeniu. Najłatwiej, rzecz jasna, łączyć ludzi za pomocą strachu, wskazując im źródło opresji (często wyimaginowane), przekonując, że powinni trzymać się razem, gdyż w przeciwnym razie nie będą w stanie przetrwać. Ale nie jest to sposób jedyny.

Co literatura może nam powiedzieć na temat polskości i Polaków? Czego ↦

ROBERT SŁUSZNIAK / CONRADFESTIVAL

Piątka autorów nominowanych do Nagrody Conrada 2018 (stoją z kwiatami od lewej): Adam Robiński, Weronika Gogola – laureatka, Martyna Bunda, Grzegorz Bogdał i Paweł Sołtys, wraz z jurorami i prowadzącą galę Katarzyną Janowską na scenie ICE Kraków, 28 października 2018 r.

↦ możemy się od niej dowiedzieć na temat kształtu polskiej wspólnoty narodowej, jej zalet i wad, jej marzeń i lęków, jej samozachwytów i kompleksów? Co mówi o Żydach-Polakach czy Polakach-Żydach, o roli, jaką odegrali w kształtowaniu polskiego społeczeństwa? W jaki sposób opowieści ukazują chłopską formę życia? Dlaczego tak wielu ludzi pozostaje w ciągłym ruchu i jaki jest wpływ ich kondycji na poczucie przynależności do miejsca i grupy? Czy za pomocą języka literackiego możemy opisać i zneutralizować źródła globalnego i lokalnego wyzysku? Czy można uporać się przy jej użyciu z problemem nierówności, migracji i głodu? Jak literatura może nam pomóc w walce z fake newsami i dezinformacją? Jak z jej perspektywy prezentują się największe polityczne bolączki współczesności: populizm, nowa fala faszyzmu, antysemityzm, permisywizm, korporacjonizm? Czy powieści, opowiadania, eseje i wiersze mogą wzbudzić bunt przeciwko opresji? To tylko niektóre z zagadnień, o jakich rozmawialiśmy podczas tegorocznej edycji Festiwalu Conrada.

„Gołe fakty niewiele nam mówią, szczególnie o rzeczywistości, której w ogóle nie znamy. Potrzebna jest wrażliwość reportera, jego umiejętność budowania opowieści". „Świata jest za dużo. Na dobre i na złe skazani jesteśmy na opowieści fragmentaryczne". Pierwsze z tych zdań wypowiedział Wojciech Jagielski, drugie padło z ust Olgi Tokarczuk. Z jednej strony opowieść jest niezbywalna, bez niej nie możemy zrozumieć rzeczywistości. Z drugiej – jest problematyczna, bo nie możemy już liczyć na to, że wyjaśni wszystko. Poruszamy się nieustannie między koniecznością opowiadania i niemożnością opowiedzenia wszystkiego, między pragnieniem sensu i poczuciem, że zawsze jest go za mało, między potrzebą rozumienia i świadomością, że w pełni nie zrozumiemy nigdy. Nominowani do Nagrody Conrada (którą w tym roku otrzymała Weronika Gogola) zwrócili uwagę na fakt, że mimo rozlicznych trudności, musimy aktywnie dbać o rozwój opowieści, nie poprzestając na ich pisaniu i wydawaniu, ale – tym właśnie zajmuje się Festiwal – używaniu ich do opisu świata i naszego doświadczenia.

Na dziesiątą – jubileuszową – edycję Festiwalu Conrada złożyło się ponad 130 wydarzeń literackich. Odwiedziło nas w tym roku przeszło stu gości, a publiczność stawiła się w liczbie kilkunastu tysięcy. Bardziej niż w latach ubiegłych sceną naszych rozważań było nie tylko Centrum Festiwalowe mieszczące się w Pałacu Czeczotka, ale całe miasto: księgarnie, biblioteki, domy kultury, teatry, kina, a nawet skwery i ulice. Na tydzień Kraków został zasiedlony przez wspólnotę pisarzy i czytelników. Wszystkim, którzy ją współtworzyli – gościom, odbiorcom, władzom miasta, zespołom Fundacji Tygodnika Powszechnego i Krakowskiego Biura Festiwalowego, wolontariuszkom i wolontariuszom, wspierającym nas partnerom i sponsorom – chcielibyśmy podziękować za zaangażowanie.

Ostatnia dekada to zaledwie pierwszy rozdział opowieści, którą – miejmy nadzieję – będziemy jeszcze długo wspólnie tworzyć.

©℗ GRZEGORZ JANKOWICZ
Dyrektor Programowy Festiwalu Conrada

CONRADFESTIVAL Organizatorzy: Kraków KRAKÓW UNESCO CITY OF LITERATURE kbf FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. NARODOWY PROGRAM ROZWOJU CZYTELNICTWA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

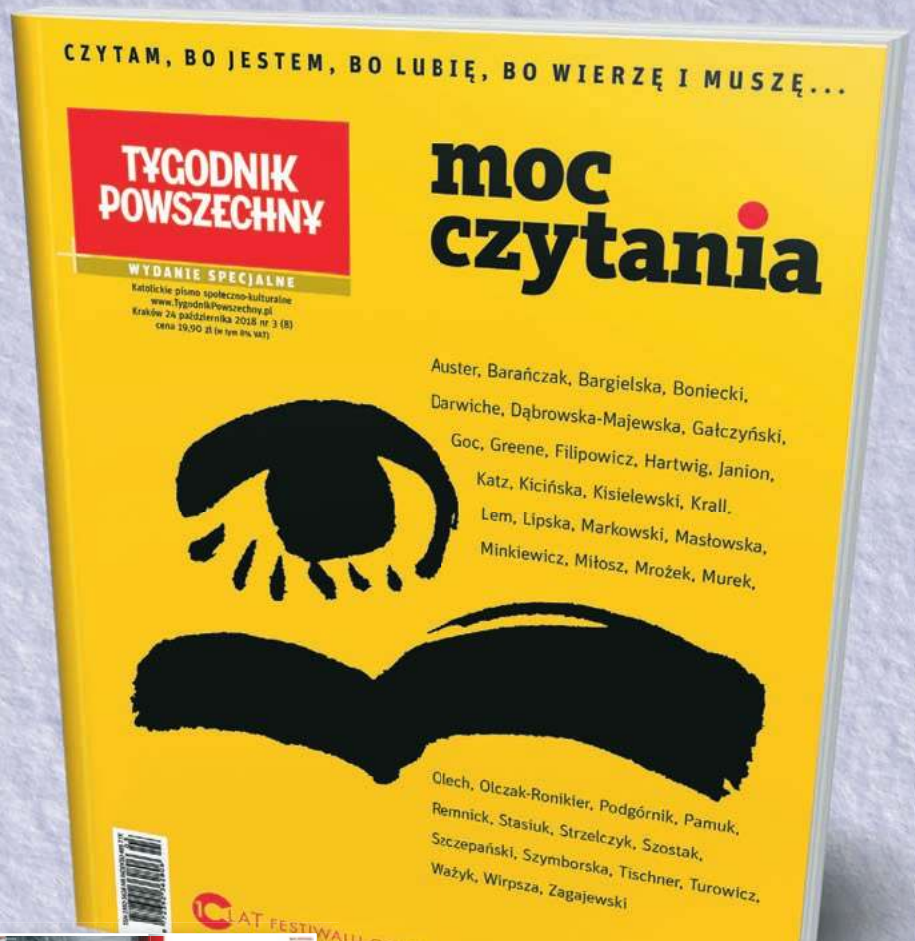

Najlepsze teksty o czytaniu i do czytania

Auster, Barańczak, Bargielska, Boniecki, Greene, Filipowicz, Janion, Kisielewski, Krall, Lem, Lipska, Markowski, Masłowska, Miłosz, Mrożek, Murek, Olczak-Ronikier, Olech, Pamuk, Stasiuk, Szczepański, Szostak, Szymborska, Tischner, Turowicz, Zagajewski i inni w towarzystwie grafik Czerniawskiego, Januszewskiego, Minkiewicza i Wasilewskiego

Potrzebujesz więcej powodów? Weź, czytaj!

„Moc czytania"
już w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą

10 LAT | TYGODNIK POWSZECHNY | zawsze razem | CONRAD FESTIVAL

JAN

Klata: *Ukochany ojczysty orzełku!*

Ptaszki ćwierkają, że najprawdopodobniej – w ramach pompy na stulecie – trzydziestoprocentowi włodarze mają ci zrobić lifting. Włodarze, czyli w twoim wypadku oczywiście Antoni Macierewicz... żart, nie uciekaj, nie, spokojnie... bezpośrednio sam wicepremier Gliński wyznaczy ekspertów, więc będziesz w naprawdę dobrych, sprawdzonych, wielce kompetentnych rękach. Nie lękaj się, ptaszę! Teraz jesteś ponoć w 3D, a jako godło powinieneś być płaski, więc cię spłaszczą, żebyś im gdzieś nie uleciał z urzędów. Zamkną ci koronę, zaznaczając niepodległość, jakże pożądaną, której w otwartej koronie nie dostrzegają. Koniec prześwitów nad łebkiem! Nie muszę pisać, że będzie krzyż, gdyż tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem orzeł jest orłem, a Polka Polakiem.

Barwy wokół ciebie będą białe i czerwone, zamiast jasnoszarej i buraczkowej, co cieszy, potrzeba kolorystyczna była paląca, każdy to przyzna, ludność Lechistanu spać po nocach nie mogła z powodu owych buraczkowych naleciałości. Jeśli chodzi o barwy, idzie o jeszcze jedną barwę, przejściowo zaniedbaną, a mianowicie o bling-bling. Uff, wreszcie, yeah! Godło potężnego narodu powinno zdecydowanie i bez osłonek symbolizować wysoki status, więc wniosek jest oczywisty: więcej złota na łapki! Hip-hop jest popularny nie bez kozery, i nie można tego ot tak, po prostu sobie ignorować, nawet heraldycznie.

Ale to nie wszystko. Pazurki, pazurki, pazurki. Ptaszę najdroższe, ponoć w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego mają ci zrobić pedicure... uważaj, różnie im wychodzi, z tej operacji możesz się już nie wybudzić – a nie chciałbym mieć godła o zamkniętych oczkach. Tak czy owak, śpiący czy nie, złoty będziesz aż do kolanek, więc szykownie, jak w bermudach. Jeszcze tylko lekki lifting skrzydełek, i jesteś jak nieużywany, o niskim przebiegu, jeżdżony tylko raz w tygodniu, w niedzielę do kościoła i w ogóle bezwypadkowy. No i przede wszystkim, Prawo i Sprawiedliwość coś konstruktywnego po sobie zostawi, coś, co przetrwa, na co wszyscy będziemy patrzeć z dumą i rozczuleniem choćby za sto lat. Na ciebie, orzełku, godło ty moje, wzlatującego w przestrzeń symboliczną, bardzo wbrew pozorom ważną, dla wielu najważniejszą. Wszak tyś orzeł, reszta to reszka.

Nie wiadomo, czyś bielik, i generalnie ponoć nie występujesz w przyrodzie, ale na szczęście nie jesteśmy w zoo, więc tutaj bym się nie czepiał. Będzie super, palące potrzeby Polski stają się coraz bardziej kompleksowo zaopiekowane, a o to wszystkim chodzi, żeby godło wzlatywało i dawało po oczach i muzyka grała... A, no i hymn też mają ulepszyć. Dzióbek do góry! Orzeł wylądował. ©

Lektor: *Nowa książka jubilata*

▪ *Józef Hen*
JA, DEPRAWATOR
Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2018, ss. 406.

Ostatnia nota w tej książce nosi datę tegoroczną i bardzo znaczącą: 19 kwietnia 2018, rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim. I kończy się piękną uwagą o prawie do wzruszeń, o uldze, jaką przynoszą. „Nie wstydźmy się. Zasłużyliśmy na słodycz łez". „Ja, deprawator" stanowi kolejny tom diariuszowych zapisków, których pierwsza część, „Nie boję się bezsennych nocy...", ukazała się ponad 30 lat temu. Kronika naszego czasu, od stycznia 2016 r., emocjonalna i żywo reagująca na wydarzenia, także polityczne. „Tak, przeżywam to, boleję nad tym – przyznaje Hen – czasem się uśmiechnę, bo dostrzega się grę, w której przeważają zwykła głupota, prymitywizm w odczuwaniu świata – i nieobecność etyki. (...) Celem jest władza – i każda wredność staje się usprawiedliwiona. Ale idiotyzmów nie można usprawiedliwić. Głupota jest bardziej niebezpieczna niż kłamstwa i wredne uczynki". Ostoją są najbliżsi i przyjaciele, wyprawy w głąb własnej pamięci i lektury – np. opowiadań Alice Munro, czasem także własnych, wznawianych teraz książek. 8 listopada Józef Hen obchodzi 95. urodziny. Wspomniany diariusz, zajmujący sporo miejsca na mojej półce, to tylko fragment bogatego i różnorodnego dorobku prozaika, biografa, dramaturga, scenarzysty filmowego i reżysera, pisarza wielu rejestrów, mistrza budowania opowieści, sprawnej narracji i psychologicznych niuansów. Są w tym dorobku znakomite wspomnienia o polsko-żydowskiej Warszawie dzieciństwa („Nowolipie"), jest powieść oparta na wojennych doświadczeniach w radzieckiej Azji Środkowej, niecenzuralna przez trzy dekady („Nikt nie woła"), są opowiadania okołomarcowe drukowane pod pseudonimem u Jerzego Giedroycia („Oko Dajana"). Portrety mistrzów: Michela de Montaigne'a i Tadeusza Boya-Żeleńskiego oraz brawurowa obrona Stanisława Augusta Poniatowskiego („Mój przyjaciel król"). A jeszcze „Kwiecień", „Toast", „Twarz pokerzysty", „Yokohama", „Milczące między nami", „Bruliony Profesora T.", wiele tomów opowiadań... Wedle scenariuszy Hena filmy kręcili Kazimierz Kutz („Krzyż Walecznych", „Nikt nie woła" – z akcją przeniesioną na Ziemie Zachodnie), słowacki reżyser Peter Solan („Bokser i śmierć"), Janusz Morgenstern („Dwa żebra Adama"), Jerzy Hoffman i Edward Skórzewski („Prawo i pięść") czy Witold Lesiewicz, powstawały seriale („Życie Kamila Kuranta", „Królewskie sny"). Imponujące dzieło i piękny jubileusz! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Dzień grochówki

A może trzeba było zrobić z tego dzień grochówki? Nie ma państwa bez wojska, nie ma wojska bez grochówki. Przynajmniej polskiego wojska – kiedy pełni rolę symboliczną, paradną, kiedy nie jest tylko urzędem do spraw fizycznego panowania nad terytorium, lecz robi to, do czego też się świetnie nadaje: ucieleśnia w wersji *hard* nasz splot wyobrażeń, tęsknot, traum i poczucia bezpieczeństwa. Wyrażenie „państwo polskie istnieje teoretycznie" cytuje się głównie dla jego krytycznego sensu (to źle, iż tylko w teorii), ale przecież można je przesterować w stronę dumy: owszem, może tylko w teorii, ale za to jak! Te wszystkie nasze symboliczne trumny i byty – przy których bogowie Olimpu z całą ich rodzinną patologią i rozróbami przypominają zgraję przedszkolaków – są barwnym dywanem krzyżujących się narracji, a ich linearny wyraz i widzialną ramę tworzy np. parada wojska polskiego w kostiumach historycznych – od szwoleżerów co najmniej poczynając.

A na końcu każdej parady (czasami nawet zamiast niej) czekać powinna grochówka. W warunkach realnej militarnej roboty zastąpiona już dawno zestawami w pakietach. W świecie koneserów i kolekcjonerów wojskowych racji żywnościowych (są tacy, czytam ich fora, ludzie zupełnie zdrowi na umyśle) polskie pakiety mieszczą się w światowej czołówce – jeśli zawarte w nich suchary są równie dobre jak dostępne w cywilnym handlu suchary Beskidzkie z zakładów San, to jestem gotów się zgodzić.

Paczkowana na modularnej tacce racja jest racjonalnym wyjściem, by żołnierza posilić zgodnie z wytycznymi nauk o człowieku. Ale spójrzmy: przypomina urzędowy formularz z rubrykami, numer ewidencyjny, grupa krwi, rozmiar buta, płeć i wyznanie. Dlatego to bulgocząca jak lawa, niedająca się wtłoczyć w formę grochówka pozostaje potrawą *par excellence* dla naszych duchowych hufców, wojska traktowanego jako zwieńczenie przygody polskości z gwałtem dziejów i rozbojem geografii. Gastrycznym wyrazem siły naszego trwania w tym zakątku świata.

Ktoś złośliwy, chcąc nam zepsuć szansę na zacne uczczenie najbliższej niedzieli, mógłby zauważyć, że grochówka weszła do jadłospisu naszego XX-wiecznego wojska prosto z rubryk kwatermistrzowskich germańskiego najeźdźcy i że jest to nieodrodna siostra *Erbseneintopf nach Bundeswehrrezept*. Ale po pierwsze, był taki czas, że wszystko poza językiem i książeczką do nabożeństwa mieliśmy pożyczone i przejęte – i żaden z tego wstyd. Groch to dobre źródło białka, które pęcznieje w trzewiach po zjedzeniu: dając dzięki temu szybkie uczucie sytości, jest bardzo pragmatycznym sposobem zapychania żołądka.

Po drugie, można tę parentelę wziąć w nawias, tam bowiem, gdzie groch paruje w kotłach, słychać do dziś tupot sandałów i skrzypienie rzemieni na pancerzu rzymskiego legionisty. Mało co służyło tak dobrze republikańskiej krzepie, jak wszechobecny w rzymskim życiu codziennym groch (a raczej któraś z jego kuzynek, znanych dziś zbiorowo pod nazwą ciecierzycy, ale w sensie kuchennym to jedno i to samo). Marek Tulliusz, zanim jeszcze nasz poeta kazał obracać mu się w grobie w odruchu estetycznej pogardy, przez wieki funkcjonował jako pan Grochowski, bo cóż w końcu jego przydomek Cicero znaczy?

A do Rzymu wcale nie powinno być nam daleko. Tego rozumianego jako stolica równościowej Republiki, która umiała się przepoczwarzyć w sprawnie zarządzane cesarstwo, gdy Wschód zaczął zbyt mocno nacierać, i tego rozumianego jako stolica Kościoła. Tak twierdzi Marek Cichocki w książce „Północ i Południe", w której m.in. proponuje ponowny namysł nad specyfiką demokracji szlacheckiej w jej najskuteczniejszej, XVI-wiecznej formie, żeby bez nadymania się i bez wstydu pojąć, czym był polski sposób na nadawanie formy światu (oczywiście różny od sposobów innych nacji). A to wszystko po to, by spróbować zaistnieć po swojemu w Europie, której kolejny już pomysł federalistyczny rozlazł się na naszych oczach. Zamiast wiecznie się bać, że lądujemy po gorszej stronie osi zachód-wschód (każde wcielenie Zachodu potrzebuje swojego wschodniego dzikusa, co pokazywał już kiedyś w odniesieniu do Arabów Edward Said w „Orientalizmie"), wskrześmy oś północ-południe, na której zdecydowanie staliśmy po jej rzymskiej, a więc skierowanej ku dobru i pięknu, stronie.

Książka Cichockiego jest raczej jak pomysł kucharza niż gotowy obiad, ale stanowi zarazem najżywszą prowokację umysłową na temat polskiego losu, jaką przeczytałem w tym roku zmarnowanej rocznicy. Mam nadzieję, że jedenastego grochówkę jednak znajdę. Tyle chociaż z Rzymu niech nam zostanie. ©℗

DONAT BRYKCZYŃSKI / ZW / REPORTER

Prawdziwa grochówka wymaga nie tylko zjadania jej na zewnątrz, na zimnie, ale i przygotowywania w ogromnej ilości. Ale można też się pobawić w różne domowe wersje. Przepis Bundeswehry przewiduje podsmażenie na smalcu 300 g drobno krojonego boczku, dodanie po 2 posiekane cebule i marchwie, podduszenie ich, dodanie 500 g grochu w połówkach, zalanie 1,5 l wody, doprowadzenie do wrzenia i gotowanie na wolnym ogniu, po 30 minutach dodanie 1 kg ziemniaków pokrojonych w kostkę, dalsze gotowanie, aż wszystko zmięknie i spęcznieje. Przyprawy – pieprz i majeranek, ewentualnie czosnek.
Znam też wersję „litewską" (ale ta nazwa to raczej fantazja autora prowadzącego ongiś pogotowie kulinarne Ligi Kobiet Polskich we Wrocławiu, który ją opisał), gdzie osobno gotujemy groch w wywarze warzywnym, a osobno pęczak (jedna trzecia wagi grochu) i kilka ziemniaków, i garść suszonych grzybków, po czym łączymy wszystko i zagęszczamy zasmażką z cebuli i mąki.
Wersja „śródziemnomorska" przewiduje najczęściej rozmaryn jako przyprawę i nieco przecieru pomidorowego, zero ziemniaków, za to grzanki czosnkowe na wydaniu.

POŻEGNANIE

JEGO KRÓLESTWO

Mówił o sobie, że jest robotnikiem sztuki. Jeszcze niedawno, podczas hucznego sylwestra w gronie przyjaciół, potrafił wymknąć się do pracowni i malować niebo. Bo Edward Dwurnik był wielkim romantykiem. Zmarł 28 października.

MAŁGORZATA CZYŃSKA

MACIEJ PLEWIŃSKI

Najprościej napisać: twardy realista, portrecista Polski i Polaków. Malarz miast i miasteczek oraz polskiej „gęby". W tysiącach obrazów i rysunków zilustrował naszą architekturę i pejzaż, historię oraz narodowe przywary. Śmiał się z nich, ale bez złośliwości. Raczej ze zrozumieniem, nawet współczuciem, choć bez litości. Twórczość i bohater Edwarda Dwurnika wyrastają z rzeczywistości – z ulicy, rodzinnego domu, prywatnej inicjatywy, budki z piwem, telewizora, podmiejskiej kolejki.

Dawał nam obraz społeczeństwa PRL-u. Szczery, bez uwikłania w propagandę. Od zawsze chłonął otaczającą rzeczywistość, ładował nią akumulatory, karmił się codziennością. Przeglądamy się w jego obrazach jak w lustrze. Tłumaczymy sobie, że to krzywe zwierciadło, a w krzywym odbiciu jacyś inni – nigdy my, a przecież to my wszyscy, odarci z iluzji.

Codzienna nawalanka

Chłopak z prostej rodziny, w której nigdy nie było żadnego artysty, ze środowiska, w którym łatwo się było wykoleić, bo wódka, tanie wino, dziewczynki i bójki były tu chlebem powszednim, czuł, że musi zostać artystą, że to jego jedyna opcja

na życie. „Gdybym nie miał tej pasji, potrzeby, żeby jeszcze trochę pomalować, porysować, to pewnie bym się zmarnował... – mówił. – Od dzieciństwa wiedziałem, że mam talent, że się do tego nadaję. Rysowałem dużo bitew, różne jarmarki, straż pożarną. Jak w 1958 roku zaniosłem rysunki do Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych, to zdałem z marszu". Nawiasem mówiąc, nawet te bójki z rówieśnikami przydały mu się w malowaniu, bo czuł ruch, a to według niego jedna z tajemnic malarstwa. A on od dziecka brał udział w nawalankach, jako nastolatek trenował boks. „Boks i ćwiczenia kulturystyczne pomagały mi złapać moment, ten dyskretny, niepowtarzalny duch bohatera, który ma w sobie autentyczne życie – wyjaśnia. – Dzięki temu, że sam wiedziałem, jak napiąć biceps i jak się poruszać, żeby się nie przewrócić, żeby nie wyjść na ofiarę, jak poderwać dziewczynę, to umiałem wrażenie ruchu przenieść na obraz. Wystarczy się skłonić, stanąć w kontrapoście, inaczej schylić głowę...".

Wprawdzie z liceum plastycznego wyleciał za złe sprawowanie, potem w liceum dla pracujących raczej wagarował i chuliganił, niż się uczył, ale rysował i malował nieustannie, solidnie przygotował się ↦

↦ do egzaminów na studia. Na warszawską Akademię Sztuk Pięknych zdawał w wielkim stresie, bo zdążył już dostać bilet do wojska. Został przyjęty.

Taśmociąg

O tym bilecie do jednostki Marynarki Wojennej w Świnoujściu, o młodzieńczym piciu, a przede wszystkim o konieczności malowania, o mistrzach (Matejko, Wróblewski, Delacroix, Picasso, Hopper, Basquiat), o wielkim olśnieniu, jakim było dla niego odkrycie Nikifora (pod jego wpływem zaczął malować architekturę, jeździł po Polsce od miasteczka do miasteczka i rysował – stąd wziął się słynny cykl „Podróże autostopem"), Edward opowiadał mi trzy lata temu na potrzeby wywiadu rzeki, który zamknęliśmy w książce „Moje królestwo". Spędziliśmy wtedy wiele godzin na rozmowach.

Siedzieliśmy przy stole w jadalni w domu Eda na Sadybie. Na tym stole piętrzyły się stosy katalogów z jego wystaw, fotografii obrazów, sterty recept, lekarstw, wyników badań lekarskich – słowem, kawał życia Edwarda. Gruby „Przewodnik operowy" Józefa Kańskiego z 1965 r. był pretekstem do rozmowy o muzyce (Dwurnik był melomanem), a wiszący na ścianie obraz „Sokołów Podlaski", który jest opowieścią o tym, jak powstaje kożuch (wypas baranów, szlachtowanie, garbowanie itp.), sprowokował temat zakupu kożucha dla żony. „Kiedy byliśmy na studiach, Teresa zachorowała na fajny damski kożuszek – opowiadał Edo – więc pojechaliśmy autobusem do Sokołowa Podlaskiego, a tam wszędzie kożuchy, kożuchy, kożuchy, tak jak w Nowym Targu, prawda? Facet zaprowadził mnie tam, gdzie się suszyły te skóry, garbowało się je, tłukło wałkami, potem wrzucało do kadzi... śmierdziało tymi kożuchami jak cholera. Potem je farbowali. No i wreszcie kupiliśmy taki kożuszek".

O czasach dzieciństwa, młodości oraz wieku dojrzałego opowiadał barwnie, jakby to było wczoraj, z pamięcią do szczegółów, realistycznie i z fantazją, tak jakby rysował poszczególne scenki. Zresztą szuflady w metalowych bułgarskich szafkach w pracowni ma wypełnione stertami rysunków i grafik przedstawiającymi zdarzenia z tamtych czasów – dziadka siedzącego w pokoju w domu w Międzylesiu, kolegów ze studiów podczas imprez w Dziekance, siebie z narzeczoną rzeźbiarką Teresą Gierzyńską, młodzieńczą miłością,

Od zawsze chłonął otaczającą rzeczywistość, karmił się codziennością. **Przeglądamy się w jego obrazach jak w lustrze.**

późniejszą żoną, podczas spaceru po uliczkach Rypina, ulice i place Paryża, dokąd pojechał w 1967 r. na swoją *grand tour*, żeby skonfrontować młodzieńcze wyobrażenia z rzeczywistością.

Pierwsze, co zrobił po przyjeździe, to zjadł pęto kiełbasy i napił się wódki, które przywiózł ze sobą z Polski, a następnie poszedł kupić ołówki i papier. Z trwającego zaledwie półtora miesiąca pobytu w Paryżu przywiózł 118 rysunków (a i tak jedną dużą teczkę z kilkudziesięcioma pracami zostawił w metrze, kiedy wracał zmęczony po całym dniu rysowania). Kto w ostatnich latach lekceważąco mówił, że ilość prac Dwurnika działa na niekorzyść artysty, że to „taśmociąg", niech obejrzy te rysunki. Każdy wspaniały. A to tylko nikły ułamek ogromnego dorobku artystycznego Dwurnika. Namalował jakieś 6 tysięcy obrazów. Prac na papierze, akwarel, rysunków, kolaży powstało ze 25 tysięcy. Wiele poszło w świat, do kolekcji muzealnych, do prywatnych domów. Wypełnił szczelnie obrazami kilka domowych magazynów oraz szuflady wielkich komód. W dwóch pracowniach zawsze miał coś na warsztacie.

Ta wielka ilość prac dawała mu poczucie bezpieczeństwa i spełnienia. Mówił, że składają się na jego królestwo.

Żal i niedoskonałość

O pracy opowiadał tak: „Tak, to był obłęd, kocioł twórczy, który trwał jakieś czterdzieści lat. Jak teraz czasem przeglądam swoje dawne rysunki, to zastanawiam się, czy ja to rzeczywiście wszystko zrobiłem, tyle tego jest, i wszystkie świetne. Miałem mnóstwo pomysłów i chciałem je natychmiast zrealizować. I nie chodziło o to, że tak mi zależało na wystawach, tylko czułem wewnętrzną potrzebę malowania tych wszystkich codziennych przeżyć. Ludzie z telewizorów, spotkania z ludźmi, reportaże z Wolnej Europy, nasuwały mi pewne rozwiązania artystyczne – wykonywałem pewne czynności rutynowe, nie miałem żadnych przesłań ani idei. Potem coś poprawiałem, niszczyłem, wycinałem, wklejałem do innego obrazu. W wielu obrazach wykorzystałem kompozycje z »Podróży autostopem« albo z »Drogi«, zespołu dziesięciu obrazów tzw. świeckiego ukrzyżowania. »Droga« to historia faceta, którego wciąż wiążą, aresztują. I on niesie krzyż. W ten cykl wklejałem fragmenty starych obrazów, na przykład piękne akwarele, a na tym malowałem grubą warstwą czarnej farby całą akcję. Takie formalne zabawy były mi potrzebne.

Potrafiłem malować jeden obraz za drugim, musiałem mieć tylko blejtramy. A jeśli ich nie miałem, brałem jakieś stare płótno, które uznałem za nietrafione, i je zamalowywałem. Jak w transie. Wtedy nie było mowy o alkoholu. O rodzinie też nie było mowy. W malarstwie byłem egoistą".

Twierdził, że prawda nigdy nie jest piękna. A on malował prawdę. Z brzydkiej prawdy rodziły się brzydkie obrazy. Może dlatego przy pierwszym zetknięciu z malarstwem Dwurnika, zwłaszcza z obrazami z cyklów „Sportowcy" czy „Robotnicy", niejeden widz odwraca niechętnie wzrok, niejeden ma odruch zwrotny. Refleksja i zrozumienie, i zachwyt przychodzą z czasem.

W podaniu o studenckie stypendium z 1968 r. Dwurnik napisał: „Mieszkam w Międzylesiu, dojeżdżam do Akademii około godz., obcuję z ludźmi dojeżdżającymi do pracy, jeżdżę po małych miasteczkach, interesują mnie polscy przeciętni ludzie, uważam, że oni nie są przeciętni, ponieważ oni mnie wychowali, uważam, że znam ich sprawy, ubiór, zwyczaje, przekonania, żargon – kocham ich i mam radość wystawić im pomnik moim malarstwem. Oni niedługo zginą, kraj jest w okresie wielkich przemian kulturalnych, przewartościowań społecznych. Niedługo nie będzie odrębnego życia dworcowego, peryferyjnego, małomiasteczkowego, nie będzie knajp, kawiarni III kategorii, mężczyzn, kobiet i dziewczynek II kategorii. W takim razie nie będzie też człowieka znającego to wszystko, nikt nie będzie się tym zajmował. (...) Nie tworzę legendy, jestem obiektywnym, twardym realistą. Wielu ludzi pozna siebie w moich obrazach przy codziennej pracy, wypoczynku, zabawie, burdzie".

Kilka lat później mówił: „Pierwszą przyczyną, dla której maluję właśnie ludzi, jest

żal nad swoją i ich niedoskonałością". Malował sceny ze sklepu mięsnego, z podmiejskiej kolejki, postaci spod budki z piwem i z życia publicznego.

W życiu i obok życia

„Nie ma co idealizować czasów młodości – wyjaśnia Dwurnik – żyliśmy w strasznej niedoli PRL-owskiej. Nie sposób było nie czuć niedoli komuny, stykałem się z nią na co dzień. Wielokrotnie mówiłem w wywiadach o moich »Robotnikach«, »Sportowcach«... Ten cykl zacząłem malować w 1972 r. Bohaterowie pracy socjalistycznej. Ironia i prawda. Więcej prawdy niż ironii, bo nigdy nie naśmiewałem się z tych ludzi, pokazywałem niedoskonałość człowieka, jego ograniczenia, własne ograniczenia, pułapkę systemu, w której tkwiliśmy jak w jakimś potrzasku. To były typy ludzi, których widziałem codziennie. Malowałem ich codzienne życie – jak rano wstawali, jechali do pracy, po pracy stali pod budką z piwem, jak się nawalali, kombinowali, stali w kolejce po salceson, jedli salceson, zakochiwali, randkowali, pchali wózki z dziećmi, chcieli kupić pralkę czy auto... Jeździłem przecież na akademię pociągiem, kolejką elektryczną z Otwocka do Warszawy. Ten cały ścisk, ludzka ciżba, natłok twarzy, ciał, bluzgów, przepitych oddechów, przepalonych głosów, te tramwaje, to wszystko było dla mnie niesamowitą twórczą pożywką. Wszystko było do bólu szczere, tutejsze".

Tytuł cyklu wziął się od sportów, które wtedy wszyscy palili. Wypełnił setki płócien gębami roboli, zakapiorów, polityków, matek Polek, kombinatorów i ich dziuń. Dyscyplina sportowa, w której celuje bohater Dwurnika, to rozpychanie się łokciami. Według artysty osiągnęliśmy w tym mistrzostwo.

Krytyk sztuki Wojciech Włodarczyk stwierdził, że prace Dwurnika „oddają lepiej stan świadomości Polski lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Określa je społeczna i polityczna rzeczywistość, a nie konwencje sztuki nowoczesnej". Był malarzem zaangażowanym, chociaż jego postępowanie wywoływało krytykę (miał dwa razy paszport popierany, bojkotował zakaz wystawiania, odcinał się od opozycji, bo mu – jak mówił – to nie pasowało, bo zawsze zajmował własne stanowisko i dbał o swoje interesy – gdyby nie dostał paszportu, nie pojechałby na dokumenta w Kassel, a był tam jedynym Polakiem itd., itp.).

Twierdził, że prawda nigdy nie jest piękna.
A on malował prawdę.
Z brzydkiej prawdy rodziły się brzydkie obrazy.

Lata 80. to był dla Dwurnika gorący czas artystyczno-polityczny, chociaż w politykę nigdy bezpośrednio się nie angażował. „I tego tzw. środowisko do dzisiaj nie może mi darować – mówił. – Bardzo dużo zakorzeniło się tej strasznej niechęci, którą ludzie mają do mnie z różnych powodów – a to, że nie podpisywałem żadnych listów i list, że łamałem jakieś protesty, bojkoty i tak dalej, a że to miałem opozycję w bardzo głębokim poważaniu. Ale oczywiście na bieżąco przeżywałem cały ten polityczny kocioł i ślad tego jest na moich obrazach, rysunkach. Jezu, tego przecież nie dało się zlekceważyć. Wyobraź sobie, jak się czułem, kiedy latem 1980 roku podczas wakacji w Złotych Piaskach w Bułgarii dostałem od niemieckich turystów numery »Sterna« i »Der Spiegel« z reportażami ze Stoczni Gdańskiej. Zobaczyłem zdjęcia ze strajku, klęczących robotników, udekorowaną bramę stoczni. Zaraz potem zacząłem malować i rysować narodziny Solidarności – wtedy powstały obrazy »Strajk«, »Robotnicy«, »I like this snow«, gdzie na pierwszym planie stoi facet, ma na sobie trampki, harcerską czapkę, a w ręku trzyma krzyż, i jest symbolem odzyskania wolności. W październiku miałem niesamowitą wystawę pt. »Lato 80« o wydarzeniach Sierpnia w Galerii MDM w Warszawie. Pokazałem dużo rysunków. W 1980 roku wszyscy siedzieli w domach, oglądali telewizję i słuchali Radia Wolna Europa. Były różne rozmowy, przepychanki – te biura polityczne, i te strajki. Wałęsa próbował to wszystko ochłodzić, żeby nie doprowadzić do strajku generalnego. Ja to cały czas rysowałem. Wystawa w Galerii MDM trwała raptem trzy dni i zdjęła ją cenzura".

Za tę wystawę Dwurnik dostał w styczniu 1981 r. Nagrodę im. Cypriana Norwida, część rysunków została zakupiona przez Muzeum Narodowe w Warszawie. Wtedy też namalował sześć pierwszych obrazów z cyklu „Warszawa". Przewidział czołgi na pustych ulicach miasta. Potem krytycy uznali, że to prorocza wizja stanu wojennego. W 1983 r. za tę wizję przyznano mu Nagrodę Kulturalną „Solidarności". „O tę nagrodę była afera – opowiadał Dwurnik – bo kilkudziesięciu obrażonych kolegów artystów wystosowało list otwarty, żeby mi tę nagrodę odebrać, że na nią nie zasługuję, skoro w 1982 r. złamałem bojkot oficjalnych wystaw i miałem wystawę w BWA w Szczecinie. A to był mój haracz, który musiałem zapłacić za paszport od władz, kiedy chciałem jechać na wystawę do Kassel. Dlatego niektórzy byli na mnie tak wściekli, straszliwie zawiedzeni moją postawą, jak Andrzej Osęka, który w następnych latach napisał kilka obrzydliwych artykułów na mój temat". A jednak nawet on, twardy realista, poczuł się tą rzeczywistością zmęczony i na moment porzucił realizm i zwrócił się ku malarstwu abstrakcyjnemu: „Po wielu latach tej pieprzonej narracji, której zawdzięczam życie i dorobek, tak mi się znudziło malarstwo realistyczne, tak miałem dość tych jap, że abstrakcja okazała się wyzwoleniem". Zaczęło się od obrazów z morskimi falami, potem już była czysta gorąca abstrakcja.

Sportowcy

Próbował uciec od „sportowca", ale ile można uciekać od rzeczywistości? W nowych realiach politycznych i ekonomicznych bohater nadal musi sobie radzić. Dwurnik wrócił więc do swoich „Sportowców". „Wiem już, że nie uwolnię się od swojego bohatera – stwierdził niedawno. – Sportowcy ciągle nas otaczają i nadal ich maluję. W gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy po trosze sportowcami. Trzeba jednak walczyć o ten kawałek przestrzeni i chleba".

Tak więc to najprostsze określenie Dwurnika – twardy realista – nie zdaje egzaminu, jest niepełne. Lepiej tak: twardy realista i marzyciel. I jeszcze: malarz prawdy i poszukiwacz piękna.

Podczas tych sześciu miesięcy, kiedy rozmawialiśmy z Edwardem do książki, zdarzały się dłuższe przerwy, kiedy Edo pił albo był na detoksie (o nałogu mówił szczerze, bez blagi). Kiedy nie odebrał mojego telefonu i nie oddzwonił w krótkim czasie, wiedziałam, że to właśnie jedna z tych przerw. Po tygodniu czy dwóch dzwonił i mówił: „Już jestem".

© MAŁGORZATA CZYŃSKA

STANISŁAW

Mancewicz:
Nic, czyli nic

Z ogromną uwagą śledziliśmy przedwyborcze procesy sądowe w sprawie sławnego „nic albo prawie nic" wypowiedzianego przez obecnego premiera RP. Na początek – to naprawdę drobnostka, ale warto ją odnotować – jedynym rządowym komentarzem do wyroku o publiczne kłamstwo, który przebił się do naszej świadomości, było słowo „amok". „Amok antyrządowy" – tak raczył określić werdykt skazujący jego pracodawcę szef KPRM Michał Dworczyk. Z wykształcenia harcerz. W prawie harcerskim znaleźliśmy punkt, który z jednej strony jakoś objaśnia ów komentarz: „Harcerz jest karny i posłuszny rodzicom i wszystkim swoim przełożonym". I tu harcerza rozumiemy. Z drugiej strony, w owym zestawie cnót znajdujemy jednak punkt taki: „Harcerz jest czysty w myśli, mowie i uczynkach, nie pali tytoniu i nie pije napojów alkoholowych". Co może znaczyć, że ów nie tylko nie powinien ćmić i chlać, ale i tłumaczyć kłamstwa kłamstwem. Z trzeciej strony, jako że jest to punkt ostatni regulaminu harcerskiego, oznaczać może, że jest to właśnie ostatnia pod względem ważności cnota obowiązująca ludzi z finkami na wierzchu. Dość jednak łatwości. Przejdziemy teraz do zagadnień trudniejszych.

Oto najpewniej procesy te, o znaczenie i sens słowa „nic", przejdą do historii powszechnej. Zapewne pierwszy raz w skali globu jakikolwiek sąd aż tak głęboko pochylił się nad wartością „nic". Gdy zastanawialiśmy się nad tym, jak to możliwe, gdyśmy próbowali do wyjaśnień tej osobliwości w historii sądownictwa zaprząc liczne analizy znanego zdania „Dlaczego istnieje raczej coś niż nic?" autorstwa powszechnie przez masy czytelnicze lubianego Gottfrieda Wilhelma Leibniza, przypomnieliśmy sobie, że może nie trzeba aż tak daleko szukać. Mamy przecież własne, oswojone zdanie, w którym „nic" występuje w trwałym zastępstwie „coś". Brzmi ono: „Polacy, nic się nie stało".

Jesteśmy najgłębiej przekonani, że dojmujący wpływ na długość procesu (dwie instancje) musiało mieć właśnie to zawołanie stadionów polskich, które – co wie każdy w kraju – weszło w skład płynów ustrojowych całego narodu polskiego. W zdaniu tym znajdujemy brawurowe przebicie karty Leibniza, „nic" bowiem nigdy nie jest owym wątpliwym „raczej coś", tylko po prostu „czymś". By przerobić tu Leibniza na dosłownie sekundkę, jego zdanie po polsku powinno brzmieć: „Zawsze »nic« znaczy »coś«". Gdy przyjrzymy się uważniej, wygląda to trochę jak definicja spiskowych wizji dziejów, ale to nie nasza wina.

A więc „coś" się na sto procent stało, gdy mówimy „Polacy, nic się nie stało". Zawsze. Nie było sytuacji, gdyśmy słyszeli to zdanie, by w istocie „nic" się nie stało. A zatem znaczenie owego „nic" jest z założenia fałszem. Niewątpliwie w głowie sądu pierwszej instancji, niemogącego sobie poradzić z „nic" wypowiedzianym przez premiera, brzmiała kibicowska przyśpiewka puszczona na cały regulator. Stąd skrajna ostrożność i scedowanie odpowiedzialności za interpretację na wyższą instancję. To może oznaczać, że przynajmniej niektórzy sędziowie uczą się języka polskiego tylko podczas przegranych meczów piłkarskich. Nic a nic nas to nie dziwi, zważywszy szeroko opisywany upadek i niedofinansowanie humanistyki.

Z niepokojem obserwujemy skrajne splątanie u urzędników państwowych i przygnębiający eskapizm w sprawach dotychczas, wydawałoby się, najprostszych. Nadeszły przedziwne czasy, w których publiczne orzeczenie, że „nic znaczy nic", nazwane jest w ataku posłuszeństwa amokiem. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

NIEPODLEGŁOŚĆ

Wokół myśli historycznej Józefa Piłsudskiego

31/10/2018 — 27/01/2019

1918 · 2018

Wystawa pod Patronatem Honorowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w roku 100-lecia Odzyskania Niepodległości 1918–2018

Mecenas Wystawy

Bank Polski

Mecenas Muzeum Narodowego w Krakowie i Sponsor Wystawy

PZU

Partner Strategiczny Muzeum Narodowego w Krakowie

LOTTO

niepodległa

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Wystawa dofinansowana ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017–2022

MNK MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Patroni medialni

TVP KULTURA · TVP 3 KRAKÓW · POLSKIE RADIO · RADIO KRAKÓW · Kraków · GOŚĆ NIEDZIELNY · DZIENNIK POLSKI · DO RZECZY · Local Life · KARNET · in your pocket · ams · onet

ilustracja: **Piotr Stachiewicz**, *Wystawa jubileuszowa Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie*, 1904 (fragment), Akademia Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie – Biblioteka Główna; fot.: **Jakub Płoszaj**, Pracownia Fotograficzna MNK; proj. graf.: **Teren Prywatny**

REKLAMA

POLIN
Muzeum Historii Żydów Polskich
WYSTAWA CZASOWA
ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa
W POLSCE KRÓLA MACIUSIA
DLA MAŁYCH I DUŻYCH DOROSŁYCH
100-LECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI
polin.pl
9.11.2018 – 1.07.2019
Partnerzy:
Organizator:
Mecenas:
Jankilevitsch Foundation
Współorganizator:
STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE
Sfinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2022
Projekt współfinansuje m.st. Warszawa
niepodległa
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Partner wystawy:
Fundacja KORET na cześć Tada Taube
Partnerzy muzeum:
MUZEUM WARSZAWY
KORET FOUNDATION
ONICO
BOEING
Patroni medialni:
zwierciadło
sens
VOGUE
wyborcza
wyborcza.pl WARSZAWA
ams
naszemiasto.
czas dzieci.pl
empik
VIVA!